

PRZE KRÓT

NUMER 17/2914 • 29 KWIETNIA 2001 r.
Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)



**Wybieramy
najśmieszniejszą
książkę świata**

**Mafia działa w pudle
Petelicki na emeryturze
Cenzurka z matury**



Homo hutens



FILHARMONIA NARODOWA

Dyrektor Naczelny i Artystyczny KAZIMIERZ KORD

M A J 2 0 0 1

Środa, 2 V 2001

godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament M2

Czwartkowe Spotkania Muzyczne

Soliści, Orkiestra i Chór

Reprezentacyjnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego

Bolesław SZULIA dyrygent

Program: **Pieśni patriotyczne, żołnierskie i inne**

Niedziela, 6 V 2001

godz. 11.00, Sala Koncertowa, Abonamenty Dz1, Dz2

IX Koncert dla dzieci – Twoi chłopcy Polsko...

Prowadzenie: **Ciocia Jadzia – Jadwiga MACKIEWICZ**

Poniedziałek, 7 V 2001

godz. 19.00, Sala Koncertowa, Abonament K5

Koncert kameralny

Słynne kwartety

KWARTET BORODINA

Program: **BEETHOVEN, SZOSTAKOWICZ**

Wtorek, 8 V 2001

godz. 18.00, Sala Kameralna

Czwartkowe Spotkania Muzyczne

Recital fortepianowy

Eugen INDJIĆ

Czwartek, 10 V 2001

godz. 19.00, Sala Koncertowa, Abonament K3

Muzyka dawna

Cecilia BARTOLI mezzosopran

Akademie für Alte Musik Berlin

Program: **VIVALDI, GLUCK**

Piątek, 11 V 2001

godz. 19.30, Sala Koncertowa, Abonament D1

Sobota, 12 V 2001

godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament D2

Koncert symfoniczny

Orkiestra Symfoniczna i Chór Filharmonii Narodowej

Kazimierz KORD dyrygent

Misha DICTER fortepian

Asta KRIKŠČIUNAITĖ sopran

Alina GURINA mezzosopran

Alexei MARTINOV tenor

Peter MIKULÁŠ bas

Jarosław MALANOWICZ organy

Henryk WOJNAROWSKI kierownik chóru

Program: **RACHMANINOW, JANÁČEK**

Czwartek, 17 V 2001

godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament M1

Czwartkowe Spotkania Muzyczne

Koncert oratoryjny

Chór Uniwersytetu Warszawskiego

Concerto Polacco

Marek TOPOROWSKI dyrygent

Program: **HAENDEL**

Piątek, 18 V 2001

godz. 19.30, Sala Koncertowa, Abonament C1

Sobota, 19 V 2001

godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament C2

Koncert symfoniczny

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej

Stanisław SKROWACZEWSKI dyrygent

Nobuko IMAI altówka

Program: **PANUFNIK, BAIRD, BERLIOZ**

Niedziela, 20 V 2001

godz. 11.00, Sala Kameralna, Abonament Dz1

godz. 14.00, Sala Kameralna, Abonament Dz2

X Koncert dla dzieci – Koncert z dedykacją

Prowadzenie: **Ciocia Jadzia – Jadwiga MACKIEWICZ**

Wtorek, 22 V 2001

godz. 19.00, Sala Koncertowa, Abonament K1

Recital fortepianowy

Wielcy Pianiści z Ideą

Stanisław BUNIN

Program: **CHOPIN**

Czwartek, 24 V 2001

godz. 18.00, Sala Kameralna

Czwartkowe Spotkania Muzyczne

Katarzyna DUDA skrzypce

Edward WOLANIN fortepian

Program: **PAGANINI, RAVEL, SARASATE, WIENIAWSKI, KREISLER**

Piątek, 25 V 2001

godz. 19.30, Sala Koncertowa, Abonament B1

Sobota, 26 V 2001

godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament B2

Koncert symfoniczny

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej

Yoav TALMI dyrygent

Matt HAIMOVITZ wiolonczela

Program: **LUTOSŁAWSKI, BRUCKNER**

Wtorek, 29 V 2001

godz. 20.00, Sala Koncertowa

Nadzwyczajny koncert symfoniczny

ROYAL CONCERTGEBOUW ORCHESTRA

Riccardo CHAILLY dyrygent

Program: **MAHLER**

Czwartek, 31 V 2001

godz. 18.00, Sala Koncertowa, Abonament M1

Czwartkowe Spotkania Muzyczne

Koncert muzyki cerkiewnej

Męski Zespół Muzyki Cerkiewnej

Ks. Jerzy SZURBAK dyrygent

Kasy Sali Koncertowej czynne w godz. 10.00-14.00; 15.00-19.00 – tel. 55 17 130, 55 17 131

Kasa Sali Kameralnej czynna w dniu koncertu w Sali Kameralnej

od 16.00 do godziny rozpoczęcia koncertu oraz w niedzielę przed koncertami dla dzieci

od 10.00 do 14.00 – tel. 55 17 132.

Informacja o biletach – tel. 55 17 128.

Rezerwacja biletów – tel. 55 17 130 (w godz. 10.00-15.00)

e-mail: bilety@filharmonia.pl

Najaktualniejsze informacje na naszej stronie internetowej

www.filharmonia.pl

FILHARMONIA NARODOWA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIANY REPERTUARIU.



FOT. PAWEŁ TEKOWSKI

12 POD ROZKAZAMI ŻONY.

Jeżeli w Trzeciej Rzeczypospolitej, przez dziesięć lat ryzykując życie, robiłem różne rzeczy, za które zostałem odznaczony, to przecież ci, którzy mnie odznaczali, dobrze wszystko sprawdzili, zbadali – mówi były szef GROMU gen. SŁAWOMIR PETELICKI w rozmowie z KAZIMIERZEM TARGOSZEM.



17 PLEBISCYT NA NAJŚMIESZNIEJSZĄ KSIĄŻKĘ ŚWIATA.

Jak porywać się na pomysł sporządzenia listy najzabawniejszych książek wszech czasów? Można się porwać tylko demokratycznie i w formie plebiscytu. Gdzie się takiego szaleństwa dopuścić? Najlepiej w PRZEKROJU, bo żadne inne pismo nie wpadnie jeszcze długo na równie niepoważny pomysł.

32

BEZ SPECJALNEGO NADZORU.

Nie jest nigdzie powiedziane, że walki między gangami nie przeniosą się również na grunt więzienny. Materiały wybuchowe przesyłane w paczkach i listach to już nie rzeczywistość filmowa, ale część realnego świata – pisze JERZY PIEKARCZYK.



FOT. MIKOLAJ SWIDERSKI



Homo hutens

NUMER 17

29.04.2001

OKŁADKA: FOT. PRZEMYSŁAW GRAF/AG, ŁUKASZ TRZCIŃSKI

Listy	4
Od redakcji i CZEZOT w „Przekroju”	5
Przekrój tygodnia	6
Izabella Bodnar Wielki Piątek w Pruchniku	10
Pod rozkazami żony – z gen. Sławomirem Petelickim rozmawia Kazimierz Targosz	12
Plebiscyt na najśmieszniejszą książkę świata	17
Stanisław Bortnowski Nowa matura 2002	22
Andrzej Janowski My z synowcem na przedzie	25
Jazzman przez całą dobę – z Michałem Urbaniakiem rozmawia Anna Kosowska-Czubaj	26
Barbara Pajchert Kochankowie czatu	29
Jerzy Piekarczyk Bez specjalnego nadzoru	32
Człowiek „Przekroju” – Piotr Krajewski	37
Galeria – Homo hutens	38
Świat – Tajlandzki trójkąt życia i śmierci	44
Hoff	48
Adam Wiedemann Dziennik „duszy”	49
Formy – Zabawki z Dakaru	50
Nauka – Yeti istnieje	55
Internet – Paszport donikąd	56
Instrukcja obsługi telewizora	58
Film – Kino z osiedla	60
Teatr – „Porozmawiajmy o życiu i śmierci”	62
Muzyka – Śmiech Fiolki	64
Sztuka – Po Holocauście	66
Książki – Stwory fantastyczne	68
Klub Smakosza – Bikont, Makłowicz, Pióro	70
Szatnia – Podsiadło	72
Kwestionariusz Prusa – odpowiada Andrzej Sikorowski	74
Mieszanka firmowa	76
Bikont grzebie w starych „Przekrojach”	78
Krzyżówki	80
Co Pan na to, Panie LEM	82
Rozmaitości	84



ALE MNIE NABRALIŚCIE!

Przyznam, ale bez wstydu, że się Wam udało: uwierzyłem, że wywiad pt. „Prawa ręka ośmiornicy” („P” 2910) jest autentyczną rozmową z ojcem chrzestnym polskiej mafii, a nie primaaprilisowym żartem. Przecież medialna codzienność dowodzi właśnie, że na każdym niemal kroku mamy do czynienia z takimi mafijnymi układami: „żeby naprawdę móc prowadzić bezpieczną działalność, trzeba mieć swoich ludzi nie tylko w prokuraturach czy sądach”. Można jedynie dodać, że bohater Waszego wywiadu jest jednym z kilku (kilkunastu?) nieformalnych bossów, którzy

dzielią Polskę na prowincje geograficzne czy wg sektorów i gałęzi gospodarczych oraz przemysłowych. Jak z takimi wygrać, skoro z różnymi „bandami prymitywnych bandziorów” organa ścigania i wymiar sprawiedliwości nie mogą się uporać. Media przeważnie przedstawiają zdarzenia o zasięgu krajowym lub takie, które – z racji nazwisk i powiązań – takimi się stają. A przecież różne, średnie i małe układy mafijne oplatają cały kraj. Prześledźcie sytuację w jakimkolwiek powiecie, gminie – te związki polityczno-personalno-rodzinne działające na zasadzie: ty mnie, ja tobie. Dochodzi już do takich sytuacji, że szczytne hasło „porozumienie ponad podziałami” (jak wiadomo, ma ono dotyczyć ważnych dla państwa i wszystkich obywateli spraw, np. bezrobocia) na prowincji już się dawno realizuje w swojskim pojęty sposób.

Jak tym wszystkim wstrząsnąć, jak przekonać, że tak dalej być nie może? Nie wierzę w moc zbawczą jednostki (byli już osobnicy, za którymi poszły tłumy i fatalnie zapisali się w historii), nie wierzę w apele o uczciwość kierowane do zatamowanego społeczeństwa. Tym bardziej że pojęcia: honor, sprawiedli-

wość, prawość i uczciwość tak bardzo się ostatnio zrelatywizowały. Zatem co pozostało? Chyba tylko wiara w skuteczność demokracji, ale tej oddolnej, realizowanej w małych grupach. Oraz dobre, skuteczne prawo, a także społeczna kontrola sprawowana przez media.

**Idealista-pesymista
A.S., Nowy Sącz**

JAK RYDEL SIĘ ŻENIŁ

Dużo pisano, także w „P” – o dramacie Wyspiańskiego, w stulecie jego premiery. A ja znalazłem w rodzinnych papierach prawdziwy rarytas. Brat mojego dziadka, ks. dr Jan Kanty Szymeczko (ur. w 1885 r., w Dworach k. Oświęcimia) jako uczeń Gimnazjum św. Jacka w Krakowie (ukończył je w 1904 r.) w swoim pamiętniku opisał m.in. takie zdarzenie (*drukujemy fragmenty – red.*):

„...Było to wesele poety Lucjana Rydla. (...) Orszak weselny wychodził, a goście siadali na wozy. Na jednym zauważyłem Tetmajerową, która za rękę pociągała męża Włodzimierza. Oboje ubrani byli po krakowsku. Ona w kolorowy staniczek i spódnicę. On w białej sukmanie, niebieskim żupanku, w czerwonych z białym paskiem spodniach i czap-

ką ozdobioną pawimi piórami. Gramolił się na wóz.

Rydel ubrany na czarno, żona bardzo piękna, ubrana w szaty bajecznie kolorowe, z doskonałej materii. Kawalkada uformowała się. Wóz jechał za wozem. Drużbowie na koniach w krakowskich ubraniach, każdy miał na plecach przypiętą chustkę swojej drużyny, która podczas galopu rozwijała się i trzepotała jak skrzydła naszej dawnej husarii. Kawalkada trzy razy okrążyła Sukiennice...

Innym razem siedłem ul. Szewską, patrząc, a Podwalem idzie Rydlowa – od Grobli, gdzie były targi na bydło. Ubrana była w bogaty strój krakowski, a w ręce trzymała powróż, na którym uwiązana była krowa, a za krową idzie elegant Rydel w czarnym ubraniu, w meloniku na głowie, lakierkach, ćwierkie na nosie, laseczką cieniutką czarną popędza krowę. Ludzie przystawają, patrzą i śmieją się, ale to na nich nie robi najmniejszego wrażenia”. Autor tych wspomnień był w latach 1917–1956 profesorem szkół średnich w Krakowie.

Wiesława Bieniek, Oświęcim

ILE ZARABIA DANIEC?

W „P” 2909 ukazał się artykuł red. Doroty Terakowskiej pt. „Pomyśl, napisz i kliknij”. Jego fragment dotyczy zarobków gwiazd polskiej estrady, w tym m.in. Marcina Dańca. Zawarte w nim informacje są nieprawdziwe, opierają się na całkowicie fałszywych wyliczeniach i wymagają sprostowania. (...) Marcin Daniec gra rocznie nie 300, ale ok. 100 koncertów. W tym – o czym warto wiedzieć – również wiele koncertów charytatywnych. Za koncert nie otrzymuje 25 tys. złotych, bowiem w ogromnej większości są to imprezy biletowe... (*tu następuje obszerne wyliczenie, z którego wynika, że Daniec niemal dopłaca do takiego występu – przyp. red.*)

Owszem, zdarza się, że satyryk otrzymuje kilkadziesiąt tysięcy za koncert, ale są to imprezy okazjonalne, kupowane najczęściej przez duże firmy. Ale rocznie jest ich zaledwie kilka! (...)

Danuta Toboła, Agencja Impresaryjna „DETE”, menedżer Marcina Dańca (od 8 lat)

Autorka przytoczyła w artykule krótką informację z serwisu Onetu, za którą redakcja nie ponosi odpowiedzialności. (Red.)

ROZPOZNANIE ŚMIECHEM

Gdy ktoś mówi, że jakaś książka, film czy przedstawienie jest śmieszne, to nie jest to może specjalnie głęboka rekomendacja, ale za to jakże skuteczna. Przecież wszyscy (no, może nie tak całkiem wszyscy), w gruncie rzeczy – lubimy się bawić i śmiać.

Podobne poczucie humoru łączy ludzi czasem silniej niż inne więzy: pokaż mi, co cię śmieszy, a powiem ci, kim dla mnie jesteś.

Za swych najlepszych czasów „Przekrój” miał ambicję, ale i moc wyrabiania u swych Czytelników poczucia humoru. Pokolenia wychowywały się na Gałczyńskim, Wiechu, Mrożku, Ker-nie, na Toporze i rysunkach z „New Yorkera”. Chcemy nawiązać do tych tradycji i zapraszamy do wspólnej zabawy.

Razem z radiową „Trójką” ogłaszamy plebiscyt, który skłoni Państwa do powrotu – przynajmniej myślą – do ulubionych książek, które niekoniecznie dałoby się wpisać na listę dziesięciu największych arcydzieł literatury, ale którym należy się godne miejsce wśród tych najśmieszniejszych. Może nasza lista i ankiety podpowiedzą coś wydawcom, może zachęcą Was do sięgnięcia po tytuły, których dotąd nie znaliście.

Ale, jako że nie samym śmiechem człowiek żyje, niniejszy numer „Przekroju” oferuje także trochę poważnej lektury, poczynając od relacji ze wstrząsających rytuałów wielokopi-tkowych w Pruchniku.

Z artykułu Jerzego Piekarczycza dowiedziecie się, że kryminaliści najbezpieczniej czują się w kryminałach, z wywiadu Kazimierza Targosza – co myśli generał na emeryturze, a z reportażu Barbary Pajchert, jak można zająć się ciążą za pośrednictwem komputera.

PIOTR BIKONT



czeczołw PRZEKRÓJ

PRZEKRÓJ

Założył w Krakowie Marian Eile

WYDAWNICTWO „PRZEKRÓJ” Sp. z o.o.

ADRES: 31-012 Kraków, ul. Reformacka 3
lub 30-960 Kraków I, skrytka pocztowa 533,

e-mail: prze_red@przekroj.pl;

TELEFONY – łączą centrala: (012) 422-18-33,
422-18-72, 422-59-54, 422-18-92, 421-91-37
fax (012) 421-49-29, 422-70-61

PREZES ZARZĄDU: Krzysztof Żarnotał
WICEPREZES I DYREKTOR: Leopold Stefański
REDAKTOR NACZELNY: Maciej Piotr Prus
Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO: Piotr Bikont
SEKRETARZ REDAKCJI: Marcin Baran
SEKRETARIAT ODPOWIEDZIALNY: Mirosław Chomko,
Józef Lubiński, Andrzej Ruchałowski

DZIAŁY:

Kultura: Benjamin Lazar, Tomasz Przybyłkiewicz,
Dobrosław Rodziewicz, Jacek Ziemek (p.o. kierownika)

Ludzie i obyczaje: Izabella Bodnar,
Wojciech Czuchnowski (kierownik), Jakub Janicki,
Barbara Pajchert, Roman Polesek, Justyna Tawicka

Nauka i zdrowie: Teresa Bętkowska,
Janusz Marćjan (kierownik), Leszek Peters

Formy: Marcin Fedisz (kierownik), Wojtek
Koccolowski, Stefan Rokita, Agnieszka Wrzesień,
Bogna Wernichowska

Publicyści: Ludwik Jerzy Kern, Leszek Mazan,
Jerzy Piekarczyk, Kazimierz Targosz

Pracownia graficzno-komputerowa:
Piotr Gidlewski (kierownik graficzny), Maria Klich,
Jan Kozak, Joanna Sroka (kierownik makiety)

Dział fotograficzny: Joanna Dyzek, Marcin
Kędryna (fotodzyktor), Bogdan Kręzel, Jan Zych

Korekta: Anna Rudnicka, Małgorzata Strakowska-
Szczurek, Barbara Wojtanowicz (kierownik)

Produkcja: Michał Kędryna, Andrzej Laurisz

WYDAWNICTWO: gł. księgowia – Halina Zięba,
kolportaż – Barbara Bagińska (kierownik)

DZIAŁ PROMOCJI: Anna Korwin (kierownik),
Włodaw Kaczmarczyk („Złoty Grosz”)

DZIAŁ REKLAMY:

Biuro w Warszawie – ul. Wolska 45 A,
tel./fax (022) 631-46-68, 631-35-62,
Halina Sułkowska (0607-39-03-36)

Biuro w Krakowie – ul. Reformacka 3,
tel. (012) 422-70-61, Marzena Kiedacz

NASZE KONTO: Bank Pekao SA – I O/Kraków
nr 12401431-7010439-2700-401112-001

DRUK: Winkowski Sp. z o.o. ul. Okrzei 5,
64-920 Piła, tel. (0-67) 210-84-00

PRENUMERATA – krajowa: terenowe oddziały
Ruch SA, wszystkie urzędy pocztowe oraz redakcja;
zagraniczna: Ruch SA, Oddział Krajowej Dystrybucji
Prasy, 00-958 Warszawa, ul. Jana Kazimierza 31/33
Konto: Pekao SA IV O/Warszawa, nr 12401053-
40060347-2700-457872-001,
tel. +48(22) 5328-731,
fax +48(22) 5328-732 oraz redakcja
(wpłata na podane wyżej konto bankowe)
Artykułów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróto-
w w nadesłanych artykułach i listach.

Nakład: 90 000 egz.



NOWAKOWSKI – CHRZESTNYM

W „Przekroju” 2895 z końca minionego roku w „Śmiesznotach” przeczytałem wzmiankę o przygodzie Zygmunta Nowakowskiego na Krakowskim Przedmieściu. Minęła właśnie 66. rocznica innego epizodu z życia pana Zygmunta, do zaistnienia którego niewątpliwie (aczkolwiek w sposób bierny) się przyczyniłem.

Na początku 1935 roku w jednej z publikacji Nowakowski wyraził życzenie, aby jego felietony trafiły pod strzechy. Moi rodzice, wierni czytelnicy tychże felietonów, postanowili zaprosić nie znanego sobie osobiście pana Zygmunta na ojca chrzestnego dla trzeciego syna, czyli mojej skromnej osoby. Chrzest odbył się 17 marca 1935 r. w kościele parafialnym w Porębie k. Zawiercia. Fakt ten został opisany w IKC-u w fe-

lietonie „U kolebki nowego człowieka”. Mój chrzestny pisze m.in. (zachowujemy pisownię oryginału):

„Na twoją główkę spadła woda święcona, podczas gdy na moją główkę Florjan Znaniecki (niedarmo na imię ma Florjan!) wylewa kubek zimnej wody, mówiąc »nowej cywilizacji nie mogą urzeczywistnić ludzie wy-stający w terażniejszych cywilizacjach, tylko ludzie, którzy już w nowej cywilizacji wyrosną«. Więc nie ja, ty-lko ty, mały, błękitnooki Brunonie-Zygmuncie!”. A dalej Nowakowski polemizuje z tą tezą wybitnego socjo-loga, nazywając jego książkę utopią, ale nie odmawia mu pewnej racji.

Niestety, sprawdziły się przewidywane w felietonie słowa, że „widzimy się po raz pierwszy, a może ostat-ni”. Po wojnie mój chrzestny osiadł w Anglii – nie udało mi się, z przyczyn politycznych, ustalić jego adresu. Ale złoty dukat, który dostałem w prezencie, mam do dziś. Zdjęcie, które przesyłam, mocno nadwerężone przez czas, wykonano właśnie w dniu chrztu. Widoczny w tle budynek istnieje do dziś w Porębie k. Za-wiercia, przy ul. Przemysłowej.

Bruno Zygmunt Sylwestrzak (adres znany redakcji)



MARSZ ŻYWYCH

Przed laty tymi torami wiezono ludzi tylko w jedną stronę. Z Birkenau nie było powrotu. Dla tych młodych ludzi, którzy szli w ubiegłym tygodniu z Auschwitz do Birkenau, był to marsz śladami tych, którzy nie przeżyli. Prawie dwa tysiące żydowskiej młodzieży z Izraela, Kanady i kilku krajów europejskich uczciło

Marszem Żywych pamięć o ludziach, w których życiorysy wpisała się zagłada. Marsz Żywych jest częścią programu wychowawczego izraelskiego ministerstwa edukacji. Częścią tego programu jest również pamięć, ponieważ naród bez pamięci traci swoją tożsamość.

Przed trzema laty uczestników marszu prowadzili premierzy Polski i Izraela, przed rokiem szli prezydenci obydwu krajów. W tym roku nie było wysokich urzędników. Szli po prostu ludzie, dla których ta droga nie wiodła w przeszłość, lecz była drogą ku przyszłości wolnej od uprzedzeń, jakie stały się przyczyną

największego dramatu ludzkości. Kiedy w Marszu Żywych młodzieży żydowskiej towarzyszyli polscy rówieśnicy, przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie rabin Michael Schudrich mówił: „Powstanie w getcie to był wybór, jak umrzeć, a dla tych, którzy przeżyli, pokazanie, jak można żyć”.

FOT. W. STEINREPORTER, PAP/AP, PAPRADEK PIETRUSZKA, PAP/EP

UNIA NA KORCIE

Do ekskluzywnego klubu tenisowego porównał Unię Europejską były premier Czech Vaclav Klaus podczas odczytu na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Nowym kandydatom trudno się dostać, gdyż nie mają pieniędzy na składki członkowskie. Starzy dobrze się czują w swoim gronie i nie chcą wpuszczać nowych, obawiając się ich stylu gry i sposobu bycia.

NOWE WRACA

Moskiewska NTW jest już pod pełną kontrolą. Nowe kierownictwo, wyznaczone przez Gazprom, wprowadziło „normalizację”, której początek dała wymiana pracowników ochrony, a następnie selekcja dziennikarzy.

NIC ZA DARMO

Czesi domagają się od Unii Europejskiej wprowadzenia dziesięcioletniego zakazu sprzedaży ziemi. Prawdopodobnie Bruksela się na to zgodzi w zamian za siedmioletni zakaz pracy dla Czechów w państwach Unii.

CEL I METODA

Ukazała się książka „Operacja Jedwabne – mity i fakty”. Lech Niekrasz napisał ją na podstawie opracowań negocjujących ustalenia Jana Grossa. Materiałów źródłowych nie badał, a dzieło stworzył w miesiąc na zamówienie wrocławskiego wydawnictwa Norton, które na ubiegłorocznych targach książki we Frankfurcie musiało zamknąć stoisko z uwagi na publikacje antyukraińskie, antyniemieckie i antysemitki.

ZROBIŁ SWOJE

Osobisty ochroniarz Leonida Kuczmy dostał azyl polityczny w USA. Mjr Mykoła Melnyczenko, odpowiedzialny za zabezpieczenie gabinetu prezydenta Ukrainy przed podsłuchem, nagrywał jego tajne rozmowy, których ujawnienie wywołało skandal polityczny.

ŻAL ZA GRZECHY

„Uroczyście, szczerze i jednoznacznie gestem przyznania się do winy i obietnicą poprawy” nazwali peruwiańscy generałowie oświadczenie, w którym przeprosili naród za uległość armii i policji wobec reżimu byłego prezydenta Fujimoriego.



Przetargu na nowy samolot transportowy dla wojska nie będzie. Co do tego zgodni są zarówno dowódca Wojsk Lotniczych, gen. Andrzej Duleba, jak i minister obrony narodowej, Bronisław Komorowski. Samoloty zakupimy w Hiszpanii.



Z wędrowek po świecie marszałek Senatu, Alicji Grzeškowiak. Tym razem na audyencji u cesarza Japonii, którego wcześniej zapewne powiadomiono, że gościa z Polski nie należy pytać o losy popularnej niegdyś koncepcji „drugiej Japonii”.



Paweł Borodin, sekretarz generalny Związku Białorusi i Rosji, któremu prokuratura w Genewie zarzuca pranie brudnych pieniędzy w szwajcarskich bankach, został zwolniony z aresztu po wpłaceniu przez rosyjskie MSZ 2,9 mln dolarów kaucji.





Zaczęło się od skonfiskowania przez policję opancerzonego samochodu przywódcy serbskich radykałów, a potem doszło do starć na ulicach Belgradu. Sympatyzujący z partią Slobodana Miloševicia deputowani do serbskiego parlamentu nie mogą pogodzić się z losem byłego prezydenta, który w areszcie czeka na proces.



Premier Wiktor Juszczenko bronił w ukraińskim parlamencie swej polityki, wskazując na kartony z 4 milionami podpisów pod wyrazami poparcia. Nie przekonał deputowanych. Uważają go za skrajnego liberała, który powinien ustąpić.

SZUKANIE MOTYWÓW

Prawdopodobnym powodem zabójstwa Jacka Dębskiego są nie spłacone długi zaciągnięte w środowisku gangsterskim i zobowiązania, z których się nie wywiązał. Z hipotez na temat śmierci byłego ministra sportu wykluczono politykę, ale nie motyw osobiste.

NIEWOLNICY WIELKIEGO BRATA

W serwerze duńskiego parlamentu zablokowano dostęp do transmisji programu „Big Brother”. Zarówno personel administracyjny, jak i parlamentarzyści zamiast pracować, spędzali długie godziny na podglądaniu wydarzeń w Domu Wielkiego Brata.

GLORIA VICTIS

Bohaterem narodowym Chin został pilot myśliwca, który zginął po zderzeniu z amerykańskim samolotem wywiadowczym. „Obrońca granic powietrznych i morskich” i „komunistyczny męczennik” ma być wzorem dla innych, bo Amerykanie wcale nie zamierzają zaprzestać podglądania Chin z powietrza.

WIELKA KRAKSA

Grupa amerykańskich kosmologów proponuje nową wersję stworzenia świata. Nie było żadnego Wielkiego Wybuchu, tylko zderzenie z wszechświatem sąsiednim. Zaczęło się od wielkiej kraksy, i nie należy się już niczemu dziwić.

PODWÓJNA „ZEMSTA”

Ponieważ nie udało się zrealizować równocześnie dwóch filmów na temat „Krzyżaków” Sienkiewicza, postanowiono przeprowadzić eksperyment na komedii Fredry. Szczęść wam Boże, filmowcy.

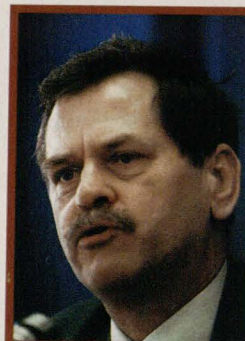


FOT. PAPYER (3), PAPYŁ, BEDNARCZYK, PAPYAP (2), PAPYŁ, HAWAJEL, M. SKAWINSKI/AG

Mali mnisi z Seulu przygotowują się do udziału w zaplanowanych na 1 maja obchodach 2545. rocznicy urodzin Buddy.



Czy zakaz sprowadzania rozbitych i używanych aut poprawi kondycję polskiego przemysłu? Na pewno zaszkodził tym, którzy utrzymują się z „importu złomu”.



MYŚL TYGODNIA

Gdybyśmy jechali autobusem, to raczej wesółym niż czerwonym.

Krzysztof Janik – szef sztabu wyborczego SLD w związku z prawyborami w Nysie



Mała Kuba gościła przedstawiciela Wielkiego Chińskiego Brata. Premier Jiang Zemin życzył narodowi kubańskiemu „kolejnych sukcesów na drodze socjalizmu”, nie precyzując jednak, na czym polegają sukcesy osiągnięte do tej pory.



Szczątki ofiar reżimu Czerwonych Khmerów są eksponatami w muzeach ludobójstwa w miastach Kambodży. Jeżeli rząd przychyli się do apeli i próśb, zostaną skremowane.



„Zygmunt” z nowym sercem brzmi równie szlachetnie jak ze starym, które pękło. Nowe odlali fachowcy z Huty im. Sendzimira, która w ten sposób wpisała się w tradycję Jagiellonów.



Miejsce, zrównane z ziemią przez izraelski czołg i buldożer, było domem tych kobiet. Żydowskie osiedla w Strefie Gazy zostały ostrzelane przez Palestyńczyków. Przemoc rodzi odwet, następstwem odwetu jest eskalacja przemocy. Nie ma zwycięzców w tym konflikcie.



Wielki Piątek w Pruchniku



FOT. JACEK SZWICBAW GROUP

W tym roku, 13 kwietnia młodzież w Pruchniku uzbroiła się już rano w kije, pałki i „krawędziaki”. W Pruchniku, miasteczku pod Przemyślem, sąd nad Judaszem to stara tradycja – wynajęty przez urząd gminy mężczyzna wykonuje z workowego płótna kukłę z napisem „JUDASZ”, a później jest jego oprawcą. Ale teraz na

piersiach kukły pojawił się napis: „JUDE 2001”.

O godz. 11 kukła zawisła na słupie traktacji elektrycznej. Jak co roku, jej głowę zdołał zbyt wydatny nos, pejsy i jarmułka. Wokół zebrali się dwuosobowy tłum. Dzieci i nastolatki trzymali kije. Rozpoczęło się okładanie kukły. W dwie godziny później kukłę odcięto. Gdy spadła, dzieci zawlokły

ją pod bramę kościoła. Tam mistrz ceremonii wymierzył jej 30 batów, a młodzież wbijała w nią kije.

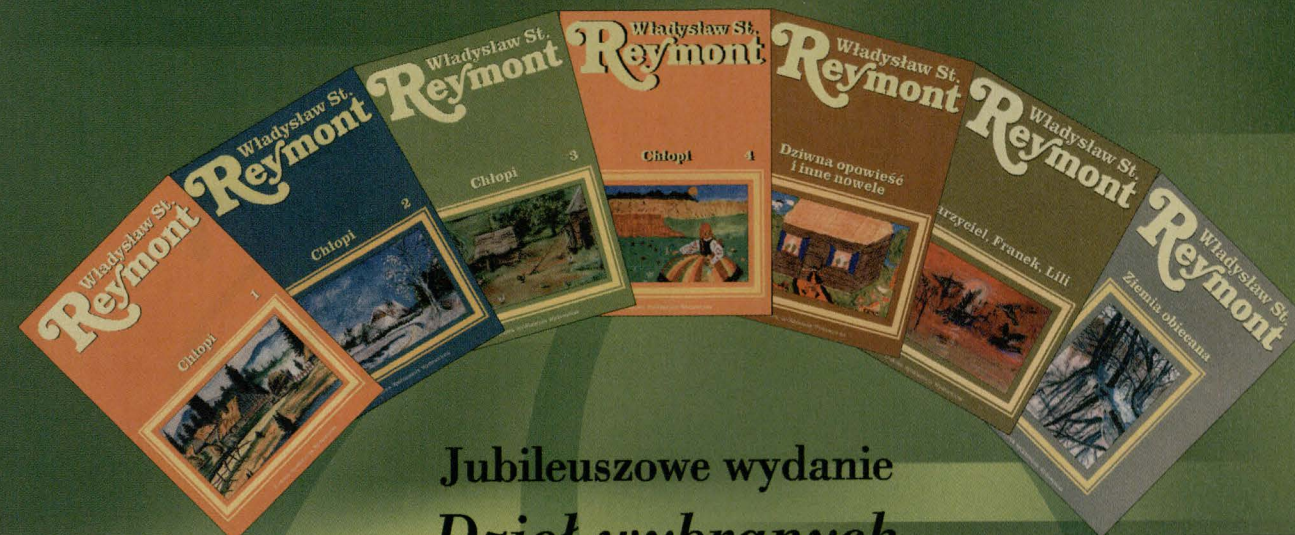
Żyda powleczono dalej, na rozdroże. Tam znów 30 batów. Nad rzeczką kukłę spalono i wrzucono do wody.

– To nie było symboliczne biczowanie „Judasa” witkami, ale lincz – mówi świadek wydarzenia. – Prawdziwy samosąd. W mia-

steczku istnieje tradycja misteriów Wielkiego Tygodnia na scenie i są to wstrząsające przedstawienia. Sąd nad Judaszem, który odbywa się na ulicy, nieopodal rynku, nic z tym nie ma wspólnego. Ze zgromadziłem, jak młodzież – w majestacie prawa i z przyzwoleniem dorosłych – pałuje tę kukłę, rozrywając jej głowę.

IZABELLA BODNAR

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza



Jubileuszowe wydanie Dzieł wybranych W. St. Reymonta

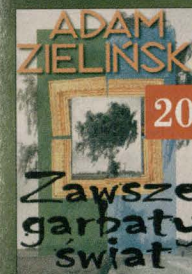
siedmiotomowe wydanie w twardej oprawie
w cenie 100 zł + koszty wysyłki

8 zł

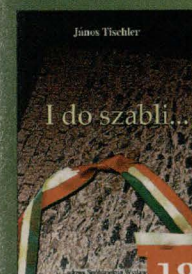
Polecamy także wiele innych
interesujących pozycji
(w twardej oprawie)

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową za zaliczeniem
pocztowym. Do cen zamawianych książek
prosimy doliczyć koszty wysyłki.

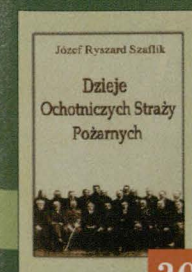
Zamówienia prosimy składać
LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
ul. Grzybowska 4, 00-131 Warszawa
tel. (0-22) 620 54 24, fax (0-22) 620 72 77



20 zł



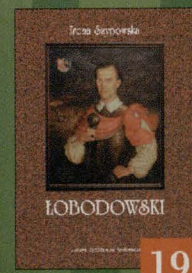
18 zł



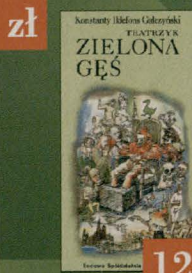
30 zł



13 zł



19 zł



12 zł



13 zł



15 zł



10 zł



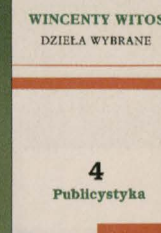
17 zł



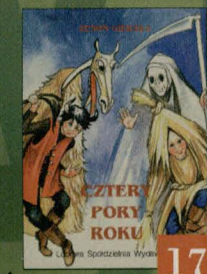
15 zł



17 zł



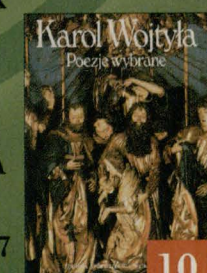
w przygotowaniu



17 zł



20 zł



10 zł



30 zł

POD ROZKAZAMI ŻONY

z GENERAŁEM SŁAWOMIREM PETELICKIM
ROZMAWIA KAZIMIERZ TARGOSZ

Jeżeli w Trzeciej Rzeczypospolitej, przez dziesięć lat ryzykując życie, robiłem różne rzeczy, za które zostałem odznaczony, to przecież ci, którzy mnie odznaczali, dobrze wszystko sprawdzili, zbadali.

SŁAWOMIR PETELICKI

– generał brygady,
ur. 1946 r. w Warszawie,
ukończył Wydział Prawa UW.
Ma za sobą ponad 30 lat
służby wojskowej.
Od 1969 do 1990 oficer wywiadu.
Jest specjalistą od dalekiego
rozpoznania i dywersji.
Przed objęciem dowództwa GROMU
brał udział w wielu tajnych
operacjach zagranicznych,
m.in. w Wietnamie Północnym
w 1971 roku.
Od 1990 do 19 grudnia 1995 r.
organizator, a następnie dowódca
GROMU (JW 2305)
i ponownie od 6 grudnia 1997 r.

Co porabia generał na emeryturze?

Nie nudzi się pan?

Jestem w tej chwili w najszcześniejszym okresie mojego życia, ponieważ nikomu nie podlegam. Co prawda, żona próbuje mi czasem wydawać rozkazy, ale ja nie wszystkie wykonuję – wykonuję te, które mi się podobają. Na przykład chętnie wynoszę bieliznę na strych na czwarte piętro, bo to zastępuje mi trening. Nie daję się natomiast zapędzić do zmywania i do sprzątania.

Występuje pan też w roli młodego ojca?

Raczej w roli starego-młodego ojca, bo moja córka, która ma dwadzieścia trzy lata, sześć miesięcy temu dała mi wnuczkę, a ja wcześniej, na starość, zostałem ojcem. Mam syna, który ma piętnaście miesięcy. Wszystko składa się na ten szczególny okres w moim życiu.

Ale czy czegoś panu nie brakuje?

Nie, bo jestem dodatkowo prezesem Fundacji Byłych Żołnierzy Jednostek Specjalnych, którą założyłem w 1996 roku z kilkoma oficerami po to, żeby zajmować się

tymi, którzy odchodzą na emeryturę, bo szkoda byłoby ludzi znakomicie przygotowanych w zakresie likwidowania przeciwnika, wysadzania obiektów i innych działań specjalnych. To państwo powinno się nimi opiekować, a nie robi tego.

Minister Marek Biernacki mówił, że u podstaw odwołania pana z GROMU leżał fakt „Niespotykanej wręcz, jak na specjalną jednostkę, jej medialności. Praktycznie każda operacja GROMU była znana społeczeństwu i mediom”.

Może więc brakuje panu tego rozgłosu?

Nie, nie brakuje mi. Znane były tylko te operacje, którymi politycy kierujący w tym czasie GROMEM decydowali się podzielić ze społeczeństwem. Dlatego, że uważali, i słusznie, iż warto to zrobić, skoro Polska ma taką jednostkę, na takim poziomie, chwaloną na Zachodzie jeszcze przed wejściem do NATO. O czym można się przekonać w książce Huberta Królikowskiego „Wojskowa Formacja Specjalna GROM im. Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej”, która jest na

liście bestsellerów, wyprzedzając Harry'ego Pottera. Są tam entuzjastyczne wypowiedzi o GROMIE prezydenta Stanów Zjednoczonych, profesora Brzezińskiego i wielu innych. O niektórych akcjach GROMU, które były tajne, nie wie nawet pan minister Biernacki. To, co on opowiada pod dyktando ministra Pałubickiego, jest śmieszne i żenujące. Jeśli człowiek na takim stanowisku nazywa mundur wzór 36, noszony przed wojną i w czasie wojny, „cyrkowym mundurkiem”, wyklucza to możliwość jakichkolwiek dyskusji z tym panem. Uważam, że ludzie przed objęciem poważnych stanowisk powinni zdawać egzaminy nie tylko z historii Polski, ale również testy psychologiczne. To by się też przydało temu ministrowi, który nazwał GROM bagnem.

Skąd taka determinacja w usunięciu pana z GROMU?

To nie chodzi tylko o mnie, ale o całe dowództwo. Kiedy profesor Zbigniew Brzeziński odwiedzał GROM po operacji w Kosowie, zachęcony przez ambasado-

ra Walkera, chronionego w Kosowie przez żołnierzy GROMU, wicepremier Janusz Tomaszewski zaprosił też Mariana Krzaklewskiego. Kiedy usłyszał on, że GROM to poziom światowy, wielkie osiągnięcia i wielki atut międzynarodowy, wydał polecenie panu w swetrze, żeby przejąć dowództwo tej formacji, bo on chce mieć wszystko, bo wszędzie powinni być swoi. I wtedy właśnie ci tak zwani swoi, czyli ignoranci, przez dziewięć miesięcy nie dowodzili GROMEM, tylko szukali materiałów na poprzednie dowództwo. Nie znaleźli i pan Pałubicki musiał przeproszać, była kompromitacja na skalę międzyna-

O tych akcjach GROMU, które były tajne, nie wie nawet pan minister Biernacki. To, co on opowiada pod dyktando ministra Pałubickiego, jest śmieszne i żenujące.

dową. Potem pan minister Onyszkiewicz musiał zdjąć to „swoje” dowództwo. Podobnie zresztą było w innych instytucjach, gdzie byli swoi, którzy doprowadzali je do kompletnej klapy. Gdyby nie nazywano nas złodziejami, to ja bym cicho odszedł do tego szczęścia, które teraz mam, dlatego, że spełniłem już swoje marzenia, uczestnicząc w tworzeniu GROMU. Nie można mieć w życiu wszystkiego. Ja mam dwa pokoje, wojskową kwaterę nie wykupioną i na przykład wielkiego domu pod Poznaniem panu ministrowi Pałubickiemu nie zazdroszczę. Jeżeli on się tłumaczy, że pożyczył na ten dom, to ja jestem ciekawy, jak on to odda. A ja go będę obserwował.

A może pozbycie się pana było formą rewanżu za przeszłość? Niektórzy zarzucają panu, że w PRL-u rozpracowywał pan opozycję, jako oficer wywiadu w polskiej placówce dyplomatycznej w Nowym Jorku pisywał listy do polonijnego „Nowego Dziennika”, zarzucające Polonii, że angażuje się po stronie KOR-u, w 1980 roku przygotował listy do internowania.

Gdyby tak było, to czy prezydent Wałęsa odznaczyłby mnie Oficerskim i Komandorskim Krzyżami Odrodzenia Polski oraz dodatkowo Krzyżem za Dzielność? A czy Amerykanie odznaczyliby mnie swoimi odznaczeniami bojowymi, o których w li-

W jednym z wywiadów z panem znalazła się barwna opowieść o tym, że oferując swoje usługi Krzysztofowi Kozłowskiemu, ówczesnemu szefowi MSW, mówił pan: „Byłem, jestem i będę sk... po swojej stronie?”.

Pan minister Kozłowski jest człowiekiem niezwykłym i do takiego człowieka nigdy bym się w ten sposób nie zwrócił. Poza tym ja nigdy takiego języka nie używałem, nawet moich żołnierzy uczyłem, że w wojsku powinien być inny język. I dlatego między innymi jestem zaangażowany w to, żeby powstał film o GROMIE jako pewien wzorzec dla młodych ludzi.



FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

że pan premier Buzek, w tym czasie nawet wyjeżdżał na stypendia zagraniczne i też pracował dla PRL.

Na czym polegała ta praca?

Przez dwadzieścia lat byłem oficerem wywiadu i w moim pojęciu broniłem interesów mojego kraju przed obcymi wywiadami, byłem specjalistą od kontrwywiadu zagranicznego.

Walczył pan z wywiadami NATO-wskimi, a oni odznaczają pana medalami i darzą zaufaniem. Dlaczego?

Trzeba ich o to zapytać. Może dlatego, że zasługuję na zaufanie, bo zasługuje na zaufanie człowiek, który nie oszukuje.

A może był pan podwójnym szpiegiem?

Dziadek i ojciec tak mnie wychowali, że jestem człowiekiem tej ziemi i nigdy bym Polski nie zdradził, za żadną cenę, bo nie byłbym taki szczęśliwy, jak jestem teraz. Zarówno ci, którzy dają łapówki, jak i ci, którzy biorą, nie mają spokojnego snu. A ja śpię świetnie. Także dlatego, że jako zawodowca szanują mnie zawodowcy innych krajów.

A próbowali pana werbować?

Różne wywiady próbowały to robić, ale żadnemu się nie udało, bo ja jestem dobrze wychowany.

Podkreśla pan zawsze, że jest wojownikiem, żołnierzem, człowiekiem, który trzyma się z dala od polityki. Ale czy praca w wywiadzie to nie jest polityka?

W wywiadzie tylko kierownictwo było w polityce, a oficerowie wywiadu nie mieli z nią nic wspólnego. Zdobywali różne technologie, których Polska potrzebowała, różne informacje. Polska była krajem szczególnym, bo od nas inne kraje uczyły się, jak zdobywać niezależność. Ludzie w wywiadzie pracują indywidualnie, zwykle mogą liczyć tylko na siebie. To jest superciekawa praca. Chociaż swoje prawdziwe marzenia zrealizowałem dopiero w GROMIE. Można więc powiedzieć, że prawdziwym wojownikiem byłem dopiero przez ostatnie dziesięć lat. Podczas pracy w wywiadzie musiałem starać się być dyplomata i grać różne role, dzięki czemu zdobyłem duże doświadczenie.

Pochodzi pan z rodziny o tradycjach patriotycznych, wojskowych.

Często przywołuje pan dziadka, który radził panu, żeby zawsze być w odpowiednim miejscu i czasie. Czy zawsze pan był?

Nie ma cudów. Żeby być w odpowiednim miejscu i czasie, i z odpowiednimi ludźmi, trzeba być wielkim człowiekiem, a ja jestem zwykłym człowiekiem. Miałem szczęście. Dziadek mówił mi też, że Pan Bóg nie lubi tchórzy. Starałem się dorównać dziadkowi i ojcu. Jestem z nich dumny i myślę, że się mnie nie wstydzą.

Mówiąc o swoim ojcu, podkreślał pan to, że nigdy nie wstąpił do partii. A pan wstąpił?

Zrobiłem to, bo gdybym tego nie zrobił, to nie mógłbym pracować w wywiadzie. Podobnie jak na przykład profesor Geremek, który też to zrobił, żeby pracować za granicą. Nie widzę w tym nic nagannego.

Ale czy to jest honorowa postawa?

Byłem człowiekiem, który marzył o pracy w wywiadzie. To nie było tak, że byłem jakimś Wallenrodem. Polityką się nie interesowałem. Moi koledzy z 1968 roku też to wiedzieli. Sympatyzowałem z ludźmi,

którzy zostali potem z Polski wyrzuceni. Gdybym opowiedział się wtedy po którejkolwiek stronie, to z marzeń o pracy w wywiadzie nic by nie wyszło. Choć na przykład znajomość z Adamem Michnikiem i jego kolegami była pewnym kłopotem w dostaniu się do pracy w wywiadzie. Przez dwadzieścia lat tej pracy nie przyniosłem szkód Polsce, nie skompromitowałem się.

Kto jest dla pana człowiekiem honoru, moralnym autorytetem?

Mój dziadek i mój ojciec. Dziadek był człowiekiem skromnym, a jednocześnie bardzo odważnym, bo przechowywanie Żydów pod nosem SS w Warszawie było dużym ryzykiem, a on uważał to za rzecz normalną. Mój ojciec – wybitny żołnierz, sportowiec (był na olimpiadzie w Helsinkach w 1952 roku jako zawodnik w strzelaniu do rzutków), jest też człowiekiem skromnym. Karierę w wojsku nie zrobił. W Polsce mamy bowiem taki zwyczaj, że jak znajdują się jakieś wzorce, to szybko też znajdują się tacy, którzy chcą je ośmieszyć. Nie sięgam do innych wzorców, bo nie wiem, na jakiej literaturze się opierać i która mówi prawdę.

Czy Mariusz Kukliński jest dla pana człowiekiem honoru?

Nie wiem, co pana Kuklińskiego zmusiło do pracy dla obcego wywiadu. Czy został do tego zmuszony, za pomocą jakichś materiałów kompromitujących, czy też miał taką sytuację, na przykład finansową, chociaż miał willę i piękny mahoniowy jacht. Uważam, że nie mam prawa go oceniać, natomiast mogę powiedzieć, że moim żołnierzom jako wzór bym go nie stawiał, bo jeśli się składa przysięgę swojemu krajowi, a nie byliśmy republiką radziecką, to powinno się przysięgi dotrzymywać. To, że Roosevelt i Churchill zrobili nam krzywdę, to inna sprawa. Polska nigdy nie lgnęła do Rosji. Jesteśmy tradycyjnie Europejczykami, jesteśmy w centrum i dlatego obrywaliśmy z różnych stron.

Czy chciałby pan, żeby obowiązywał w Polsce kodeks Bożewicza?

Myślę, że i tak jest u nas za dużo przemocy. Młodzi ludzie nie wiedzą, do czego służą kije bejsbolowe, więc gdyby jeszcze doszły pojedynki, to byłoby za dużo.

Ale gdyby taki kodeks honorowy był, to pewnie znaleźliby się tacy, których chętnie by pan wyzwał na pojedynek. Na przykład ministra Pałubickiego?

Pałubickiego nie wyzwałbym na pojedynek, bo to jest nieszczęśliwy człowiek ogarnięty obsesją. Jestem wybuchowy, ale szybko mi to przechodzi.

GROM – Grupa Reagowania Operacyjno-Manewrowego powstała w 1990 roku. Po raz pierwszy o GROMIE mówiło się, gdy w 1994 roku komandosi tej jednostki uratowali na Haiti życie 26 dyplomatów. Trzy lata później w Bośni schwytali Slavko Dokmanovicia poszukiwanego przez Międzynarodowy Trybunał w Hadze za wydanie rozkazu zamordowania 260 Chorwatów. Nazwa jednostki nawiązuje do brawurowej akcji Gromosława Czempińskiego, który uratował życie oficerom CIA uwięzionym w Iraku podczas „Pustynnej Burzy”.

teraturze zachodniej pisze się, że zdarzyło się to po raz pierwszy w historii armii Stanów Zjednoczonych. Te wszystkie zarzuty to są brednie. Jeżeli ja w Trzeciej Rzeczypospolitej, przez dziesięć lat ryzykując życie, robiłem różne rzeczy, za które zostałem odznaczony, to przecież ci, którzy mnie odznaczali, dobrze wszystko sprawdzili, zbadali. Nie będę się ustosunkowywał do tych bredni, to są wszystko fałszywki.

Czy fałszywką jest także to, że w 1990 roku został pan negatywnie zweryfikowany?

Gdybym był negatywnie zweryfikowany, to minister Krzysztof Kozłowski nie powierzyłby mi organizacji i dowodzenia GROMEM. Przecież to nonsens.

Chcę panu powiedzieć, że w tej chwili bardzo trudno będzie znaleźć coś na mnie. Ja mam już 55 lat i kończę swoją karierę. Zrobiłem rachunek z przeszłością. Życzyłbym tego wielu politykom, żeby zastanowili się nad swoją przeszłością, możemy ją porównać. Ja nie muszę się wstydzić. **Jakie pan ma zasługi dla PRL?**

To, że bardzo ciężko pracowałem, bo uważałem, że jeżeli coś robię, to powinienem to robić dobrze. Wtedy nie było Trzeciej Rzeczypospolitej, więc pracowałem dla tej Polski, w której się urodziłem. Nie ja decydowałem w Jałcie, gdzie będzie Polska. W związku z tym najpierw się uczyłem, a potem pracowałem w tej Polsce, w której pracowało wielu ludzi, na przykład tak-



FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

Ja i moi ludzie nie jesteśmy zawodowymi zabójcami- jesteśmy ratownikami, którzy znają swój fach i często narażają życie.

ja z powództwa cywilnego skarzę pana premiera Buzka i pana ministra Pałubickiego i żądam, żeby we wszystkich mediach za swoje pieniądze przeprosili żołnierzy GROMU. Jestem przekonany, że do tego doprowadzę. Sąd Najwyższy orzekł bowiem niedawno, że mogą oni odpowiadać nie tylko przed Trybunałem Stanu, ale też przed sądem powszechnym.

Mówił pan kiedyś, że żołnierze GROMU to ludzie niebezpieczni, jeśli się ich zostawi bez opieki. Czy oznacza to, że mogą być na przykład ludźmi do wynajęcia?

Jeśli teraz robi się w siłach zbrojnych ogromną redukcję, nic nie dając zwalnianym, to nie tylko ci komandosi mogą być niebezpieczni, inni żołnierze też. To jest błąd. Staram się im pomagać poprzez założoną przez siebie fundację.

Czy pan jest człowiekiem niebezpiecznym?

Mogę być człowiekiem niebezpiecznym, kiedy ktoś zagraża mojej rodzinie. Ja i moi ludzie nie jesteśmy zawodowymi zabójcami – jak się próbuje takich ludzi przedstawiać w filmach. Jesteśmy ratownikami, którzy znają swój fach i często narażają życie.

Czy nosi pan broń?

Czasem noszę, czasem nie. Najczęściej jest to piękny składany nóż, który dostałem od amerykańskiego generała – zwierzchnika operacji specjalnych Stanów Zjednoczonych – w obecności premiera Buzka. Nóż służy do wielu rzeczy. Można nim przeciąć pasy w samochodzie, jak się zatną w czasie wypadku, można coś wkręcić, można zrobić komuś tracheotomię, jeśli się dusi.

I można zabić.

Zabić można także ołówkiem, gołymi rękami.

Czy jako wojownik, wojak – jak pan mówi często o sobie – lubi pan wojaka Szwejka?

To świetna humorystyczna postać.

Nie tylko. To taki niepozorny człowiek, który swoim trochę kretyńskim szelmostwem stara się bronić przed biurokratyczno-wojskową machiną i wielkimi tego świata.

Mamy w Polsce dosyć szwejkostwa, trzeba kreować obraz żołnierza zawodowca, świetnie przygotowanego, znającego obce języki i na przykład ukończoną Akademię w West Point.

Jest pan, co zrozumiałe, człowiekiem, który wierzy w siłę, w kult munduru, zna psychologię rodaków. To jest coś, czym można manipulować, jak zdarzało się to już w przeszłości. Czasem bywa to groźne i groteskowe, jak w karykaturalnej postaci pokazuje to przykład kapitana z Köpenick – skądinąd szewca, który przybrał mundur kapitana, pociągnął za sobą wojsko, zdobył ratusz i kasę, z którą uciekł.

O czym pan mówi? Jeśli porównuje pan dowódcę GROMU z kapitanem z Köpenick, to kończymy na tym naszą rozmowę. Niech pan to wyłączy!

Panie generale, takie porównanie byłoby niestosowne i nie robię tego. Pan i GROM będziecie w panteonie bohaterów narodowych. Wszyscy pana kochają, jest pan wzorem honoru i cnót żołnierskich, został pan dżentelmenem 2000 roku.

Więc o co panu chodzi? O jakim manipulowaniu pan mówi? Żeby manipulować, trzeba mieć cel, na przykład trzeba chcieć startować w wyborach. Ja nie mam takiego zamiaru, a wojsko nie pozwoli się manipulować. Proszę zwrócić uwagę, że we wszystkich badaniach opinii publicznej wojsko ma bardzo wysokie notowania, cieszy się powszechnym szacunkiem społeczeństwa. ■



Najśmieszniejsza książka świata Plebiscyt „Przekroju” i RADIOWEJ „TRÓJKI”

Nikt nie wie, ile książek w dziejach literatury napisano z myślą o rozbawianiu czytelników, gdyż nikomu nie chciało się tego policzyć, a najmniej samym rozbawionym, bo ci odebrali już swoją nagrodę. Podobno były kiedyś czasy, gdy po samej okładce można było poznać, czy książka jest do śmiechu, ale to było dawno i nie całkiem prawda.

Najgorzej z arcydziełami. Im bardziej takie arcydzieło arcydzielne i współczesne, tym większe panuje pomieszenie śmiechu z poczuciem grozy lub czystą łąką wzruszenia, na co są przykłady, więc i dowody się znajdują. „Mistrz i Małgorzata”, „Paragraf 22”, „Lejzorek Rojsztwaniac” i wiele, wiele innych dowodów.

Gdyby do grona książek najśmieszniejszych mogły aspirować tylko te, które śmieszają na pełny etat i od deski do deski, to byłoby to po prostu śmieszne. A i śmiech śmiechowi niejednaki, żart żartowi nie do równa, co wynika z porównania doznań, jakich się doznaje podczas czytania „Kubusia Puchatka”, z doznaniem doznawanym podczas lektury „Kubusia Fatalisty” lub

„Przygód dobrego wojaka Szwejka”, chociaż na pozór wszyscy ci bohaterowie cieszą się reputacją postaci o bardzo małym rozumku. Cieszą, bo i czym tu się martwić, skoro cieszą czytelnika.

Trudno też bez popadania w śmieszność sprowadzić do wspólnego mianownika ciche chichoty nad Don Kichotem i Diderotem, śmiech rubaszny nad Fredrą, Rabalais'm lub Boccacciem, rechot po pachy nad „Karlssonem z Dachy” oraz śmiech perlisty nad jakąś inną pozycją z listy. Listy, której w dodatku nie ma, bowiem odbiorcy literatury nie chcą się wcale zgodzić umówić w sprawie tego, co ich śmieszy, ani w żadnej innej, zwłaszcza w Polsce. Ich zdania są podzielone razem z poczuciem humoru, czyli niesprawiedliwie.

Jak w takich warunkach porywać się na pomysł sporządzenia listy najzabawniejszych książek wszech czasów? Można się porwać tylko demokratycznie i stochastycznie, czyli w formie plebiscytu. Gdzie się takiego szaleństwa dopuścić? Najlepiej w PRZEKROJU, bo żadne inne pismo nie wpadnie jeszcze długo na równie niepo-

ważny pomysł. A skoro jeszcze długo, to szkoda czasu na czekanie, bo i tak bardzo brakuje go na czytanie wszystkiego, co mogłoby nas rozbawić.

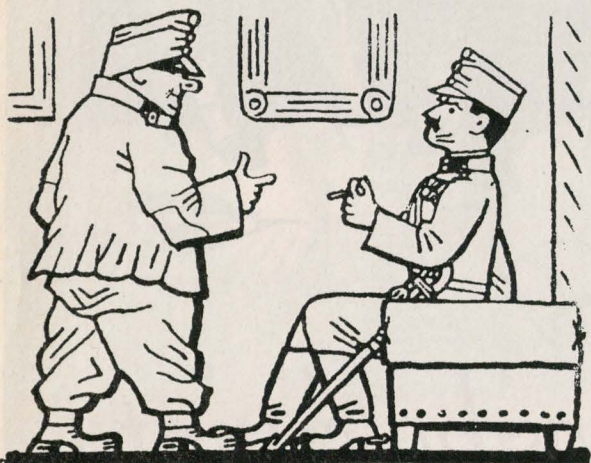
A jak już w wyniku plebiscytu powstanie odpowiednia lista książek najśmieszniejszych wśród śmiesznych, to każdy będzie wiedział, jakie pozycje z listy obśmiać bez czytania, a przy jakich śmiać się w trakcie czytania po raz drugi lub inny kolejny.

Jak się do udziału w plebiscycie zabrać?

Można po kolei. Najpierw sprawdzić, co w sprawie piszczy na tej i czterech następnych stronach PRZEKROJU. Słuchowcy mogą także posłuchać, co w tej samej sprawie piszczy w radiowej „Trójce”, która wespół z „Przekrojem” współorganizuje ten plebiscyt. Następnie trzeba napisać i wysłać do PRZEKROJU pocztą lub e-mailem (do 15 maja br.) swojego widzimisia w postaci propozycji co najwyżej pięciu tytułów, nie tłumacząc przy tym pod żadnym pozorem, dlaczego uważamy je za szczególnie śmieszne w całości lub fragmentach. A jeszcze potem to już wystarczy kupować, prenumerować albo podkraść z gazetnika w poczekalni u dentysty kolejne numery PRZEKROJU, by przekonać się, na ile nasze typy są typowe i czy wylosowaliśmy jakąś nagrodę, co będzie dość prawdopodobne, bo nagród przygotowaliśmy wiele, a wszystkie książkowe.

JAROSLAV HAŠEK

PRZYGODY DOBREGO WOJAKA SZWEJKA



RYŚ. JOSEF LADA

Feldfelbel skrzył papierosa. Szejek zaś oglądał tymczasem numer karabinu i zaczął mówić:

– 4268! Akurat taki sam numer miała pewna lokomotywa w Peczkach na szesnastym torze szlaku. Mieli ją wyprawić do depa w Łysej nad Łabą do remontu, ale sprawa nie była wcale taka prosta, jak się zdaje, bo ten maszynista, panie feldfelbel, co ja miał prowadzić, nie umiał zachowywać w pamięci liczb. Więc inspektor szlaku wezwał go do kancelarii i mówi: „Na szesnastym torze jest lokomotywa numer 4268. Ja wiem, że pan nie ma dobrej pamięci do liczb, a gdy się panu jakąś liczbę wypisze na kartce, to pan kartkę gubi. Skoro więc ma pan taką słabą pamięć do liczb, to proszę uważać, a ja panu dowiodę, że to bardzo łatwo zapamiętać sobie jakąkolwiek liczbę. Patrz pan: lokomotywa, którą ma pan odstawić do Łysej nad Łabą, ma numer 4268. Więc baczność: pierwsza liczba – czwórka, druga – dwójka. Możesz pan już zapamiętać 42, to jest dwa razy dwa, o ile bierze się rzecz od dwójki, albo też mamy 4 podzielone przez 2 równa się dwóm i znowu masz pan 4 i 2 obok siebie. A teraz, tylko nic się pan nie bój, ile to będzie dwa razy cztery? Osiem, nieprawdaż? Więc wbij pan sobie w pamięć, że ósemka z tej liczby jest ostatnią w tym szeregu. Gdy więc już pan wie, że pierwsza liczba jest 4,

potem idzie 2, a czwarta jest 8, to i trzecią zapamiętać nietrudno, jeśli się sprytnie zabrać do rzeczy. Strasznie to proste, bo chodzi o 6. Pierwsza 4, druga 2, czyli że razem 6. Murowane i pewne, że tej szóstki z trzeciego miejsca zapomnieć nie można. I oto masz pan liczbę 4268 utkwioną w głowie na zawsze. Albo też może pan dojść do tych samych wyników w sposób jeszcze prostszy...”

Feldfelbel przestał palić i wytrzeszczył oczy na Szejka.

– Kappe ab! – zamruczał pod nosem, a Szejek z wielką powagą mówił dalej:

– Więc zaczął mu objaśniać ten łatwiejszy sposób, żeby numer lokomotywy 4268 nie wyleciał z pamięci. Gdy się od 8 odejmuje 2, zostaje 6. A więc już masz 68. Sześć mniej dwa równa się cztery, jest więc i czwórka, czyli 468, a gdy się wstawi na drugie miejsce dwójkę, to się ma całą liczbę: 4-2-6-8. Można tę rzecz zrobić jeszcze łatwiej, przy pomocy mnożenia i dzielenia, a rezultat jest taki sam. Pamiętaj pan tylko tyle, że dwa razy 42 równa się 84. Rok ma dwanaście miesięcy. Odliczamy więc dwanaście od 84 i pozostaje 72, od tego odliczamy jeszcze 12 miesięcy, mamy 60. Szóstka jest już murowana, a zero odrzucamy. Wiemy już 42, 68, 4. Kiedyśmy już skreślili zero, to skreślimy i tę czwórkę na końcu i znowu ogromnie jasno i wyraźnie otrzymujemy 4268, czyli numer lokomotywy, którą trzeba odstawić do depa w Łysej nad Łabą. A z dzieleniem sprawa też jest nietrudna. Wyliczam sobie koeficjent według taryfy celnej. Czy panu słabo, panie feldfelbel? Jeśli pan chce, to mogę zacząć od „general de charge”. Fertig! Hoch an! Feuer! E, do pioruna! Pan kapitan nie powinien był wysyłać nas na takie ostre słońce. Trzeba lecieć po nosze.

Przywołany lekarz stwierdził porażenie słoneczne albo też ostre zapalenie opon mózgowych.

Kiedy feldfelbel odzyskał przytomność, Szejek, stojąc nad nim, rzekł:

– Muszę to panu dokończyć. Czy pan

myśli, panie feldfelbel, że ten maszynista sobie to zapamiętał? Wszystko pomieszał i poplątał, i pomnożył przez trzy, ponieważ przypomniał sobie o Trójcy Bożej. No i nie znalazł tej lokomotywy, która zapewne jeszcze ciągle stoi na torze 16.

Feldfelbel znowu zamknął oczy.

Szejek wrócił do wagonu i na pytanie, gdzie bawił tak długo, odpowiedział:

– Kto innych uczy laufszytu, sam musi robić sto razy „Schultert”!

Na końcu wagonu, w kącie trząsł się ze strachu Baloun. Pod nieobecność Szejka, kiedy się kura dogotowywała, zeżarł pół jego porcji.

przełożył PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

JAN KOCHANOWSKI „FRASZKI”

DO DZIEWKI

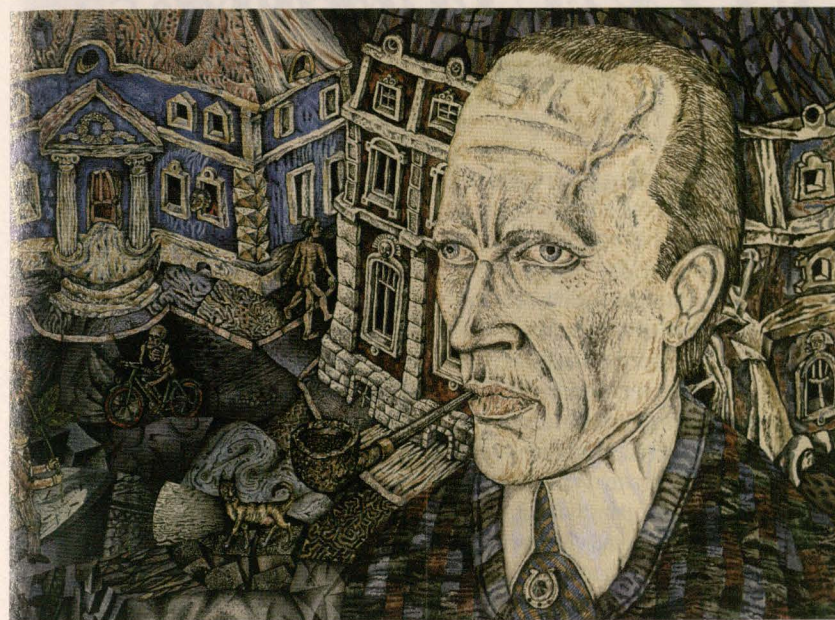
Nie uciekaj przede mną dziewczko
urodziwa,
Z twoją rumianą twarzą moja broda
siwa
Zgodzi się znamienicie; patrz, gdy
wieniec wiją,
Że pospolicie sady przy różej lelija.

Nie uciekaj przede mną dziewczko
urodziwa,
Sercec jeszcze nie stare, chocia broda
siwa;
Choć u mnie broda siwa, jesczczem
niezganiony
Czosnek ma głowę białą, a ogon
zielony

Nie uciekaj, ma rada, wszak wiesz:
im kot starszy,
tym, pospolicie mówią, ogon jego
twardszy;
I dąb choć mieścy przeschnie,
choć list na nim płowy,
Przedsię stoi potężnie, bo ma korzeń
zdrowy.

DANIEL CHARMS

Pijcie ocet, panowie



RYŚ. DMITRI SZEVIKOW-KISIEW

Puszkina i Gogol

Gogol upada z kulisy na scenę i spokojnie leży.

Puszkina (wchodzi, potyka się o Gogola i upada): Diabli nadali! Zdaje się, że to o Gogola!

Gogol (wstaje): Co za świństwo! Nie dadzą odpocząć. (Idzie, potyka się o Puszkina i upada) Chyba potknąłem się o Puszkina!

Puszkina (wstaje): Ani chwili spokoju! (Idzie, potyka się o Gogola i upada) Diabli nadali! Zdaje się, że znowu o Gogola!

Gogol (wstaje): Zawsze i wszędzie przeszkody! (Idzie, potyka się o Puszkina i upada) A to świństwo! Znowu o Puszkina!

Puszkina (wstaje): Chuligaństwo! Zwyczajne chuligaństwo! (Idzie, potyka się o Gogola i upada) Niech to diabli! Znowu o Gogola!

Gogol (wstaje): To zwyczajne kpiny! (Idzie, potyka się o Puszkina i upada) Znowu o Puszkina!

Puszkina (wstaje): Diabli! Naprawdę niech to diabli wezmą! (Idzie, potyka się o Gogola i upada) O Gogola!

Gogol (wstaje): Świństwo! (Idzie, potyka się o Puszkina i upada) O Puszkina!

Puszkina (wstaje): Niech to diabli! (Idzie, potyka się o Gogola i upada za kulisy) O Gogola!

Gogol (wstaje): Świństwo! (Wychodzi za kulisy)

Za sceną słychać głos Gogola: „O Puszkina!”

Kurtyna

(1934)

O Puszkinie

Trudno powiedzieć cokolwiek o Puszkinie komuś, kto nic o nim nie wie. Puszkina był wielkim poetą. Napoleon nie był tak wielki jak Puszkina. A i Bismarck w porównaniu z Puszkinem był zerem. Także Aleksandrowie I, II i III to po prostu pęta-ki w porównaniu z Puszkinem. Zresztą wszyscy ludzie w porównaniu z Puszkinem to pęta-ki, jedynie w porównaniu z Gogolem Puszkina sam jest pęta-ki.

Dlatego zamiast pisać o Puszkinie, napiszę wam lepiej coś o Gogolu.

Gogol jest jednak tak wielki, że nic o nim nie można napisać, dlatego też mimo wszystko będę pisał o Puszkinie.

Ale po Gogolu pisanie o Puszkinie jest w jakiś sposób poniżające. A o Gogolu pisać się nie da. Dlatego lepiej już nic o nim nie będę pisał.

13 grudnia 1936

przełożył JERZY CZECH

ŚMIESZNE TYPY POWAŻNYCH LUDZI



FOT. IGOR OMULEC

ANDRZEJ CZECHOT,

rysownik

„Przyczyny dobrego wojaka

Szwejka” Jarosława Haška

– po prostu śmieszne.

„Przyczyny Guliwera”

– śmieszność proporcji między

wielkością a małością. Francois Rabelais – w zasadzie cała jego twórczość mieści się w tym gatunku. Podobne odczucia mam w odniesieniu do twórczości Milana Kundery i Bohumila Hrabala. „Pociągi pod specjalnym nadzorem” – kopalnia refleksji.



FOT. S. KAMINSKI

ANDRZEJ ZOLL,

rzecznik praw obywatelskich,

profesor Uniwersytetu

Jagiellońskiego

Moją książkową „odtrutką”

niezmiennie pozostają „Przyczyny

dobrego wojaka Szwejka” Haška.

Przyjemności tej lektury towarzyszy dodatkowo fakt, że w mojej bibliotece posiadam tę książkę w niemieckim tłumaczeniu – odświeżam też dzięki temu znajomość języka. Po raz pierwszy sięgnąłem po nią jeszcze w gimnazjum. Znakomity odcień humoru połączony z „widokiem” Pragi – wciąż zadziwia mnie na nowo. Po tej lekturze czuję się jak po refleksyjnym spacerze ulicami tego miasta.



FOT. A. HRECHOROWICZ-FORUM

KRYSZYNA JANDA,

aktorka

Po pierwsze: „Szwejk” Haška,

następnie „Trzech panów

w łódce, nie licząc psa”

Jerome K. Jerome’a, „Syrena”

Czechowa, „Wielki świat”

Górnickiego, „Burzliwe życie Lejzorka” Erenburga. Dlaczego właśnie te, a nie inne książki? Ponieważ wtedy, gdy je czytałam, śmiałam się naprawdę.



FOT. J. SKOTNICKI-FORUM

KUBA SIENKIEWICZ,

wokalista zespołu

„Elektryczny Gitar”

Włodzimierz Wojnowicz: „Dziwne

przypadki żołnierza Iwana

Czonkina”. O wyborze tej książki

zadecydowały względy

sentymtalne. Są tam bowiem przygody lotnicze – co jest mi bardzo bliskie. Jest też sporo realizmu socjalistycznego. Leszek Kołakowski: „Rozmowy z diabłem”. Niezwykle pomysłowa i logiczna interpretacja Biblii. Stanisław Lem: „Bajki robotów”. Bardzo trafna futurologia i genialne słowotwórstwo.

STANISŁAW LEM

Wyprawa pierwsza a,
czyli Elektrybałt Trurla
(fragmenty)

Cyberiada

[...] Zdarzyło się raz Trurlowi zbudować maszynę do liczenia, która okazała się zdolna tylko do jednego działania, mnożyła mianowicie dwa przez dwa, a i to fałszywie. [...]

Od tamtego czasu Klapaucjusz obrzydział Trurlowi żywot, docinając mu tak i owak, aż ów zawziął się i postanowił wybudować maszynę, która będzie pisała wiersze. W tym celu zgromadził Trurl osiemset dwadzieścia ton literatury cybernetycznej oraz dwanaście tysięcy ton poezji i zabrał się do studiów. Kiedy już nie mógł wytrzymać od cybernetyki, przerzucał się do liryki, i na odwrót. Po pewnym czasie pojął, iż zbudowanie samej maszyny jest zupełną fraszką w porównaniu z jej zaprogramowaniem. [...]

Przez dwa tygodnie wprowadzał Trurl do swego przyszłego elektropoety programu ogólne; potem przyszło strojenie obwo-

dów logicznych, emocjonalnych i semantycznych. Już chciał prosić Klapaucjusza na próbny rozruch, ale się rozmyślił i puścił maszynę wpierw sam. Wygłosiła natychmiast odczyt o polerowaniu szlifów krystalograficznych dla wstępnego studium małych anomalii magnetycznych. Osłabił więc obwody logiczne i wzmocnił emocjonalne; dostała najpierw czkawki, potem ataku płaczu, wreszcie z największym trudem wyęgała, że życie jest straszne. Wzmocnił semantykę i dobudował przystawkę woli; oświadczyła, że ma jej odtąd słuchać, i kazała dorobić sobie dalszych sześć pięter do dziewięciu, jakie już miała, aby podumać nad istotą bytu. Wstawił jej dławik filozoficzny; wówczas przestała się w ogóle do niego odzywać i tylko kopała prądem. Największymi błaganiami skłonił ją do odśpiewania krótkiej piosenki: „Żabka i babka w jednym stały domku”, ale na tym się jej popisy wokalne skończyły. [...]

W ostatniej niemal chwili, gdy był już gotów iść na nią z młotem w ręku, przyszła mu zbawcza myśl. Wyrzucił wszystkie obwody logiczne i wstawił na to miejsce ksbne egocentryzatory ze sprzężeniem narcystycznym. Maszyna zachwiała się, zaśmiała się, zapłakała i powiedziała, że boli ją coś na trzecim piętrze, że ma wszystkiego dość, że życie jest dziwne, a wszyscy podli, że pewno niedługo umrze i pragnie tylko jednego: aby o niej pamiętano, gdy już jej tu nie będzie. Potem kazała sobie dać papieru. Trurl odetchnął, wyłączył ją i poszedł spać. Nazajutrz poszedł po Klapaucjusza. Usłyszawszy, że ma być obecny przy rozruchu Elektrybałta, bo tak postanowił nazwać Trurl maszynę, Klapaucjusz rzucił swoją całą robotę i poszedł jak stał, tak mu było spieszo zostać naocznym świadkiem porażki przyjaciela. [...]

Gdy wskaźniki amplifikacyjne pokazały, że moc liryczna dochodzi do maksimum, Trurl nieznacznie tylko drżąc ręką przerzucił wielki wyłącznik i niemal natychmiast głosem lekko ochrypłym, lecz emanującym dziwnie sugestywnym cza-rem, maszyna rzekła:

– Chrząskrzyboczek pacionkociewiczakrokrzysztofoniczny.

– Czy to już wszystko? – spytał po dłuższej chwili niezwykle uprzejmy Klapaucjusz. Trurl zacisnął tylko wargi, dał maszynie kilka prądowych uderzeń i znów włączył. Tym razem głos jej był o wiele czystszy; można się nim było prawdziwie rozkoszować, owym solennym, nie pozbawionym uwodzicielskiej wibracji barytonem:

Apentula niewdziosek, te będy gruwasne
W koć turmiela weprzącznie, kostrą bajtę spoczy,
Oproszędy zniemęci, wyświrle uwzroczy,
A korśliwe porsacze dogremnie wyczkaśnie!

– Po jakimu to? – spytał Klapaucjusz.

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY
„SŁÓWKA”

FRANIO

(Powieść dydaktyczna)

Franio był to chłopiec mały,
Ale był bardzo nieśmiały,
Lubił widzieć u siostrzyczki,
Kiedy zdejmuje spódniczki.
Zaraz robił się niebieski
I w oczach miał rzewne łezki.
Aż mówiła dobra niania:
„Żeby szlag nie trafił Frania”.
Albo się w kąpielu śmiała:
„Tobie by się żona zdała”.
A on patrzył, przestraszony,
Bo nie był uświadomiony.
Naradził się Tato z Mamą,
Że to już ostatnia pora
Zawieźć Frania do doktora.
Doktor zaraz wziął trzy ruble
I kazał go moczyć w kubie.
Powiedział, że to dziedziczne
Cierpienie psycho-fizyczne.
I że mu to przejdzie z wiekiem,
Jak będzie dużym człowiekiem.

Złe sobie daje świadectwo,
Gdy kto wyszydza kalectwo.

ASTRID LINDGREN

Braciszek i Karlsson z Dachy



– Jak się nazywasz? – spytał Karlsson.
– Braciszek – odpowiedział Braciszek.
– A właściwie nazywam się Svante Svan-teson.

– Dziwne doprawdy, jak różnie może być na świecie. Ja na przykład nazywam się Karlsson – powiedział Karlsson. – Tylko Karlsson i nic więcej. Hejsan. Hoppsan, Braciszku!

– Hejsan, hoppsan, Karlsonie! – odpowiedział Braciszek.

– A ile masz lat? – dopytywał się dalej Karlsson.

– Siedem – odpowiedział Braciszek.
– Bardzo dobrze. Rób tak tylko dalej! – doradził Karlsson.

Przełożył szybko tłustą nóżkę przez parapet okna i wgramolił się do pokoju.

– A ile ty masz lat? – zapytał Braciszek, który uważał, że Karlsson, jak na tłustego jegomościa, wygląda nader dziecinnie.

– Ile ja mam lat? – powtórzył Karlsson.
– Jestem mężczyzną w najlepszych latach, to jedno mogę ci powiedzieć.

Braciszek niezupełnie wiedział, co to znaczy „mężczyzna w najlepszych latach”. Może on sam – nic o tym nie wiedząc – jest mężczyzną w najlepszych latach? Zapytał ostrożnie:

– A jakie lata są najlepsze?

– Wszystkie! – odpowiedział Karlsson z zadowoleniem. – Przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Jestem przystojnym i nadzwyczaj mądrym, i w miarę tegim mężczyzną w najlepszych latach.

Następnie zdjął maszynę parową Braciszka, która stała na półce z książkami.

– Puśćmy ją w ruch! – zaproponował.

– Tatuś mi nie pozwala – odpowiedział Braciszek. – Albo tatuś, albo Bosse muszą być przy tym, gdy ją puszczam.

– Tatuś albo Bosse, albo Karlsson z Dachy – odpowiedział Karlsson. – Pozdrów swego tatusia i powiedz mu, że najlepszym na świecie specjalistą od maszyn parowych jest Karlsson z Dachy. [...]

Karlsson ukląkł przy maszynie parowej, a oczy jego lśniły.

– Niedługo już nabierze porządnego rozpędu – oświadczył.

Tak też było w istocie. Wkrótce maszyna parowa zaczęła pracować. „Futt-futt-futt” – mówiła. Och, była to najwspanialsza maszyna parowa, jaką można sobie wyobrazić, a Karlsson miał minę tak dumną i szczęśliwą, jak gdyby sam ją zrobił.

– Muszę sprawdzić kłapę bezpieczeństwa – powiedział w pewnej chwili, kręcąc zawzięcie jedną ze śrubek. – Zawsze zdarzają się nieszczęścia, jeśli się nie sprawdzi kłapy bezpieczeństwa.

„Futt-futt-futt” – terkotała maszyna parowa. Coraz prędzej i prędzej mówiła: „futt-futt-futt”. W końcu brzmiało to jak galop. Oczywiście Karlssona promieniały. Braciszek przestał już troszczyć się o plamy na półce, cieszył się ogromnie ze swej maszyny parowej i z Karlssona, który był najlepszym specjalistą świata od maszyn parowych i który tak dobrze sprawdził kłapę bezpieczeństwa.

– Tak, tak, Braciszku, to jest doprawdy prawdziwe futt-futt-futt! Najlepszy na świecie specjalista od maszyn parow...

Nie zdążył dokończyć, gdyż nagle rozległ się przeraźliwy huk i... nie było już maszyny parowej! Kawałki jej rozsypały się po całym pokoju.

– Wybuchła! – zawołał Karlsson z zachwytem, jak gdyby to była najpiękniejsza sztuka, jakiej można się było spodziewać po maszynie parowej.

przełożyła

IRENA SZUCH-WYSZOMIRSKA

Nasz plebiscyt także w radiowej „Trójce”.
Warto słuchać codziennie „Powtórki z rozrywki” od 24.04. br. (po godz. 13.00) oraz „Bardzo Kulturalnego Magazynu” w dniu 29.04. i w następne niedziele też.
I oczywiście warto także czytać o plebiscycie w następnych numerach PRZEKROJU.

ŚMIESZNE TYPY POWAŻNYCH LUDZI



FOT. C. PECOLD/FORM

KORA JACKOWSKA,
wokalistka zespołu „Maanam”
Isaac Bashevis Singer: „Cienie nad
rzeką Hudson”. Zdystansowany
ogląd środowiska żydowskiego.
Książka mądra, przedstawiająca
typowy dla autora światopogląd

– umiłowania każdej żywej istoty.

Robert McIlm Wilson: „Ulica marzycieli”. Opowieść o młodych ludziach i ich życiu w Belfaście, na tle walki między katolikami a protestantami. Tragiczna, wstrząsająca – a przy tym prześmieszna. Czytając ją, śmiałam się na głos, na głos też płakałam. Nie dziwi mnie, iż autora tej książki nazywają „Księciem opowiadaczy”.

Etgar Keret: „Gaza blues”. Krótkie opowiadania, w których w celny, humorystyczny i niekiedy obrazoburczy sposób autor opisuje rzeczywistość Izraela. Zamiast zbędnego patosu – jakże rzadko spotykany dziś dystans.



FOT. A. CHESTOWSKI/FORM

JERZY GRUZA,

reżyser
Helen Fielding: „Dziennik Bridget Jones”. Współczesna autoironiczna powieść. Jest mi szczególnie bliska ze względu na podobieństwo niektórych cech

mojego charakteru do osobowości bohaterki.

Alain de Botton „Jak Proust może zmienić twoje życie”. Rady wynikające z lektury „W poszukiwaniu straconego czasu”. Okazuje się, że można potraktować Prousta bardzo współcześnie – przełożenie wspomnianych „rad” na dzisiejsze czasy daje zaskakujące rezultaty.
Darek Foks „Pizza weselna”. Zupełnie nowy gatunek prozy. Gra słowem, powtórzenia, obserwacja – pozwalają mi wracać do tej książki kolejny już raz. Specyficzne potraktowanie rzeczywistości i próba jej opisu składają się, w moim przekonaniu, na pełny sukces tej książki.



FOT. M. GMITRUK/FORM

KRZYSZTOF ZANUSSI,

reżyser
„Don Kichot” – można się nad nim długo uśmiechać. Jest to bowiem pożegnanie pewnej formacji. Pod tym względem książka wciąż aktualna – dzisiaj

bowiem żegnamy się z elegancją we współczesnym świecie.



STANISŁAW BORTNOWSKI

Nowy egzamin maturalny z języka polskiego będzie naprawdę nowy, niepodobny do tego, który utrwalił się w świadomości Polaków. Spojrzę na przekształconą maturę oczyma ucznia i jego nauczyciela.

NOWA MATURA 2002

Maturę z polskiego zdają wszyscy uczniowie. Zaczyna się ona od próby ustnej, rozłożonej w czasie. Na początku roku szkolnego poloniści mają obowiązek przedstawić młodzieży tematy do wyboru. Dotyczyć one mogą nie tylko literatury, ale także nauki o języku oraz kontekstów interpretacyjnych, więc filozofii, sztuki, muzyki, teatru, filmu. Przyszły abiturient wybiera jeden problem, przysługuje mu jednak prawo zgłoszenia własnego pomysłu.

W ciągu roku szkolnego uczeń trzykrotnie melduje się na piętnastominutowe konsultacje do polonisty. Jego zadaniem jest wstępne wskazanie bibliografii, określenie zakresu odpowiedzi, sporządzenie planu, zgromadzenie materiałów pomocniczych. Nauczyciel ma obowiązek nie tylko udzielać rad zdającemu, ale także punktować propozycje.

Wewnętrzny, zewnętrzny

Egzamin, w obecności komisji, także został określony z matematyczną dokładnością. Najpierw uczeń rozwija problem, potem otrzymuje trzy i tylko trzy pyta-

nia. Ocenia się sposób realizacji tematu, kompozycję wypowiedzi, rozmowę i język. Za egzamin ustny łącznie z konsultacjami można uzyskać maksymalnie 60 punktów.

Egzamin ustny nazywa się wewnętrznym, pisemny – zewnętrznym. Czy to oznacza zmianę miejsca egzaminu zewnętrznego? Otóż nie. Próba ta – zakodowana, więc anonimowa – podlega ocenie komisji spoza szkoły. Arkusze wędrują w przestrzeń pozaszkolną, by wrócić z punktacją.

Maturzysta ma prawo zdawać egzamin pisemny w dwu wersjach: podstawowej i rozszerzonej. Wszystko odbywa się w jednym dniu. Najpierw w ciągu 110 minut trzeba napisać krótką rozprawkę dotyczącą lektury obowiązkowej. Przykładowy temat wydrukowany w Syllabusie brzmi: Jak przeszłość kształtuje relacje między inteligencją i chłopami w „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego? Dla ułatwienia (lub utrudnienia) wypracowania piszący musi dokonać analizy załączonej sceny z dramatu. Po przerwie w 80 minut abiturient winien od-

powiedzieć w kilku słowach lub w zdaniu na kilkanaście pytań sprawdzających rozumienie dołączonego tekstu. Może on dotyczyć np. mody językowej, honoru w czasach ponowoczesnych itp. Tekst ma charakter naukowy lub popularnonaukowy, zazwyczaj jest to esej.

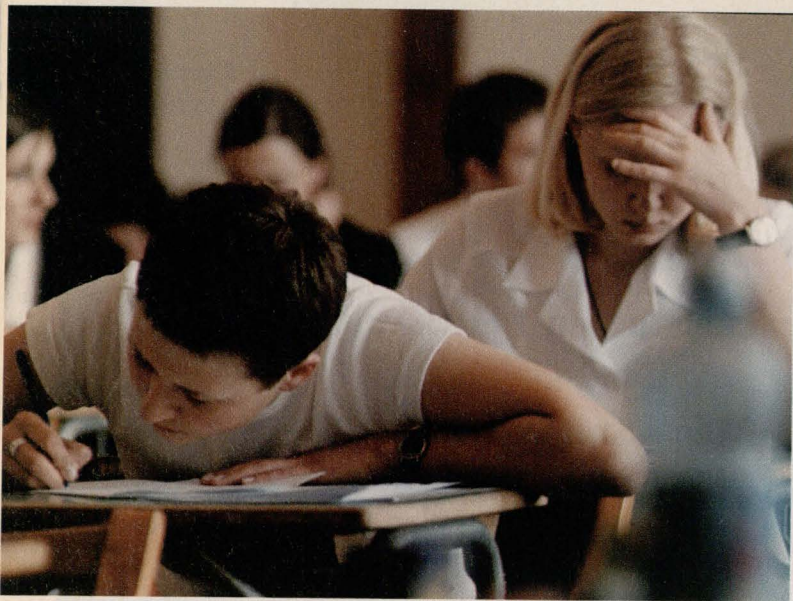
Zdający w wersji rozszerzonej po przerwie piszą kolejną interpretację, która polega na analizie dwu wierszy lub fragmentów prozy spoza programu. Np. trzeba zestawić dwa sposoby literackiego kreowania bohatera. Bohaterem jest Traugutt, a wybrane strony pochodzą z „Gloria victis” Elizy Orzeszkowej oraz z „Kompleksu polskiego” Tadeusza Konwickiego. Za pierwszą pracę można otrzymać maksimum 40 punktów, za drugą 30, za третią 30. Tym samym maturzysta nieomylny, obdarzony talentem narracyjnym, wnikliwością sądów i ambicją szerokiego ujęcia problemu może uzyskać 160 punktów.

Które z wydziałów uniwersytetów i szkół wyższych zechcą uznać maturę z polskiego w wersji rozszerzonej za wystarczającą

glejt na studia – nie wiadomo. Jest jeszcze obowiązkowy egzamin z języka obcego oraz z przedmiotu do wyboru. Jakie warunki postawi maturzystom podczas rekrutacji np. prawo, socjologia, filologia angielska czy historia, rozstrzygną uczelnie. Może się zdarzyć, że konkurs świadectw połączony zostanie z rozmową wstępną lub dodatkowym sprawdzianem pisemnym. Jedno jest pewne: automatyczne i swobodne przejście ze szkoły średniej do wyższej spełni się, ale tylko w odniesieniu do uczelni i wydziałów mniej atrakcyjnych.

Uczeń raczej zadowolony

Przyszły maturzysta, nie zdając sobie sprawy z tego, że bezbolesny wstęp na każdą uczelnię i każdy wydział jest niemożliwy, przystąpi do nowej matury zestresowany, ale chyba zadowolony. Bardzo dobrzy z polskiego lub hobbisci czytający zawzięcie Tolkienu, Sapkowskiego, ale i Dostojewskiego, Wojaczka, Szymborską, Tokarczuk czy Świetlickiego, ponadto filozofowie (są tacy), miłośnicy malarstwa, muzyki, filmu, sympha-



FOT. P. GRATYAG



FOT. J. MARCZEWSKI/AG

... korekty wymaga sposób oceny wypracowań oraz model egzaminu pisemnego

tycy teatru wyznaczają własne drogi poszukiwań i błysną na egzaminie ustnym.

Przebiegni, uwolnieni od żmudnych powtórek z całości materiału, chociaż nie zawsze chętni przedmiotowi, jakoś poradzą sobie z jednym, nawet szerzej ujętym zagadnieniem. Najślabi lub leniwi skorzystają z korepetycji, dla wszystkich zaś będą bryki, nad których przygotowaniem już dziś pracują autorzy takich pomocy. Innymi słowy, za kilkanaście lub kilkadziesiąt złotych można będzie przygotować się bezboleśnie do ustnej matury i zdać ją bez stresu. Nie przejdzie przez ni-

by-selekcję tylko taki czwartoklasista, który uprze się i nie zechce. Czytanie tekstu ze zrozumieniem, ćwiczone na lekcjach języka polskiego lub dodatkowych zajęciach, ucieszy i zdolnych, i słabszych. Wystarczy uważnie przeczytać tekst artykułu i wybrać trafne cytaty, przekształcając je nieco zgodnie z życzeniami instruktora. Ćwiczenia tak pojętego nie sposób nie zaliczyć, z tym że uczniowie myślą krytycznie wypadną poniżej swoich możliwości. Przeszkadzać im będzie myślenie pod sznurek, zgłaszają wiele wątpliwości lub zechcą podzielić się własną refleksją, a to tylko prze-

szkadza w prawie mechanicznym odtwarzaniu cudzych stwierdzeń.

Bryki to mało

Wypracowanie z literackiego arcydzieła zmusi wrogów czytania do przekartkowania lektur obowiązkowych. Bryki mogą nie wystarczyć, ale ponieważ nowa matura ogranicza rozmiary prac, jakoś to będzie, między innymi dzięki załączonemu fragmentowi i wiadomościom wyniesionym z lekcji. W sumie maturę z polskiego, odciążoną od encyklopedyzmu, w wersji powszechnej zaliczyć powinni prawie wszyscy uczniowie z lepszym lub gorszym wynikiem. Elita (nie tylko humanistyczna – wariant rozszerzony mogą wybrać ambitni matematycy, biolodzy czy technicy) będzie się musiała zmobilizować: w jednym dniu trzy różne zadania pisemne mogą zniewolić myśl i wytrącić z napięcia. Czy uda się rozdzielić egzamin pisemny na część obowiązkową i dowartościowującą – tego nie wiadomo, ale szczegółowych regulaminów maturalnych na razie nie ma, więc ustępstwo na korzyść uczniów jest jeszcze możliwe.

Poloniści raczej sfrustrowani

Powody niezadowolenia graniczącego z buntem są przede wszystkim natury materialnej i psychicznej. Konsultacje wymagać będą olbrzymiej pracy: 45 minut (w praktyce często dwukrotnie więcej) na jednego ucznia, jeśli się ma często sześćdziesięciu w dwu równoległych klasach, to wysiłek nadmierny. Nie ma żadnej gwarancji, że ta dodatkowa czynność równać się będzie dodatkowym pieniądzem. Nauczyciele, podobnie jak pielęgniarki, nie wierzą podwyżkom resortowym, a jak na razie – obietnic finansowych za nową maturę (niezwykle kosztowną) nie ma. Poloniści boją się także dyletantyzmu, nie czują się ekspertami od wszystkiego, przeraża ich niekompetencja wobec ucznia-erudyty. Wrogiem ustnej matury jest także nędzne zaopatrzenie bibliotek szkolnych w fachowe czasopisma i nowe lektury. O ile podobne obawy są w pełni uzasadnione, o tyle opór przed

nową lekturą, psychicznie zrozumiałą, może być czynnikiem wyzwalającym z rutyny. Nauczyciel musi stale się dokształcać i rzucać wyzwanie nierozpoznanemu.

Erudycja i sztanca

Inne zastrzeżenia nauczycieli języka polskiego oraz publicystów są wątpliwościami natury fachowej. Dotyczą przede wszystkim niekonsekwentnego modelu nauczania języka polskiego. Erudycyjny, prawie uniwersytecki w szczegółowych wskazaniach Syllabusa wzorzec egzaminu ustnego dla wszystkich, nawet tych nie zainteresowanych przedmiotem, oraz rozdarcie egzaminu pisemnego między interpretację arcydzieł (to cenne) a pozorowanym sprawdzianem czytania ze zrozumieniem (to bezwartościowe) kłóć się ze sobą i nie znajdują oparcia w liczbie godzin.

Przedmiot, i tak już obciążony wieloma powinnościami, pęka w szwach w czteroletnim liceum. A co będzie w trzyletnim? Horrendalny jest także zamysł merytorycznego punktowania wypracowań w formie sztancy narzucającej arbitralnie sposób rozwijania problemu. Takiej obłędnej punktacji nie stosował dotychczas nikt – narodziła się ona w biurokratycznym myśleniu centralnej komisji egzaminacyjnej i jest hańbą humanistyki.

Nową maturę trzeba przeciwzyć, potrzebne są jednak na nią duże pieniądze (organizacja całości, zaopatrzenie bibliotek, konsultacje), których to pieniędzy zapewne zabraknie (minister Handke, jak wiadomo, źle liczył).

Bezwzględnej korekty wymaga sposób oceny wypracowań oraz model egzaminu pisemnego: trzeba usunąć jako zbędne i zawsze mylne, doprowadzające do irytacji w punktowaniu czytanie ze zrozumieniem. Jeśli te warunki zostaną spełnione (forsa plus rozsądek), nową maturę z języka polskiego będzie można zaakceptować. Czy powyższy wniosek dotyczy także powszechnej matury z matematyki oraz egzaminu z innych przedmiotów – nie mnie rozstrzygać. Ja matematykę umiałem. ■

Co można dobrego powiedzieć o publikacji zatytułowanej „Syllabus z języka polskiego 2002”? To samo, co o całej reformie szkolnictwa, w porównaniu z którą reforma zdrowia mogłaby uchodzić za przygotowaną kompetentnie i realizowaną bez uchybień.

My z synowcem na przedzie

Już same okoliczności ogłoszenia „Syllabusa” mają posmak skandalu. W ustawie zwanej prawem oświatowym ministerstwo zostało zobowiązane do opublikowania zasad nowej matury (tym w istocie są syllabusy) najpóźniej na dwa lata przed jej przeprowadzeniem. Termin ten upłynął w maju 2000 roku. „Syllabusy” opublikowano na przełomie września i października, więc z czteromiesięcznym opóźnieniem. Ponieważ jednak od czerwca (nie w maju!) dostępne były w Internecie, władze uznały, że wszystko jest w porządku. Pogratulować! To doskonały wzorzec poszanowania prawa dla dzisiejszych licealistów, których zasady nowej matury, sformułowane w „syllabusach”, dotyczą.

Ale nie wklajamy się w przeszłość i zajrzyjmy do interesującej nas książeczki. Na początku znajdują się tu podstawy prawne egzaminu, między innymi „Podstawa programowa”, czyli zakres materiału wspólny dla wszystkich programów autorskich, realizowanych w polskich szkołach średnich. Przypominam bowiem czytelnikom odległym od spraw szkolnych, że od 10 lat nie ma w Polsce jednolitego programu nauczania języka polskiego. Podstawa programowa zapewnia natomiast pewien zbiór wspólnych lektur, haseł i umiejętności, które – przy całej indywidualizacji

nauczania – mamy uczniom przekazać.

Stanowczo najzabawniejszym zajęciem jest porównanie tej właśnie „Podstawy programowej” z zawartymi na dalszych stronach „Wymaganiami egzaminacyjnymi”. Formalnie obowiązuje mnie „Podstawa”; faktycznie muszę również pilnować „Wymagań”. W przeciwnym wypadku ryzykuję, że moi wychowankowie, egzaminowani przecież – zgodnie z ideą nowej matury – poza szkołą, będą wprawdzie wyedukowani zgodnie z prawem, ale niezgodnie z wymaganiami (oczekiwaniemi) egzaminatorów. Ktoś mógłby powiedzieć: ależ „Podstawy” i „Wymaganie” muszą być oczywiście tożsame, autorzy „Syllabusa” na pewno o to zadbał! Wprost przeciwnie, oto przykłady:

Według „Podstawy programowej” mam z młodzieżą omówić „wybrany dramat Szekspira”. Podczas egzaminu maturalnego będzie jednak sprawdzane, czy uczeń zna „Makbeta” lub „Romeo i Julię”. Podobnie wybrana komedia Moliera (z „Podstawy”) okazuje się przy bliższym poznaniu „Świętoszkiem” lub „Skapcem”, wybrana powieść Josepha Conrada – „Lordem Jimem”, a „inna wybrana powieść XX wieku” – „Dżumą” Camusa. I słusznie, jeszcze by jakiś młody nauczyciel chciał wprowadzać nowinki.

„Syllabus” w ogóle przeciwdziała niewczesnym rewolucjom

lekturowym: okazuje się, że młody Polak może znać tylko fragmenty „Ferdydurke” Gombrowicza, za to nie poradzi sobie w życiu bez całości „Szkiców węglem” Sienkiewicza. Jak to brzmi w sformułowanych na początku „Syllabusa” zadaniach szkoły? „Wprowadzanie ucznia w dziedzictwo literackie i kulturowe. (...) Interpretacja arcydzieł”. Gratulujemy władzom oświatowym powtórnie: „Szkice węglem”, „Gloria victis” Orzeszkowej (też lektura wymagana na maturze) – to arcydzieła, nie tam jakiś dziwak Gombrowicz... czy Witkacy (którego utworów podczas nowej matury nie będzie się wymagać w ogóle).

Ale bądźmy spokojni: egzamin zewnętrzny w ramach Nowej Matury będzie polegał na wypełnieniu testu, sprawdzającego umiejętność czytania ze zrozumieniem (po 12 latach szkoły...), oraz napisaniu krótkiej rozprawki na temat fragmentu lektury, dostarczonego maturzyście w postaci kserokopii (na wypadek, gdyby biedak nie przeczytał go w trakcie nauki). W tych okolicznościach lista lektur obowiązkowych naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Zwłaszcza że wcześniejszy egzamin wewnętrzny w szkole sprowadzać się będzie do wygłoszenia przez ucznia referatu, pisanego przez cały rok na wybrany temat. Bez możliwości dopytania go o znajomość pominiętych w referacie zjawisk, pisarzy, dzieł, myśli.

Jak powszechnie wiadomo, Polska ma zbyt niski, w stosunku do krajów Unii Europejskiej, procent obywateli z wykształceniem średnim i wyższym. Władze oświatowe postanowiły temu zaradzić, obniżając poziom matury z polskiego mniej więcej do poziomu dzisiejszego egzaminu wstępnego do liceum. Zgodnie ze sławną „myślą nieuczesaną” Leca: „W Polsce jest za dużo półinteligentów. – Pan to mówi jako inteligent? – Nie. Jako ćwierćinteligent”. Cel niewątpliwie chwalebny, prawda? Gorzej, że realizowany na łapu-capu. Ale w końcu można powołać się na narodową klasykę: to w „Panu Tadeuszu” Sędzia podnieca się wizją powstania pod wodzą Sopliców: „My z synowcem na przedzie i jakoś to będzie!”. Pan minister na przedzie z „Syllabusem” pod pachą, za nim nauczyciele... A uczniowie? Źle wyedukowani, z anachroniczną listą lektur, świadomi, że tak łatwą maturę zdadzą bez wysiłku, za to nieświadomi skomplikowania kultury współczesnej. Ta jednak na szczęście oferuje również bezmyślną rozrywkę, dopasowaną do poziomu absolwenta nowego liceum. Czeka nas naprawdę fantastyczne widowisko.

ANDRZEJ JANOWSKI

Autor jest nauczycielem w jednym z renomowanych warszawskich liceów.



FOT. M. LOBACZEWSKI/AG



MICHAŁ URBANIAK (ur. 1943), saksofoni-
sta i skrzypek jazzowy. Na początku ka-
riery współpracował m.in. z zespołami
Zbigniewa Namysłowskiego, Andrzeja
Trzaskowskiego i Krzysztofa Komedy
(1962–64). W 1973 roku wyjechał na sta-
łe do USA. Do końca lat 80. prowadził
zespół The Michał Urbaniak Fusion, w na-
stępnej dekadzie, pod wpływem hip-ho-
pu, nagrywał płyty jako Urbanator.
Współpracował m.in. z Billem Cobha-
mem, Joe Zawinulem, Wayne'em Shor-
terem, Milesem Davisem.

Z MICHAŁEM URBANIAKIEM
ROZMAWIA ANNA KOSOWSKA-CZUBAJ
ZDJĘCIA ANDRZEJ KOZAK/AG

**Na początku swojej muzycznej drogi
zetrnął się pan z Krzysztofem Komedą.
Jako muzyk już uznany współpracował
z Milesem Davisem. Jaki wpływ wywarły
na pana te dwie osobowości?**

Wpływ Davisa był olbrzymi, ale trudno
mi go ocenić, ponieważ – zanim doszło do
naszej współpracy – byłem już przesiąk-
nięty jego muzyką. Słuchałem przecież je-
go płyt, czytałem jego biografie, kilkakrot-
nie się spotykaliśmy. Natomiast Krzysio
Komeda potrafił mi pokazać inne podej-
ście do muzyki niż to, do którego byłem
przyzwyczajony. Byłem najmłodszy w je-
go zespole i przy tym purystą: liczył się
dla mnie jazz, jazz i nic więcej. Tymcza-
sem Krzysztof pozwolił mi poczuć, że
muzyka to także emocje. A emocji się nie
można nauczyć, trzeba ich po prostu do-
świadczyć.

**Wróćmy do Davisa. Był pan jedynym
Polakiem, który miał zaszczyt z nim
współpracować.**

Tak. I jedynym skrzypkiem. Trzeba bo-
wiem wiedzieć, że skrzypkowie – poza
drobnymi wyjątkami – nie są przez czar-
nych jazzmanów traktowani poważnie.

**Jest pan obecny zarówno na rynku
polskim, jak i amerykańskim. Czym różni
się nasz rodzimy jazz od tego zza
Atlantyku?**

Różnica jest zasadnicza. Amerykanin na-
wet jak nie wie, co to jest jazz, to gdy mó-
wi, swinguje. Rytmika i muzyka amery-
kańska są bardzo jazzujące, nawet chód
jest swingujący. Oni mają to we krwi. Mu-
zyczność i rytmiczność są częścią ich kul-
tury. Z kolei w Europie jazz niezwykle się
zintelektualizował, w moim przekonaniu
za bardzo. A przecież ta muzyka wy-
wodzi się z plantacji, domów publicz-
nych, zabaw, hulanek i swawoli. To prze-
cież w latach 40. i jeszcze 50. była mu-
zyka rozrywkowa, potem funkcję tę prze-
jął rock'n'roll.

**Czyli w Europie termin „jazz”
jest nadużywany?**

I to dosyć często. Bo czym jest jazz? To
muzyka, która płynie prosto z serca i z du-
szy. Intelkt nie jest tu zawsze mile wi-
dziany. Jeśli ktoś jest mądry i gra z ser-
cem, to oczywiście w porządku, ale sam
rozum tu nie wystarczy. Sporo szkody ro-
bią też niektóre szkoły jazzowe, bo kształ-
cą rzemieślników, ludzi, którzy potrafią
odtworzyć jazz. To samo, jeśli chodzi
o wielu promotorów festiwali w Europie,
także w Polsce. Zabijają oni publiczność,
sprowadzając zespoły nie mające z jaz-
zem nic wspólnego. To tak jakby wziąć
pięciu strażaków, dać im trąbkę, saksofon
tenorowy, parę innych instrumentów i la-
ikowi będzie się wydawało, że oni grają
jazz. Nic bardziej złudnego.

**Raz jeszcze wracamy więc do serca
i emocji...**

Posłużę się takim porównaniem. Jest pa-
ra kochających się ludzi, wszystko fanta-
styczne, ale pewnej nocy pani klepie pa-
na po plecach i mówi: „Słuchaj, kochanie,
zrób coś, bo nic się nie dzieje”. I tak jest
z jazzem. Nie można tego wymyślić. Jazz
jest jak seks, jest naturalną, życiową po-
trebą. Dla mnie jazz to bardzo pojemne
pojęcie: to reggae, samba, salsa, muzyka
źródłowa, prawdziwa, a nie muzyka pop,
która te gatunki podrabia i chce niekiedy
brzmieć podobnie.

**Co sądzi pan o awangardowych
wykonawcach, którzy występują
na jazzowych festiwalach?**

Po pierwsze – organizatorzy tych przed-
sięwzięć powinni z nazw wyrzucić słowo
jazz. Po drugie – ja nic nie mam przeciw-
ko eksperymentującym artystom, ba, do
rozmaitych poszukiwań jestem pierwszy
i nie przypadkiem, gdy miałem 14 lat, za-
miał pojechać na stypendium do Dawida
Ojstracha i kontynuować karierę wirtuoza
„klasycznego”, autentycznie zakochałem

JAZZMAN

przez całą dobę



Czym jest jazz?
To muzyka, która
płynie prosto z serca
i z duszy.
Intelekt nie jest tu
zawsze mile widziany.

się w jazzie i do dziś jestem jazzmanem 24 godziny na dobę. Tyle że bez względu na to, czy gram w smokingu, czy w dżinsach, zawsze odwołuję się do tych samych jazzowych korzeni, a tego nie można powiedzieć o wielu eksperymentujących dziś muzykach.

Co zatem jest dla pana istotą jazzu?

To jest pewien emocjonalny stan. Gra muzyka, coś się dzieje, jest takie melancholijno-optymistyczne uniesienie. Ja do dziś, gdy gram, czuję dreszcze na plecach. To uniesienie Miles Davis pięknie nazwał „rodzajem błękitu”, „Kind of Blue”.

Często można usłyszeć opinię, że jazz wyczerpał swoją formułę, skończył się. Co pan na to?

Jazz, oczywiście, nie umarł. Rzecz w tym, że można go dziś odnaleźć w wielu gatunkach muzycznych i gdyby z dzisiejszej muzyki rytmicznej wyeliminować naleciałości jazzowe, zostałyby tylko „Gorzkie żale” i „Serdeczna matko”. Jest więc odwrotnie, niż piszą znerwicowani publicyści. Jazz przeżywa swój renesans, a cały czas pojawiają się też gatunki jak hip-hop, które respektują istotę tej muzyki. **Nie jest pan jedynym jazzmanem, którego zafascynował hip-hop. Co jest takiego niezwykłego w tej muzyce?**

To też jest jazz i podobnie jak on został skarykaturowany. Istotą hip-hopu jest rytm. I muzyka ta, tak zresztą jak jazz, to nie tylko dźwięki, ale cały styl życia. No i emocje, o których tyle mówimy. Za każdym razem, ilekroć słucham muzyki, sprawdza się, że nie jest ważne, w jakim grasz stylu i jak trudną muzykę. Jeśli robisz to z serca, słuchacz to czują i nikt nie zerwie tej emocjonalnej więzi między wami.

W pana twórczości często słychać też ludową nutę...

Zacznę od siebie. Dawniej, jako purysta jazzowy, odrzucałem zarówno naleciałości muzyki klasycznej w jazzie, jak i tradycję ludową. Byłem wręcz wrogiem ludowości. To było ograniczenie, które, na szczęście, nie trwało długo. No bo jak

długo mogłem udawać, że nie jestem Europejczykiem, muzykiem wykształconym klasycznie i że nie oddziaływały na mnie dźwięki instrumentów ludowych. Dziś zebrało się już pewnie ze 25-30 utworów wyraźnie odwołujących się do folku i kto wie, czy z tymi utworami czegoś nie zrobię. Poczekam jednak, aż ta moda trochę przeminie, bo nie chciałbym spotkać się z zarzutem, że podłączam się do tego, co teraz popularne. **Wydaje się właśnie, że w ostatnim czasie Polacy oszaleli na punkcie folku, Brathanków, Golców...**

Rzeczywiście, trochę tego dużo. Ale bardzo jestem za takim graniem. Skoro wolno Bregoviciowi, i to jeszcze nie we własnym kraju, to dlaczego mielibyśmy być gorsi?

Lubi pan odwoływać się do rozmaitych tradycji. Czy ten eklektyzm panu jednak nie przeszkadza?

Czasami mówi się o mnie, że zmieniam się jak kameleon. A ja po prostu nie mogę być nieuczciwy wobec tego, co jest wokół mnie. Gdy śpię, słyszę dźwięki, gdy jeżdżę samochodem, słyszę dźwięki. Nie staram się ich naśladować, tyle że nie mogę, nie lubię i nie umiem być w innym środowisku dźwiękowym niż takim, które mnie otacza. Sam po prostu odnajdę się wśród tych nowych brzmień. ■

Historie

Kochankowie CZATU

TEKST BARBARA PAJCHERT
ILUSTRACJE PIOTR GIDLEWSKI

**Marta jest w niechcianej ciąży.
Irma nie może poradzić sobie
z natrętnym adoratorem. Dominika
wylądowała u psychiatry.
A zaczęło się całkiem niewinnie
od pogawędki w internetowej
kawiarence. Wirtualny świat
w zderzeniu z realnym okazał się
dla nich wielkim oszustwem.**

Marta pamięta, jak czekała podeksycytowana na przyjazd „Wally’ego” (nawet nie wie, jak ma naprawdę na imię).

– Moje dziecko nigdy nie pozna swojego ojca – płacze.

Wally – taki elokwentny, inteligentny, po prostu bratnia dusza. Marta – raczej nieśmiała, szara myszka. Nie potrafiła tak zwyczajnie nikogo poderwać, a samotność jej doskwierała. Możliwość pogadania z kimś w sieci była dla niej jak lekarstwo na smutek.

Wirtualny tatuś

– Spędzałam całe popołudnia, wieczory, a potem i noc na czacie. Gdy „spotkałam” Wally’ego, świat zawirował. Pytam, jakiej słuchasz muzyki, a on: U2. Książki? – proza iberoamerykańska. Wolisz morze czy góry? Morze oczywiście... Po dwóch tygo-

dniach czatowych rozmów uznałam, że w końcu spotkałam księcia.

Wymienili zdjęcia.

– Wally był przystojny jak cholera i tego samego dnia wysłał mi maila. Napisał, że nigdy dotąd nie spotkał takiej wspaniałej dziewczyny, że tęskni, że chce mnie w końcu dotknąć i że... przyjeżdża.

I przyjechał z ogromnym bukieciem krwistoczerwonych róż.

– Wyglądał inaczej niż na zdjęciu. Chyba nawet lepiej. Był czuły i romantyczny... To, że poszliśmy do łóżka, było naturalną kolejną rzeczą. Oboje wiedzieliśmy, że tak ma być, i już. Czy w momencie całkowitego uniesienia myśli się o takich banalnych sprawach jak prezerwatywy? – Marta znów płacze. – Moje życie to scenariusz na kiepski brazylijski serial, a miało być jak w „Masz wiadomość”. On miał być Tomem Hanksem, a ja Meg Ryan.



Wally w realu – jak mówią internauci – pozostał wirtualny. I po upojnej nocy najzwyczajniej w świecie zniknął.

Specjaliści badający uzależnienia od Internetu oceniają, iż wszelkiego rodzaju czaty i kawiarenki w sieci cieszą się takim powodzeniem przede wszystkim dlatego, że można w nich do końca pozostać anonimowym. I chociaż praktykuje się wymianę zdjęć, adresów, telefonów, to nigdy tak naprawdę nie można

być pewnym, czy interesujący student nie okaże się jakimś dewiantem, psychopatą albo zwykłym oszustem.

Patricia Wallace w swojej książce „Psychologia Internetu” wyraża opinię, że porozumiewanie się na czacie jest czymś zupełnie wyjątkowym. Rozmawiają ze sobą abstrakcyjne podmioty, które mogą udawać i kłamać. Mamy do czynienia z czystymi rolami, a nie osobami. A więc pomiędzy rolami bywa powierzchowna,



płytką, łatwa i nieodpowiedzialna. To jest zupełnie co innego niż rzeczywista więź międzyludzka.

E-flirciarze

Na czatach aż roi się od różnej maści podrywaczy, flirciarzy i erotomanów. O swoich fantazjach i potrzebach mogą opowiadać w specjalnie do tego wyznaczonych miejscach, czyli tzw. czatach tematycznych. W kawiarence o nazwie „Seks” od razu wiadomo, o co chodzi i każdy, kto tam wchodzi, nie oczekuje raczej intelektualnych pogawędek o literaturze. Ale internetowi flirciarze chowają się wszędzie.

Marek, czatowy „Misio”, jest żonaty i ma dwójkę udanych dzieciaków. Żonę kocha bardzo, ale życie rodzinne trochę go już nudzi, więc aby się rozzerwać, flirtuje z panienkami w sieci.

– To są takie niewinne rozmówki, które nawet żona wybacza. Chociaż raz się przestraszyłem, bo jakaś szesnastolatka przesała mi zdjęcie, na którym była

rozebrana. Przeniosłem się więc gdzie indziej. Niestety, obserwuję, że w Internecie jest coraz mniej miejsc, gdzie można sobie inteligentnie pogawędzić i poflirtować. Wchodzą na czat główniarze i wypisują jakieś brednie. Coraz więcej tam niekontrolowane chamstwa.

„Szczupak” jest zachwycony możliwościami, jakie daje Internet.

– Jeżdżę po całej Polsce i zaliczam kolejne panienki – mówi bez ogródek. – Na wakacje kroi mi się atrakcyjny wyjazd zagraniczny. Nikogo nie okłamuję. Dziewczyny, z którymi się spotykam, wiedzą, o co chodzi. Umawiamy się na seks, i już. Nikt do nikogo nie ma pretensji. Z paroma utrzymuję zresztą stałe kontakty. Gdy wyjeżdżam do Wrocławia, zawsze mieszkam u Lolki. Sypiamy ze sobą, chociaż ona kocha się w jakimś Edku, którego też poznała na czacie. Gdyby nie Internet, nigdy nie spotkałbym tylu fajnych dziewczyn. To

jest trochę tak jak w sportach ekstremalnych. Przed każdym spotkaniem skacze adrenalina. Człowiek się zastanawia, jaka ona będzie, jak wygląda. Dreszcz przebiega po kręgosłupie, gdy się dzwoni do drzwi. To jest fantastyczne. I bezpieczniejsze niż chadzanie do burdelu. Poza tym nic nie kosztuje, a zazwyczaj panny przyjmują z obiadem albo z kolacją.

Mieszkająca od kilkunastu lat w Niemczech Marlena porzuciła męża i córkę i przyjechała do Arki z Krakowa. Ma 38 lat, a on 19. Rozmawiali ze sobą, ślali do siebie maile, potem esemesy. Napięcie i uczucie rosło. Arek pisał: „Nigdy wcześniej się tak nie czułem”. A gdy Marlena przesała mu swoje zdjęcie: „Gozdinami mogę ci się przyglądać. Jesteś cudowna”. Marlena chłoneła te słowa. Mąż już dawno nie powiedział jej żadnego komplementu. I odkryła: jej małżeństwo wcale nie jest takie udane. Potrzebuje oddechu i czasu na

przemyslenie wielu ważnych spraw. Atrakcyjna 38-latką wsiała do samochodu i przyjechała na spotkanie ze swoją przyszłością. Arka w umówionym miejscu jednak nie było. Przesłał esemesa: „Zaszło nieporozumienie. Jestem nieleśni. To były takie żarty”.

– W Internecie wszystko dzieje się szybciej niż w normalnym życiu – zauważa Beata Radłowska, która już od kilku lat bada osoby popadające w uzależnienie od czatu. – Intymne rozmowy i wyznania w realnym życiu następują zwykle znacznie później. Dla wielu ludzi nieśmiały i zagubionych Internet może być jednak bardzo pomocny w nawiązywaniu kontaktów. Łatwiej powiedzieć komuś coś miłego, wystukując to na klawiaturze, niż patrząc mu w oczy.

Niektórzy psychologowie uważają jednak, że takie powierzchowne spotkania w Internecie wcale nie pomagają, a wręcz utrwalają samotność i nieśmiałość. Osłabiają prawdziwe więzi z drugim człowiekiem i uniemożliwiają spotkanie w realnym świecie. Ich zdaniem trudny kontakt z drugą osobą zastępuje się łatwą więzią z abstrakcyjnym partnerem z czatu. Jest to zwyczajne wygodnictwo czy też rodzaj ucieczki. Ponadto zawsze, niestety, istnieje niebezpieczeństwo, że nasza szczerść nie będzie odwzajemniona. Specjaliści oceniają, że tylko około 10 procent spotkań osób, które poznały się na czacie, nie kończy się rozczarowaniem.

Poznanie od końca

Internetowa „Otelia” sprzeciwia się tym – jak je nazywa – psychologicznym bredniom. Swojego męża poznała właśnie dzięki sieci.

– Oczywiście, że wcześniej marzyłam o tym, że tego JEDYNEGO spotkam w jakimś romantycznym miejscu, że spojrzę i zakocham się od pierwszego wejrzenia – opowiada. – Teraz cieszę się, że tak się nie stało. Jestem przekonana, że nasz wygląd i to tak zwane pierwsze wrażenie określa nasz stosunek do drugiego człowieka. Moja koleżanka za-

kochała się od tego tak zwanego wejrzenia i właśnie się rozwodzi, bo kochała się wyłącznie w jego wyglądzie. A ja mojego Jaśka poznałam jakby od tyłu, od końca. Najpierw dowiedziałam się o nim mnóstwa istotnych i nieistotnych rzeczy, a dopiero potem zaczęłam się zastanawiać, czy jest przystojny. I gdyby nie był, też bym za niego wyszła.

– Teraz tak mówisz, ale po pierwszym spotkaniu wyznałaś, że mój wygląd spędzał ci sen z powiek – mówi jej mąż.

– To nieprawda, żartowałam. „Otelia” była przed pierwszym spotkaniem bardzo ostrożna. Umówiła się z Jaśkiem w pubie, gdzie były tłumy ludzi. – Ręce mi drżały, byłam całkiem spocona. A on pojawił się... z kolegą.

Janek: – Jestem bardzo nieśmiały i bałem się, że rozmowa nie będzie się kleić. Co innego czat, a co innego „sam na sam” z atrakcyjną babką. Wziąłem kumpla, który zawsze jest duszą towarzystwa. I zaraz zacząłem żałować, bo przegadali ze sobą cały wieczór.

Pół roku później „Otelia” z Jankiem pobrali się.

– Znamy jeszcze kilka takich internetowych par. Czasami się spotykamy. W sieci można poglądać sobie zdjęcia ze ślubów i poczytać relacje z weselnych imprez. Jestem przekonana, że Internet może być bardzo pomocny w znalezieniu drugiej połowy. Szczególnie dla ludzi zagubionych, samotnych czy w depresji.

Złoty off-line

Gdy osoby gawędzące stale ze sobą w jakiejś wirtualnej kawiarence zaprzyjaźnią się i taka forma kontaktu już im nie wystarcza, organizują spotkanie w realnym świecie, czyli zlot off-line. Czasami spotkanie odbywa się w pubie, czasami u kogoś w domu.

– Takie złoty są naprawdę interesujące. Spotykają się ludzie z różnych stron Polski, przyjeżdżają z zagranicy. Tak normalnie nigdy pewnie nie poznałabym studentki z Paryża czy informatyka z Oslo. Po takiej imprezie mniej więcej wiadomo, czy ktoś nakłamał na swój temat w sieci, czy nie. Zaobserwowałam, że

bardzo często kobiety nie mówią, ile mają naprawdę lat. Pano wie z kolei ściemniają na temat swojej pracy. Po spotkaniu okazuje się na przykład, że młody biznesmen jest tylko przedstawicielem handlowym zachodniej firmy. Ale to są takie niewinne kłamstewka, z których potem się śmiejemy. Gorzej, gdy ktoś ukrywa jakieś swoje psychiczne de wiacje albo inne choroby – opowiada Anka.

Czatowcy przyznają, iż zdarzają się im sytuacje niezręczne, a nawet niebezpieczne. W 19-letniej „Irmie” zadurzył się starszy facet, jakiś nauczyciel, i nie daje jej spokoju. Chce się nawet dla niej rozwodzić, wciąż do niej dzwoni, pisze i wszystkich w to angażuje. Opowiada w sieci o swoich uczuciach do niej. Jest nachalny, a czasami nawet ordynarny.

– Bywa, że dochodzi do jakiejś nieprzyjemnej wymiany zdań. Internet daje możliwość wylania wszystkich swoich żalów do świata i innych ludzi. Nie tak dawno Danką przy wszystkich obraziła Ewkę, bo ta podobno umówiła się na randkę z Wackiem. Dowiedzieliśmy się, że Ewka to kretynka i dziwka. Niewybredne teksty na jej temat porozysłała też mailami do różnych osób. Kiedyś do naszej rozmowy włączyła się kobieta, która okazała się żoną jednego z naszych wirtualnych przyjaciół. Zwyywała nas od durnych panienek, które nie mają nic do roboty i uwodzą cudzych mężów – opowiada Kaśka.

Matylda „czatuje” w godzinach pracy i jest typowym wirtualnym oszustem.

– Pracuję w biurze i nie zawsze jest coś pilnego do roboty. Takie wirtualne pogawędki są dla mnie bardzo odprężające. Mogę się powyglądać, poudawać kogoś innego, wejść w rolę. Realny świat nie daje takich możliwości. Mnie to po prostu bawi. Udaję na przykład facetów i podrywam naiwne panienki. Dziś poleciała na mnie blondyna o dużym biuście, która przyznała się, że lubi perwersję. Jutro ma mi przesać swoje zdjęcie....



KLUB POD JASZCZURAMI

Kraków, Rynek Główny 8

ZAPRASZAMY

**25 kwietnia 2001
godz. 18:00**

SALON POLITYKI

pt. "Przenieście nam stolicę do Krakowa, bo dla serca szczególnie tu powietrze"
Zapraszamy na spotkanie z redakcją "Polityki" oraz na koncert zespołu **GRAAL** i film animowany pt. "Truskafki"
SALON "POLITYKI" to cykliczne spotkania zainicjowane i prowadzone przez najbardziej opiniotwórczy ogólnopolski tygodnik **POLITYKA**

**Kultowy klub studencki
działający od 1960 roku.**

KONCERTY najbardziej znanych i cenionych artystów polskiej sceny jazzowej.

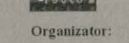
KAWIARNIA czynna od godz. 9.00, w której można poczytać codzienną prasę, zagłębić się w lekturę ciekawej książki. Zająć miejsce na słynnej kanapie na której siedział kiedyś Fidel Castro i Helmut Kohl. A wszystko to przy mocnej, aromatycznej, włoskiej kawie.

KINEMATOGRAF w niepowtarzalnej sali Teatru 38. Kultowe filmy puszczane na projektorze z 1951 roku. Filmy Davida Lynch, Larsa von Triera, Wima Wendersa, Wayne Wanga, Pedro Almodóvara najlepiej zobaczyć w Klubie pod Jaszczurami.

Sponsorzy:



Patroni Medialni:



www.podjaszczurami.com



116

BEZ SPECJALNEGO NADZORU

JERZY PIEKARCZYK

Nie jest nigdzie powiedziane, że walki między gangami nie przeniosą się również na grunt więzienny. Materiały wybuchowe przesyłane w paczkach i listach to już nie rzeczywistość filmowa, ale część realnego świata.

Proces „Krakowiaka”, gangstera uważanego za jednego z najgroźniejszych, został przerwany, ledwo się rozpoczął. Sąd zalecił badanie psychiatryczne oskarżonego, gdyż na sali rozpraw zachowywać się zaczął tak, jak nigdy przedtem. Obrona mówi o „psychozie reaktywnej”, o niekorzystnej zmianie osobowości na skutek dwuletniego przebywania w areszcie. Gdyby badania wykazały, że „Krakowiak” jest chory psychicznie, można by wnioskować, że największe sukcesy na polu przestępczości zorganizowanej odnoszą osoby chore na umyśle. Stwierdzenie takie samo w sobie wydaje się idiotyzmem.

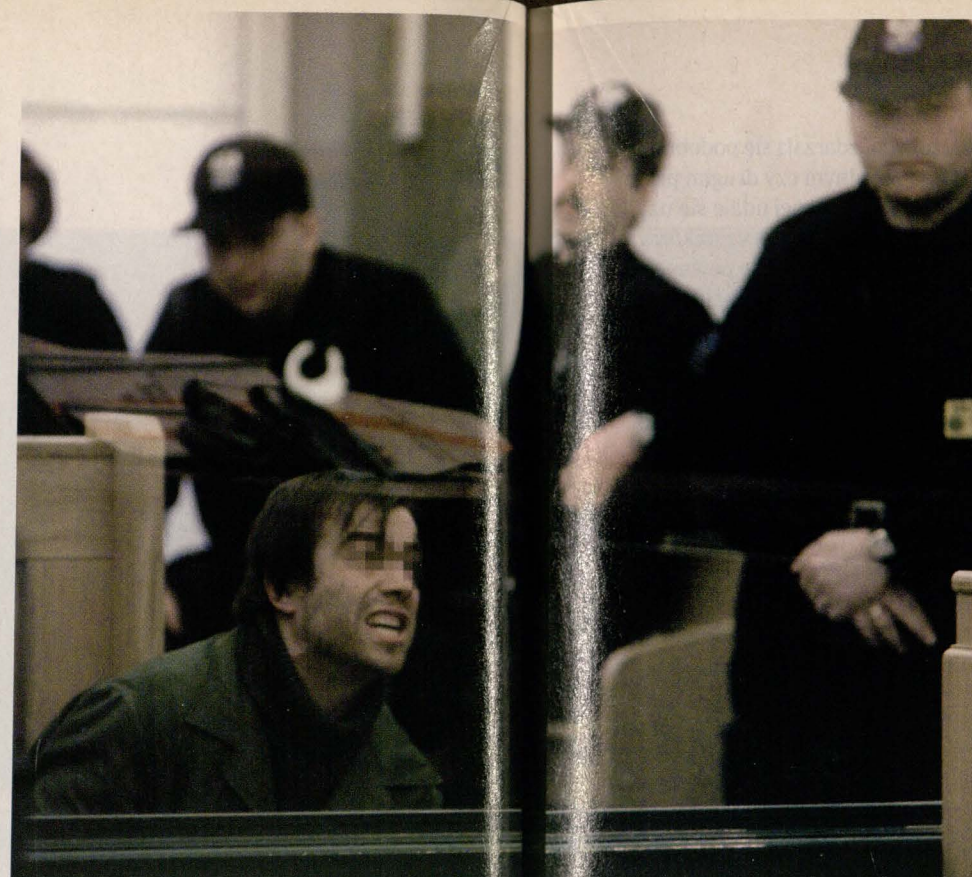
Wszystko zaczęło się zresztą nie dalej jak 15 lat temu. Co wcale nie znaczy, że wcześniej przestępczość zorganizowana była w Polsce zjawiskiem nieznanym. Miała jednak inny charakter i traktowano ją jak wyprysk na zdrowym ciele gospodarki uspołecznionej, z którym nie należy się specjalnie obnosić, gdyż jest zjawiskiem przejściowym. Przestępczość gospodarcza o charakterze aferowym – to był właśnie ten pryszcz. Mnożyły się afery: wełniane, skórzanе, mięsne, tytoniowe... Całe morze afer, ujawnianych bądź skrywanych, zależnie od potrzeb polityki wewnętrznej. Każda nowa ekipa wchodziła na scenę polityczną pod hasłami walki z aferowym bezprawiem.

Tak trwało, dopóki nie włączył się pierwszy hamulcowy, a za nim następni. Na początku lat 70. województwo krakowskie miało jeden z naj-

FOT. BOGDAN HRYWIAK



Niekorzystna zmiana osobowości „Krakowiaka”...



na skutek...



dwuletniego przebywania w areszcie.

FOT. PIOTR GALEK/SUPER EXPRESS (3)

wyższych wskaźników wykrywalności przeróżnych afer. Przez pewien czas uważano to nawet za sukces, dopóki w stolicy ktoś się nie przebudził: A cóż to się u was, towarzysze, w tym województwie dzieje?

Jednak prawdziwe gangi, żerujące nie na jakiejś tam socjalistycznej branży obuwniczej, lecz takie z krwi i kości, pochodziły z rzeczywistości kinowo-telewizyjnej. Facetów z Cosa Nostra nijak nie dało się porównać do prezesa GS-u, który, wspólnie z kierownikiem gminnej masarni, wpuszczał do nielegalnego obiegu kilkadziesiąt kilogramów kiełbasy „zwyczajnej”. Gdyby ktoś zechciał zrobić z tego film sensacyjny, byłby śmiech na sali.

Kroki w dżungli

Cofnijmy się do początku lat 90. Polska stawia pierwsze kroki w dżungli wolnego rynku. Co się robi, abyśmy poznali smak nowego życia? Likwiduje wydziały do zwalczania przestępczości gospodarczej w komendach policji. Ktoś mógł sobie pomyśleć, że to brak wyobraźni, głupota albo sabotaż. Można było chyba przewidzieć, że transformacja stworzy chaos w gospodarce i niezbędny okaże się policyjny aparat, wyczulony na nową klasę ludzi interesu, którzy będą kombinować, jak w tym chaosie „zdobyć ten pierwszy milion dolarów, a potem zostać uczciwym człowiekiem”. Tymczasem aparat rozkręcono, powyrzucano śrubki. Kiedy stwier-

dzono, że trzeba go na gwałt naprawić, w III Rzeczypospolitej zadomowili się już przestępcy zorganizowani według najlepszych zachodnich wzorów.

Eugeniusz Zawada, który w 1970 r. zaczął po studiach jako wychowawca w więzieniu, z końcem lat 90. pracował już w Centralnym Zarządzie Zakładów Karnych, zajmując się m.in. przestępczością zorganizowaną, która stawiała się coraz groźniejszym zjawiskiem. Teraz stwierdza: „Zanikanie przestępczości indywidualnej na rzecz związków przestępczych będzie się nasilać. Jeśli jednak chodzi o przestępczość zorganizowaną, nowy kodeks karny jest zdecydowanie łagodniejszy od poprzedniego, który obowiązywał po roku 1969”.

Udowodnienie przynależności do takiej grupy to masa roboty dla policji i prokuratury. Trzeba szukać powiązań, wynajdywać szefów, ujawniać zależności. O ile mniej kłopotu nastręcza „zapudłowanie” delikwenta za jedną kradzież. Dla podejrzanego najważniejsze jest uniknięcie kwalifikacji z paragrafu, który mówi o działaniu w zorganizowanej grupie przestępczej, bo za to można, mimo wszystko, dłużej posiedzieć. Kto siedzi najczęściej? „Żołnierze” – wykonawcy poleceń, najniższy poziom w hierarchii. W roli wykonawców widzą siebie najchętniej, choć w opinii służby więziennej zajmują znacznie wyższą pozycję niż ta, jaką sobie przypisują, gdyż w śledztwie lepiej udawać, że się jest pionkiem niż figurą.

Przestępczość zorganizowana opiera się na hierarchii oraz racjonalnym i planowym podziale pracy. Awans zmniejsza liczbę wykonywanych zleceń. Walka o wyższe miejsce w hierarchii bierze się z chęci oddalenia ryzyka, jakim jest kryminal, do którego wysoka szarża trafia najrzadziej. Podobnie jak na wojnie – bardziej narażeni są szeregowcy niż generałowie.

Układ rodzinny

Organizator działalności przestępczej w chwili osiągnięcia wysokiej pozycji materialnej dąży do wtopienia się w środowisko ludzi legalnie prowadzących interesy. Brudne pieniądze trzeba wyprać, podejrzaną działalność zalegalizować. Wtedy o wpadkę najłatwiej. „Pershing”, nim go zastrzelono, był już na innej orbicie niż ta, po której krążył na początku kariery.

Różnorodność branż w ramach jednej organizacji przypomina dobrze prosperujące przedsiębiorstwo, które dla bezpiecznego utrzymania się na rynku nie może zajmować się działalnością jednego typu. Jest to już nie tylko przestępczość zorganizowana zawodowo, ale przestępczość fachowa, gdzie każdy wykonuje swój fach, a w cenie jest profesjonalizm. Więzienie to wkalkulowane w tę robotę ryzyko, „wypadek przy pracy”, cena „błędu w sztuce”. W zorganizowanej grupie można jednak mieć pewność, że gdy przyjdzie odsiadywać wyrok, szefowie zadbają, aby

rodzina żyła na godziwym poziomie. Z kolei rodziny godzą się na ten układ, widząc płynące z niego materialne korzyści. Uzależnione od pomocy środowiska przestępczego, ściśle z nim współpracują. Krąg się zamyka. Nie można bowiem powiedzieć: dziękuję, ja wysiadam, gdyż próba wycofania się z interesu może być uznana za zdradę.

Sporym autorytetem wśród przestępców cieszą się ci, którym, mimo aresztu tymczasowego, udało się uniknąć skazania i opuścić więzienie. Rośnie wówczas charyzma przestępcy, gdyż umie się bronić i ma wpływowych przyjaciół. Przekonanie to wzmacniają pieniądze, które mogą mieć szerszy zasięg rażenia, jeśli się zważy, że średnia miesięczna pensja strażnika wynosi około tysiąca złotych. Posiadając doświadczenie, można zainwestować w dobrego adwokata, bo wtedy zwiększa to szansę zwolnienia z aresztu i prowadzenia skutecznej obrony.

Płk Eugeniusz Zawada mówi, że w ostatnich latach widać zubożenie osób pozbawionych wolności, stąd w hierarchii wartości jeszcze większego znaczenia nabiera status materialny. Powszechna jest opinia, że osadzeni członkowie gangów mają doświadczenie do dużych pieniędzy, choć nikt tego nie potrafi stwierdzić. Szczególnie niebezpiecznym zjawiskiem jest identyfikowanie się zwyczajnych więźniów z przestępczością organizowa-

naną, która im imponuje pod każdym względem. Przestępcy również dostrzegali, że przyszłość należy do działań zespołowych.

Bomba w paczce

Tymczasowe aresztowanie, stosowane przeważnie dla dobra śledztwa, przebiega w warunkach o wiele łagodniejszych niż dawniej. Nie zmienia to faktu, że człowiek siedzi. W aresztach uczestnicy grup zorganizowanych podporządkowują się bez sprzeciwu przepisom – taka jest opinia funkcjonariuszy służby więziennej. Nawet gdy ktoś chwilowo zachowuje się nie tak, jak tego wymaga regulamin, szybko przywołuje go do porządku przywódca grupy. Chodzi o to, aby nie podpadać niepotrzebnie. Chociaż 80 procent spośród wybranej grupy aresztantów i więźniów badanych w 1998 r. wykazało duże zdyscyplinowanie, zdaniem funkcjonariuszy są to tylko pozory – maskują bowiem prawdziwe postawy i poglądy.

Im wyższa pozycja w hierarchii zorganizowanej, tym mniejsze zaangażowanie w więziennej podkulturze. Pozycję umacnia utrzymywanie kontaktów ze środowiskiem zza krat. Nawet tradycyjne zasady grypsery są łatwo zmieniane pod naciskiem przestępców, za którymi stoi organizowa-

Podczas światowej konferencji ministrów (odbyła się w 1994 roku w Neapolu), przestępczość zorganizowaną zdefiniowano: działanie trzech lub więcej osób, które pozwalają ich przywódcom osiągać zyski, kontrolować terytorium lub rynki wewnętrzne czy zagraniczne poprzez przemoc, zastraszania lub korupcję. Chodzi przy tym zarówno o własne działanie przestępcze, jak również infiltrację legalnej działalności gospodarczej. Wzorami dla przestępczości zorganizowanej są mafia sycylijska, neapolitańska camorra, amerykańskie rodziny, kolumbijskie kartele, chińskie triady bądź japońska yakuza. Według szacunków policji z 1999 r. w Polsce istnieje ok. 450 zorganizowanych grup przestępczych. Część z nich ma zasięg międzynarodowy. Brakuje precyzyjnych danych określających liczbę aresztowanych i skazanych uczestników takich grup, przebywających w aresztach i zakładach karnych. Przypuszcza się, że może ich być ponad tysiąc. Ci, którzy trafiają do więzień, tworzą nową generację skazanych, rządzących się prawami innymi niż najbardziej zatwardziali recydywiści.

na grupa. Kontakty z administracją aresztu mogą wzbudzać podejrzenia, więc zwyczajowo się ich unika.

Nadal obowiązuje jednoosobowe przywództwo, lojalność i posłuszeństwo, ale cel, któremu służą, znajduje się nie tutaj, lecz za murami. O przestępstwach rozmawia się tylko w zaufanym kręgu zawodowców. Jeśli przyjąć, że wrogie sobie ugrupowania przestępcze na czas pobytu swoich ludzi w więzieniu zawieszają konflikty i nieporozumienia, wydać się może, że zakład karny jest jedynym bezpiecznym miejscem dla ich przywódców. Nie jest

go świadka? A przecież pozostaje wciąż otwarty problem przemycania do aresztów telefonów komórkowych i narkotyków...

„Marchewa” i inni

Zarządzenie ministra sprawiedliwości z 1997 r. mówi wyraźnie, kto ma powiadamiać dyrektora aresztu śledczego o konieczności izolowania współuczestników przestępstwa. Często się jednak zdarza, że właśnie sądy zapominają o tym obowiązku. Na przykład „Marchewa”. W nakazie przyjęcia do aresztu śledczego ani w żadnym innym piśmie nie wspomniano, czy i od kogo należy go izolować. A był uważany za „gangstera nr 1”, przywódcę dużej, zorganizowanej grupy przestępczej. Podobnie w przypadku Jerzego K.: napady na konwoje z pieniędzmi, wymuszenia rozbójnicze, prowadzenie wypożyczalni narzędzi i samochodów używanych do dokonywania przestępstw.

W dokumencie, który za nim posłano do aresztu, o tym ani słowa. Szczęśliwie się złożyło, że obaj wcześniej byli tam znani i gdyby „Marchewę” osadzono od razu w Krakowie, administracja aresztu wiedziałaby, co robić. Posadzono go jednak w zakładzie karnym w Wadowicach, gdzie wiadano o nim tyle, co sam zechciał opowiedzieć. I traktowany był jak każdy inny tymczasowo aresztowany, nie wymagający szczególnej izolacji. „Jeżeli tak mają wyglądać uzasadnienia w postanowieniach o tymczasowym aresztowaniu – mówi Andrzej Popiołek – to znaczy, że sąd albo nie wie do końca, z kim ma do czynienia, albo nie ma zaufania do administracji aresztów. Tak czy inaczej, jest to dla nas ogromny problem”.

Od chwili, gdy postanowienia o tymczasowym aresztowaniu zaczęły wydawać sądy, jakoś merytoryczna informacja zawartych w tych dokumentach uległa pogorszeniu. Jakby sędziowie dbali wyłącznie o stronę formalną.

Przestępcę, który stał na czele pięcioosobowej grupy zorganizowanej zajmującej się seksbiznesem i podejrzanej o dokonanie zabójstwa połączonego z okaleczeniem zwłok, osadzono ze współnikami w tym samym areszcie. Po trzech miesiącach jeden z nich powiedział wychowawcy, że podczas przesłuchania ujawnił szczegóły przestępstwa, wydając pozostałym i teraz obawia się zemsty. Paradoks polegał na tym, że w postanowieniu o tymczasowym przyknięciu szefa gangu wyraźnie napisano, komu może zawdzięczać pobyt w areszcie, a odpisy postanowienia otrzymali wszyscy aresztowani.

Sytuacje, kiedy z imienia i nazwiska wymienia się osoby obciążające współ-

oskarżonych, zdarzają się podobno coraz częściej. W jednym czy drugim przypadku służbie więziennej udaje się uzyskać zgodę na rozmieszczenie członków grupy w różnych aresztach. Ale pewnego dnia „kapusiowi” stać się może krzywdą, a przecież to areszt odpowiada za jego bezpieczeństwo – kodeks karny wykonawczy wyraźnie do tego zobowiązuje. Informacje, dostępne wszystkim członkom grupy, sprawiają, że ten, kto ma coś do powiedzenia, woli milczeć. Kto poznał okoliczności powodujące zmianę raz już złożonych zeznań, nie będzie się już dziwił: dlaczego? Znany jest przypadek, w którym – skazanego już w jednym procesie – świadka incognito umieszczono w zwykłej celi, chociaż miał zeznawać w sprawie trzech dużych gangów. Wyjaśniło się, gdy poprosił o ochronę. W chwili przyjmowania do aresztu zapomniano poinformować odpowiednie służby o jego szczególnym znaczeniu dla śledztwa.

Kiedy z konwoju uciekł „Sabro”, policjanci tłumaczyli się, że nikt im nie powiedział, iż mają do czynienia z zabójcą i członkiem zorganizowanej grupy przestępczej. Dlatego, wracając do aresztu, postanowili dać mu szansę spotkania z żoną. W dokumentach rzeczywiście nie było informacji, kim jest „Sabra” i czego się można po nim spodziewać.

Współuczestników przestępstwa często przywozi się do aresztu jednym samochodem, w jednym przedziale, choć z dokumentacji wynika, że należy ich izolować. W przypadku przestępczości zorganizowanej powinni przebywać jak najdalej od siebie, choć przeczy to ekonomicznie procesowej i limitom benzyny. Do czasu zapadnięcia wyroku należy ich trzymać pod szczególnym nadzorem.

„Areszty śledcze są nieszczelne, wpływa na to ich przeludnienie, architektura, położenie” – mówi ppłk Stanisław Potoczny, dyrektor Aresztu Śledczego w Krakowie, jednego z najbardziej przepełnionych w kraju. „Przestępczość zorganizowana staje się coraz brutalniejsza, obraca dużymi pieniędzmi, jest gotowa do kumpowania funkcjonariuszy. Brak należytej współpracy i wymiany informacji między policją, prokuraturą, sądem i służbami więziennymi nie tworzy warunków niezbędnych do zwalczania przestępczości. Są powody, aby obawiać się o bezpieczeństwo aresztowanych, a sprawy dotyczące przestępczości zorganizowanej wloką się nieprawdopodobnie długo. Do tej pory gangi zwalczały się po tamtej stronie. Na terenie więzień obowiązuje jeszcze pakt o nieagresji, ale co przed nami – nie wiem”.

Gdy w 1989 r. debiutował Festiwal WRO – sztuka mediów była czymś podejrzanym. Teraz jego twórca jest zapraszany na niemal wszystkie imprezy prezentujące wideo-art.

WRO MU W GŁOWIE

PIOTR KRAJEWSKI jest pomysłodawcą i jednym z głównych organizatorów Festiwalu Sztuki Nowych Mediów – Wizualnych Realizacji Okołomuzycznych. W ciągu zaledwie dziesięciu lat festiwal stał się jedną z najważniejszych imprez tego typu w Europie. W kilka tygodni po runięciu muru berlińskiego, w grudniu 1989 roku, po raz pierwszy artyści video-artu spotkali się we Wrocławiu. „Chcieliśmy pokazać, że nie tylko zmiany w polityce, ale też zmiany w obrazie kultury są możliwe. Sztuka mediów była czymś niezwykle podejrzanym. Artysta, który miał w ręku narzędzie podobne do telewizji, to dla decydentów było coś niepojętego, trudnego do zaakceptowania. Przede wszystkim dla istniejącej jeszcze wówczas cenzury”. Piotr Krajewski jest absolwentem kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego, który ukończył w sławnym roku osiemdziesiątym. Pracując w Klubie Dziennikarza miał wtedy okazję zaobserwować wzmożone spożycie alkoholu i popłoch środowiska dziennikarskiego wynikający z dylematu: za kim by się opowiedzieć? W tym samym czasie Violetta, żona Piotra, zaczęła studia na podyplomowym Wydziale Organizacji Produkcji Filmowej łódzkiej PWSFTViT. Tam zastał ich stan wojenny. „Trzeba było coś zrobić. Skorzystałem z propozycji kolegi, który zajmo-

wał się uczciwą pracą – układał posadzki z żywicy epoksydowych”. Lata osiemdziesiąte to dla Krajewskiego, jak zresztą dla wielu ich przyjaciół i znajomych, czas emigracji zewnętrznych lub wewnętrznych, spotkań, poszukiwań, kontestowania rzeczywistości. Wtedy zaczęła się znajomość i przyjaźń Violi i Piotra ze Zbyskiem Kupiszem. Wówczas Kupisz był menedżerem znanego zespołu Klaus Mitffoch Lecha Janerki. We trójkę postanowili wyprodukować pierwszy, z prawdziwego zdarzenia, wideoklip Mitffocha. Niestety, nigdy nie pojawił się na ekranach. W owym czasie paszport był czymś nieosiągalnym. Za którymś razem Piotrowi się udało. Pojechał w podróż do Hamburga, Kopenhagi i Sztokholmu. To, co tam zobaczył, przypominało spotkania na strychach Łodzi. Wszędzie rodziła się sztuka nowego medium, jaką był artystyczny film realizowany na taśmie wideo. Po powrocie Jan Jakub Kolski, późniejszy twórca „Jańcia Wodnika” i „Pograbka”, rekomenduje Krajewskiego we wrocławskiej Kurii Arcybiskupiej. Jeździł od plebanii do plebanii, wyświetlając parafianom filmy o tematyce religijnej.

W 1987 roku wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie pieniądze na tę podróż zdobył pracując fizycznie w Szwecji; utrzymanie dawała też praca drwała, ale po niej – galerie i muzea Nowego Jorku

i Los Angeles. Krajewskiego interesowała najbardziej sztuka elektroniczna, która w Nowym Jorku zajmowała już sale największych galerii. Na pierwszy konkurs Festiwalu WRO 89 artyści z całego świata nadesłali kilkaset prac. Niespodzianką było to, że tak wielu artystów w Polsce, nic o sobie nawzajem nie wiedząc, jest zainteresowanych tą dziedziną. Wrocławska impreza była pierwszą w kraju manifestacją młodej sztuki wideo. Krajewscy i Kupisz szybko reagowali na zmiany. Dziś akcenty rozkładają tak, żeby uwzględnić wszystko, co nowe w tej dziedzinie. Piotr Krajewski jako pomysłodawca festiwalu i teoretyk sztuki zapraszany jest na niemal wszystkie imprezy prezentujące sztukę elektroniczną. Zasiada w jury największych konkursów, wyklada na Uniwersytecie Wrocławskim. W swoją drugą podróż do Stanów Zjednoczonych pojechał już jako stypendysta Uniwersytetu w Chicago. W ubiegłym roku został członkiem ekskluzywnego Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyków Sztuki. Nadal jednak, jak kiedyś, daleko mu do oficjalnych stanowisk.

ZBIGNIEW MORAWSKI

Międzynarodowe Biennale Sztuki Mediów WRO 01 odbędzie się w dniach od 1 do 6 maja. „Przekrój” jest patronem prasowym festiwalu.



Areszty są nieszczelne, wpływa na to ich przeludnienie, architektura, położenie.

jednak nigdzie powiedziane, że walki między gangami nie przeniosą się stopniowo również na grunt więzienny.

„Musimy pamiętać, że tymczasowe aresztowanie to izolacja. W przypadku przestępczości zorganizowanej – izolacja podwójna”. Tak mówił przed dwoma laty dyrektor Okręgowego Inspektoratu Służby Więziennej w Krakowie, ppłk Andrzej Popiołek podczas ogólnopolskiej narady. Zdania nie zmienił, ale nie sądzi, aby 11 536 widzeń w ubiegłym roku w krakowskim Areszcie Śledczym oraz 12 252 paczek o łącznej wadze ponad 60 ton świadczyły o ograniczonym kontakcie aresztowanego ze światem zewnętrznym.

Na ten temat rozmawiał z przedstawicielami holenderskich i niemieckich służb więziennych. O paczkach słuchali ze zdumieniem. Kto to u was kontroluje i w jaki sposób? Co mógłby im teraz powiedzieć? Że w jedenastu zakładach podległych Inspektoratowi są zaledwie dwa urządzenia pozwalające zbadać zawartość paczek?

Jeszcze w niedawnej przeszłości informacje o ładunkach wybuchowych przesyłanych w paczkach i listach były abstrakcją. Obecnie stają się częścią realnego świata. Co stoi na przeszkodzie, aby wysłać do aresztu paczkę żywnościową, odzieżową lub telewizor nafaszerowany czymś, co skutecznie może posłać do diabła niewygodne-



FOT. ANDRZEJ CZAPLIŃSKI

ZDJĘCIA
ŁUKASZ TRZCIŃSKI/RZECZPOSPOLITA
TEKST
MACIEJ MIEZIAN

HOMO HUTENS

Nasza kultura wywodzi się z tradycji szlacheckiej, gloryfikującej białe dworki stojące wśród pól i zielonych gajów. Miasto, a już nie daj Boże miasto uprzemysłowione, jawi się w naszej literaturze jako zagrożenie.

Nowa Huta była więc od początku obciążona grzechem pierworodnym. O tym, że zabrała najlepsze grunty w okolicach Krakowa, wie każdy inteligent. Każdy też wie, że Hutę zbudowała „komuna”, by upokorzyć konserwatywny Kraków. Warto wszakże pamiętać, że Kraków był już przed wojną silnie uprzemysłowiony, a spora część miejscowej inteligencji miała właśnie poglądy lewicowe.

Nie była też Huta miastem bez Boga, co chętnie jej wmawiano, bo wzniesiono ją wokół olbrzymiej gotyckiej bazyliki Cystersów – miejsca pielgrzymek i kultu o znaczeniu ogólnopolskim.

Czym jest naprawdę? Dużym, dobrze zaprojektowanym miastem, gdzie mimo ciągle rosnącej liczby samochodów nie ma „korków”, a osiedla toną w zieleni. Kto chce zobaczyć slumsy, musi, niestety, jechać gdzie indziej.

Najstarsze osiedla (Wandy, Willowe, Krakowia-ków) wznoszono jeszcze według przedwojennych projektów. Późniejsze są dziełem najlepszych polskich architektów. Nie szczędzono tu talentu, pieniędzy i solidnej pracy, by nadać architekturze wysoki poziom.

Zdziwiłby się też ktoś, kto by szukał śladów obyczajowego barbarzyństwa, jakie panowało tu na początku budowy. To historia już zamierzchła, choć – trzeba przyznać – wciąż ożywiana w micie. Ludzie są tu spokojni, kulturalni, a ich korzenie uzewnętrzniają się głównie w pielęgnacji przyblokowych ogródków i religijności.





Jedną z ciekawszych cech Nowej Huty jest jej wielokulturowość. Do budowy kombinatu zjechali tu ludzie ze wszystkich stron Polski. Często byli to „sybiracy” lub AK-owcy chcący uniknąć prześladowań. Tu, w olbrzymiej cizbie ludzkiej, trudno było ich odnaleźć. Przybywali też repatrianci z Buga, wypędzeni z Bieszczad Ukraińcy oraz Cyganie przymusowo osiedlani w miastach. Nie brakło też specjalistów rosyjskich oraz sporej kolonii Greków wygnanych ze swojej ojczyzny przez prawicowe rządy. Wszystko to nakładało się na miejscową starą tradycję, gdyż Nową Hutę wznoszono na terytorium kilkunastu wsi o długiej historii. Ale nawet ten atut nie został przez mieszkańców do końca wykorzystany. Bo gdy tylko przyszła moda na „wielokulturowość”, nagle Kraków obudził się ze swej drzemki i zamiast „prastarego gniazda Polaków” stał się raptem „europejskim centrum kultury” z koncertami muzyki żydowskiej, ukraińskiej, cygańskiej i kresowej wygrywanej na Rynku.

Niezależnie od tego, jak potoczą się losy Nowej Huty, pozostanie ona już na zawsze legendą. Jej centrum zostało wpisane do rejestru zabytków, a ludzie... no właśnie, co z nimi? Gdy potrzebni byli bohaterowie, by z ziemi wyczarować miasto lub, później, obalić komunizm, nie było od nich lepszych. Dziś są już niepotrzebni. W nowej, małej epoce powszechnej globalizacji wyczuwa się jakiś nostalgiczny marazm, jakby miasto czekało na jakieś nowe heroiczne wyzwania. ■



ŁUKASZ TRZCIŃSKI (1975), niegdyś student filozofii i kulturoznawstwa UJ, obecnie – Wyższego Studium Fotografii w Łódzkiej Filmówce. Jako reportażysta debiutował w „P” w roku 1996. Najbliższa jest mu fotografia socjologiczna. Chciałby sportretować na fotografii dawne „demoludy”, czyli kraje Europy, które po roku 1945 znalazły się pod dominacją sowiecką. Mieszkańców Nowej Huty, wielkoprzemysłowej i wypełnionej blokami dzielnicy Krakowa, zaczął fotografować już w III Rzeczpospolitej, chociaż zainspirowało go ich podobieństwo do ludzi z PRL-u. Prezentowany przez nas fotoreportaż zdobył Grand Prix w konkursie „Portret Krakowa 2000” organizowanym przez Fundację Promocji Kultury Miasta Krakowa.



Trójkąt życia i śmierci

WŁODZIMIERZ JURASZ

W spokojnej i przychylniej turystom Tajlandii możesz niespodziewanie znaleźć się w centrum działań wojennych. W pobliżu Mae Sai zbiegają się granice z Birmą i Laosem. To jest „złoty trójkąt”.

Gdy dotarliśmy do Mae Sai, niewielkiego miasteczka leżącego na północy Tajlandii, okazało się, że odwołano wszystkie zapowiedziane atrakcje. Nie było ani targu przemytników, ani wycieczki do leżącej zaraz za niewielkim mostem Birmy, ani nawet obiadu. Były za to słyszane zza wzgórz strzały z broni maszynowej, uzbrojone patrole na ulicach, wojskowe transportery i zaniepokojeni

mieszkańcy, przygotowujący się na wszelki wypadek do ewakuacji.

Dla nas to przygoda

Azja Południowo-Wschodnia rządzi się swoimi prawami. Nawet wędrując po tak spokojnym i przychylnym turystom kraju jak Tajlandia, można niespodziewanie znaleźć się na terenie objętym działaniami wojennymi.

Dla nas to była przygoda, niespodziewana i bezpłatna atrakcja,

wojskowy rebeliantami i bandami handlarzy narkotyków, których zresztą nie zawsze da się odróżnić od zwyczajnych partyzantów.

Mae Sai to najbardziej wysunięte na północ miasto Tajlandii, leżące tuż przy granicy z Birmą. Wsławione przede wszystkim wielkim targowiskiem, oferującym tanie towary przemycane przez Birmę z niezbyt odległych Chin. Podobny plac targowy funkcjonuje za rozdzielającą oba kraje niewielką rzeką, w birmańskim miasteczku Thakhilek. W normalnych warunkach nawet turyści mogą, po załatwieniu prostych formalności, przekroczyć granicę. Wystarczy zapłacić kilka dolarów, pozostawić paszport z wizą w tajlandzkim punkcie kontroli granicznej i już można – jedynie na podstawie odbitek kserograficznych dokumentów – wejść na kilka godzin do Birmy. Jednak warunki nie zawsze są tu normalne. Mae Sai leży tuż obok słynnego „złotego trójkąta”, w którym zbiegają się granice Tajlandii, Birmy i Laosu, niewątpliwie atrakcji turystycznej, ale przede wszystkim wielkiego ośrodka produkcji opium, kontrolowanego przez gang barona narkotkowego, Khun Sa, tolerowanego przez birmańskie władze.

W zasadzie „złote trójkąty” są dwa. Pierwszy, pokazywany turystom, mieści się w Sop Ruak, niewielkiej miejscowości leżącej o kilkadziesiąt minut jazdy od Mae Sai. Właśnie tu zbiegają się granice Tajlandii, Birmy i Laosu, rozdzielonych jedynie rzekami Ruak i Mekong. Po tajlandzkiej stronie umieszczono odpowiednią tablicę, wybudowano punkt widokowy i Muzeum Opium, kwitnie handel. Po stronie laotańskiej i birmańskiej nie ma w zasadzie nic. Na terenie Birmy kończy się jedynie budowa hotelu i kasyna, wznoszonych przy udziale kapitału tajskiego. W Tajlandii hazard jest zakazany, ale obowiązujące na terenach nadgranicznych przepisy umożliwiają zarówno Tajom, jak i odwiedzającym Tajlandię turystom, oddanie się zgubnemu zajęciu. Z kolei na należącej do Laosu, położonej na Mekongu nie-

wielkiej wyspie zorganizowano tylko prymitywne targowisko, do którego można dopłynąć łodzią bez dopełniania żadnych formalności, by wysłać kartkę pocztową z oryginalnym datownikiem i kupić niewiele różniące się od tajlandzkich pamiątki.

Gdy turyści pytają, co to właściwie jest ten „złoty trójkąt”, pokazują im rozdzielającą rzekę łachę żółtego piasku – mówi miejscowy przewodnik. Ale tak naprawdę „złoty trójkąt” to cały porośnięty dzunglą nadgraniczny obszar, gdzie w trudno dostępnych terenach uprawia się mak – surowiec do produkcji opium, a zarazem podstawowe źródło dochodu zamieszkujących te okolice górskich plemion.

Zakazane opium

W Tajlandii produkcja opium jest zakazana. Nawet turyście, przyłapanemu na posiadaniu niewielkiej ilości narkotyków, grozi wieloletnie więzienie. W dzungli surowe prawo obowiązuje tylko formalnie. Choć tajlandzka armia przeprowadza tu regularne obławy na producentów i handlarzy, proceder kwitnie w najlepsze, zwłaszcza po poddawanych znacznie

słabszej kontroli stronach birmańskiej i laotańskiej. Sytuację w „złotym trójkącie” komplikuje dodatkowo trwająca tu nieustanna rebelia górskich plemion: Karenów, Shan, Monów, walczących z birmańskim reżimem. Z regularną armią ścierają się także oddziały rdzennych Birmańczyków, składające się między innymi ze studentów sprzeciwiających się rządzącej krajem juncie.

Właśnie podczas pościgu za jednym z rebelianckich oddziałów doszło do wspomnianego naruszenia terytorium Tajlandii przez armię birmańską. Żołnierze obu walczących stron zapędzili się za tajlandzką granicę, wymiana ognia nie oszczędziła mieszkańców tego kraju. Sytuacja wywołała ostre protesty formującego się w połowie lutego nowego tajlandzkiego rządu, przy granicy skoncentrowano silne oddziały wojska, zamknięto przejścia, a obcokrajowców zniechęcano do odwiedzania całego rejonu. Samo Mae Sai opustoszało. Na pewien czas zamknięto niemal wszystkie sklepy i najlepszy miejscowy hotel, z którego po prostu uciekła obsługa.



Tajlandzka armia i policja przeprowadzają regularne obławy na producentów i handlarzy, ale przemysł kwitnie, bo narkotyki to są zawsze bardzo duże pieniądze.

ZROBIĆ SOBIE SAMOCHÓD

Rozstrzygnięto konkurs „Zaprojektuj peugeota roku 2020”. W tym roku zwycięzcą został Marko Luković, 23-letni student z Belgradu. Jego projekt „Moonster” zdobył uznanie zarówno designerów Peugeot, jak i dziennikarzy motoryzacyjnych oraz gości odwiedzających strony internetowe francuskiego koncernu. „Moonster” zwraca uwagę przede wszystkim dynamiczną sylwetką, wyraźnie nawiązującą do konstrukcji lotniczych. Dynamikę dodatkowo podkreśla tylny spojler, przypominający rybą płetwę. Pełnowymiarowy model będzie można obejrzeć na wrześniowych targach motoryzacyjnych we Frankfurcie.



W konkursie wzięło udział prawie 2000 uczestników z całego świata. Mógł w nim spróbować swych sił każdy powyżej 14 roku życia, z wyłączeniem profesjonalistów pracujących dla koncernów samochodowych. www.peugeot.com

(SR)

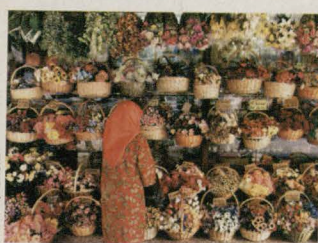
SHELBY KAWALARZ

Pojawił się następca popularnej zabawki Furby. Nowy produkt firmy Tiger Electronics nosi imię Shelby. W porównaniu ze swoim starszym bratem Shelby jest bardziej komunikatywny. Potrafi mówić aż w trzech językach: angielskim, furbish i shellysh. Podobnie jak Furby reaguje na bodźce głosowe, świetlne i dotyk. Trzeba się nim systematycznie opiekować, karmić, pieścić i usypiać. Jednak zna także kawały. Chowa się do skorupy, gdy się czego wystraszy. Shelby ma szansę stać się podobnym przebojem jak Furby, którego sprzedano około 40 milionów egzemplarzy. W Stanach Zjednoczonych nowa zabawka kosztuje 25 dolarów. www.tigertoys.co



(AS)

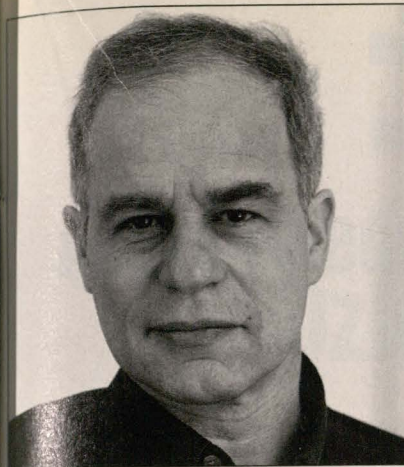
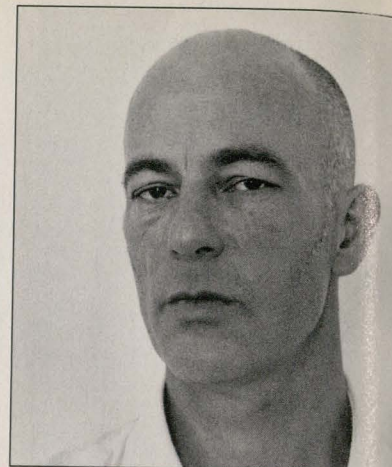
JAK PACHNIE...



...KWIACIARNIA. To, że w kwaciarni znajdują się setki kwiatów, sugeruje, iż zapach tego miejsca przypomina woń ogrodów Isfahanu, nad którym unosiła się urzekająca woń róż. Tak jednak nie jest. Okrutni sprzedawcy starają się trzymać pachnące cuda natury w chłodzie, z dala od promieni słońca, żeby nie otworzyły płat-

ków i nie uwolniły pulsujących w nich olejków eterycznych, lecz kusily niedojrzałym, świeżym widokiem. Zapach kwaciarni kojarzy się więc raczej z wonią... mokradła lub puszczy tropikalnej. Emanuje surowym aromatem zielonych liści, wilgotnej ziemi, niekiedy, szczególnie w poniedziałki, jeśli przez weekend sklep był zamknięty, wonią butwiejących w wodzie łodyg. Nic dziwnego, że przez dłu-

Szwajcarscy architekci Jacques Herzog i Pierre de Meuron zostali laureatami tegorocznej Nagrody Pritzкера, zwanej „Noblem w dziedzinie architektury”.



FOT. MARGHERITA SPILUTINI

Koledzy z podstawówki

O baj urodzili się w 1950 r. w Bazylei i przyjaźnią się od szkoły podstawowej. Już wtedy ich zabawy i zainteresowania krążyły wokół architektury. Najpierw byli budowle z klocków, później wspólne studia na wydziale architektury. W 1978 r., trzy lata po ukończeniu uczelni, założyli wspólną firmę. Obecnie zatrudniają około 150 osób. Mają na koncie wiele zrealizowanych projektów w Anglii, Francji, Niemczech, Włoszech, Hiszpanii i Szwajcarii. Były to apartamenty, biblioteki, szkoły, muzea i obiekty przemysłowe. Zanim droga do światowej kariery stanęła przed nimi otworem, Herzog i de Meuron byli znani głównie jako twórcy budynku użytkowego na stacji kolejowej w rodzinnej Bazylei. Kluczem do popularności okazało się zwycięstwo w 1995 r. w konkursie na projekt muzeum sztuki współczesnej w Londynie. Szwajcarzy od początku mieli zamiar stworzyć coś niepowtarzalnego, co przebiłoby nawet słynne Muzeum Guggenheima w Bilbao według projektu Franka O. Gehry'ego. Jak powiedział Jacques Herzog, miało ono

„cierpieć okrutnie” w porównaniu z ich dziełem. W tym celu adaptowali starą elektrownię nad brzegiem Tamizy, tworząc Tate Gallery, jedno z najciekawszych pod względem rozwiązań architektonicznych muzeów świata.

Obecnie pracują nad Kramlich Residence and Media Collection w Kalifornii, siedzibą firmy Prada w Nowym Jorku, New de Young Museum w San Francisco oraz rozbudową Walker Art Center w Minneapolis. Ich architektura opiera się na efekcie gry światła przefiltrowanego przez otwory w ścianach oraz nowatorskim i wyrafinowanym sposobie łączenia drewna, betonu, szkła, stopów metali i kamieni. Jak powiedział amerykański architekt Bill Lacy, dyrektor wykonawczy Nagrody Pritzкера, „architektura Herzoga i de Meurona łączy sztukę starego rzemiosła ze świeżym podejściem do możliwości naszych czasów”. Zdaniem Ady Louise Huxtable, członkini jury, „Herzog i de Meuron sprowadzają tradycję modernizmu do elementarnej prostoty, zmieniając materiały i powierzchnie w poszukiwaniu nowych rozwiązań i technik”.

Jacques Herzog i Pierre de Meuron są pierwszymi Szwajcarami, którzy otrzymali Nagrodę Pritzкера. Dotychczas tylko raz, w 1988 r., przyznano ją dwóm architektom. Wówczas otrzymali ją Gordon Bunshaft ze Stanów Zjednoczonych i Oskar Niemeyer z Brazylii z okazji uczczenia 10-lecia istnienia nagrody. W przypadku Szwajcarów jury doszło do wniosku, że ich projekty są rezultatem długoletniej współpracy, co nie pozwala wyróżnić tylko jednego z nich. Najlepiej pracę obu przyjaciół-wspólników scharakteryzował sam Pierre de Meuron – „Atuty Jacquesa są moimi słabościami, a jego słabości są moimi atutami”.

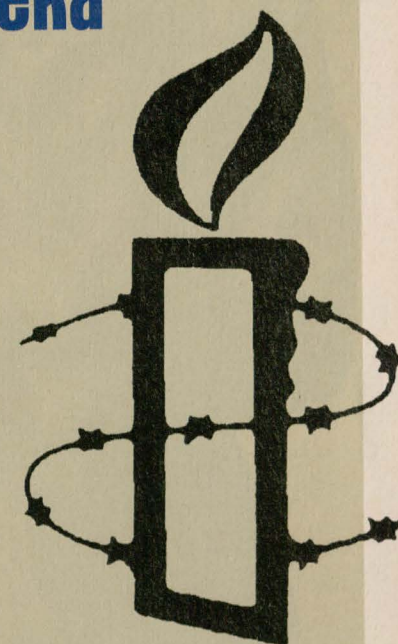
Ceremonia wręczenia nagród co roku odbywa się w innym miejscu. Herzog i de Meuron odbiorą medale i 100 tys. dolarów w willi Monticello w Charlottesville w stanie Virginia. Niegdyś należała ona do Thomasa Jeffersona, twórcy Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych, ale także architekta, autora projektu willi.

STEFAN ROKITA

AMNESTY INTERNATIONAL – w obronie człowieka

Brityjski prawnik Peter Benson opublikował w 1961 r. w „London Observer” artykuł nawołujący do powszechnej akcji na rzecz uwolnienia dwóch portugalskich studentów. Trafili oni do więzienia za wzniesienie toastu za wolność. Benson określił ich więźniami sumienia. Tak narodziło się kluczowe pojęcie dla założonej w tym samym roku Amnesty International. Benson poprosił Dianę Redhouse o zaprojektowanie znaku dla nowej organizacji. Została nim świeca okolona drutem kolczastym. Symbolizuje pozbawienie człowieka jednej z największych wartości – wolności. Autorkę znaku zainspirowało stare chińskie przysłowie: „Lepiej zapalić świecę, niż przeklinać ciemność”. Pierwotną wersję zmodyfikował w połowie lat 70. Georg Kasabova. Gdy w 1998 r. Amnesty International prowadziła światową kampanię na rzecz przypomnienia i promowania treści Po-

wszechnej Deklaracji Praw Człowieka w 50. rocznicę jej proklamowania, kształt świecy został na jej użytek nieco zmieniony. Przypominał pióro zakończone stalówką. Po zakończeniu akcji modyfikacja ta więcej nie występowała. Amnesty International broni praw człowieka. Zajmuje się osobami zaginionymi, więzionymi i prześladowanymi za przekonania religijne, polityczne, kolor skóry, orientację seksualną, narodowość czy rasę. Warunkiem pomocy ofiarom jest wyrażenie się przez nie przemoc. Organizacja pragnie zapewnienia szybkich i uczciwych procedur dla ludzi przetrzymywanych bez wyroku sądowego. Przeciwstawia się karze śmierci, torturom i innym formom nieludzkiego i poniżającego traktowania. Bierze także w obronę uchodźców i azylantów oraz osoby uchylające się od służby wojskowej ze względu na przekonania. Występuje przeciwko handlowi wyposażeniem wojskowym, po-



licyjnym i służb bezpieczeństwa wykorzystywanym do tortur i egzekucji. Członkowie AI, aby wywrzeć nacisk na rządy i zwrócić uwagę opinii publicznej, organizują akcje, demonstracje, wysyłają listy i petycje.

ŁUKASZ DZIATKIEWICZ

REKLAMA(CJE)



© MIEZARNIA TUREK SP. Z O.O.

WŁAŚCIWA KROWA NA WŁAŚCIWYM MIEJSCU

Reklamy serów często goszczą w TV. Zawsze podkreślają wyjątkowy smak produktu i zadowolenie konsumenta. Sympatyczne rodзинki siedzą przy stole i śmieją się jak, nomen omen, głupi do sera. Krowy są raczej pomijane. Jeśli się pojawiają, to tylko w roli maskotki. Bohaterem reklamówki serów pleśniowych „Turek” zostały te sympatyczne przeżuwacze. Otwierają się potężne drzwi i widzimy wspaniały salon. Na łożach leżą krowy. Spokojnie przeżuwają w towarzystwie opiekujących się nimi pań. Słyszymy: „Tylko wyjątkowo zadbane krowy dają wyjątkowe mleko”. Kolejne drzwi. Stół porośnięty trawą. Nad rogatymi łbami powiewa-

ją wachlarze. „Tylko z wyjątkowego mleka powstają wyjątkowe sery”. Za trzecimi wrotami schodzimy do piwniczki, gdzie leżą smaczne „śmierdiele”. Pilnuje ich groźna, pancerna krowa (niczym koń zaciężnego rycerza). „Tajemnicą serowarów pilnie strzeżoną...” (przenosimy się do pokoju, w którym para ludzi delektuje się serem) „...niech pozostanie reszta naszych sposobów na wyśmienite sery dojrzewające”. Drzwi się zamykają przed pilną ich krową. Pada ostatnie zdanie – slogan: „Sery Turek. Muusisz spróbować”.

Podziękowania w imieniu dowartościowanych krasul.

(ŁD)

AGATA WASILENKO



HOFF

TRZEBA COŚ ZMIENIĆ

Lanim zupełnie nie zbikujemy od tego, co nam pokazują projektanci czy ambitne firmy na ten sezon – od kolorów niemowlęcych do bucików kłapek z kwiatkami, torebek małej dziewczynki, sukienek typu przezroczysty mokry podkoszulek, powyciąganych w krzywe ogony sukienek, dekolatów do wzgórka tonowego i kostiumów bikini jako propozycja stroju na co dzień – trzeba się będzie w coś ubrać. Mogę się tak długo wyżyłkować (zresztą wymieniałam tu rzeczy już popularno-konfekcyjne, a nie te zupełnie szalone), to jest zawsze bardzo łatwe.

Najłatwiej jest wyśmiewać się z mody. Ale to nieprawda, jak wiecie, traktuję ją poważnie. Chłopcy w Paryżu nieraz trochę przesadzają, ale dobrze się bawią, a my chcemy się modnie ubrać w coś nowego na wiosnę i z pewnym trudem znajdujemy odpowiedź, co to ma być. Nie chcemy wyglądać jak idiotki, zresztą to nam nie grozi. W Polsce dziewczyny ubierają się raczej zbyt poważnie, prawie zero odwagi w kierunku tego, co widać w pismach. Raczej rozsądek i jednak dostosowanie się do okoliczności. A te nastawiają nas do ostrej, nowej, superodważnej mody bardzo ostrożnie. W mojej kolekcji Hofflandu staram się robić rzeczy jednocześnie modne i dające się włożyć, bo ma to być coś modnego dla ludzi, a nie dla mnie, by błysnąć na wielkim pokazie kreacją z 10-metrowym ogonem.

I patrzcie, jak to teraz wygląda. Żakiet lub kurteczka. Żakiet krótki lub średni, kurteczka o fasonie trochę džinsowym albo ze stójką. I do tego spodnie klasyki albo dzwony, albo spodnie nieco krótsze, albo wąskie. Spódnica wąska, przykrywająca kolano, albo krótka, albo klosik. Nie zapominajmy o nadal modnych długich spódnicach. A jeśli płaszcz, to tzw. mały, czyli nadal mamy surducik, albo mały płaszcz z kołnierzykiem pod szyją, albo o fasonie męskiego trencza, raczej krótki. To nie muszą być komplety, można to wszystko mieszać, nosić to z tamtym, nawet te modne kurteczki zdecydowanie lubią być z innym dołem. Przy całym jakimś zamęcie i trendach pędzących w różnych kierunkach moda wydaje się dość prosta, co widać zresztą na wystawach i w sklepach, gdzie przynajmniej na pierwszy rzut oka wszyscy na tę wiosnę robią to samo.

Modne są te jasne kolory: beże i lila. Ale czy sama jestem do nich tak bardzo przekonana? Otóż jest w nas coś takiego, że po zimie chcemy się oderwać od ciemnych kolorów, ciemnego świata, w którym przebywaliśmy pół roku, marzymy o słonecznej pogodzie, roślinkach i takich tam różnych, ale pamiętajcie, że nadal b. modny jest kolor czarny. I ja bym to wszystko zrobiła jeszcze w modnej wersji czarnej.

Zdjęcie: Hoffland (autor: HOFF).
Galeria Centrum Warszawa, Wrocław, Szczecin.
Stylizacja: Urszula Krzyżanowska
Na zdjęciu: Ania Kowalczyk

Fot. Robert Kulęza

Adam Wiedemann Dziennik „duszy” (12)



16.02.01

Idziemy do Jemioły napić się coca-coli i wszystkie wrażenia ulatniają się na skutek hałasu. Spotykam Miho, która mówi, że bym jej natychmiast oddał zdjęcia (które dałem Mareckiemu, żeby je zeskanował), bo w poniedziałek odlatuje do Japonii. Co robić?

17.02.01

Idę do Mareckiego (nazywa się to, że robię sobie spacer), ale go akurat nie ma, zapominam zostawić karteczkę, bo potem do zakładu kosmetycznego Beaty J., Cichoń zadzwoniła, że bym przyszedł, bo będzie grała moje Mazurki na uroczystości zamknięcia tego zakładu, no to poszedłem, tam mnóstwo pań, wdzięcznych klientek Beaty, wszystkie piją szampana.

18.02.01

Od samego rana wpadam w zdecydowanie nietwórczy nastrój, wszystko dlatego, że postanowiłem odbębnić dziś na komputerze jakieś zaległe teksty. Koło południa zachodzę do Irka, którego jakimś cudem zastaję w domu (bo śpi) i biorę od niego telefon Mareckiego (bo swój zostawiłem w pracy), po czym idę i dzwonię do niego z budki, żeby poszedł do Miho i zaniósł jej zdjęcia.

19.02.01

Wszyscy ci ludzie noszący przy sobie portfele i nigdy nie potrafiący w nich znaleźć drobnych pieniędzy, całe repertuary specjalnych zachowań, jakie mają na użytek każdej okazji płacenia, komplementy dla ekspedientek, dowcipy dla czekających za nimi w kolejce klientów. I całkowita bezmysłność, z jaką wrzucają do portfeli otrzymane w końcu drobne; zawsze nie tam, gdzie następnym razem będą szukać.

20.02.01

Siedzę w pociągu, tuż przed odjazdem dramatyczna scena, jakiś pan

blaga konduktora nieomal na kolanach, żeby poczekał „minutkę”, wstrzymał odjazd, poczekał na jego Violkę, pociąg rusza i zatrzymuje się, wpada Violka, zdyszana, nieomal charcząca, ale już są, szczęśliwi, razem w pociągu, jadą. Wieczorem spotkanie z profesorem Marią Janion, promocja jej nowej książki prowadzona przez pana profesora i pana Michała, pan Michał pełni funkcję błazenka, pan profesor pyta co pewien czas: A pan co na to, panie Michale?, na co pan Michał: Ja się całkowicie zgadzam. Wszyscy się uśmiechają, bo też wszyscy przyszli, z wyjątkiem Kingi, z którą tu byłem umówiony; siedzę z Darkiem i nic nie widzę, bo widok mam na filar obudowany deseczkami. Pan profesor bryluje, nikogo nie dopuszcza do głosu, nawet pani profesor, która domaga się w swoje książce, żebyśmy odprawili wielkie zaduszki, by nie rzec dziady za „naszych umarłych”, naszych, czyli tych, których jako naród mamy poniekąd na sumieniu, choćby dlatego, że o nich nie pamiętamy, ale przecież pamięć instytucjonalizowała się, pan prezydent pojedzie do miasteczka J. i powie „przepraszam”, takie to nasze teraz dziady. Następuje dyskusja, dyskutanci podchodzą do mikrofonu i wygłaszają swoje opinie, książd Obirek zauważa trzeźwo, że tymi zaduszkami

powinien zająć się po prostu Kościół (no fajnie, tyle że jakoś nie widzę Kościoła robiącego cokolwiek na wniosek Marii Janion), Hanna Kirchner proponuje, żeby zamiast „Do Europy...” tytuł książki brzmiał „Do Ameryki...”, bo w naszym proeuropejskim pędzie przeskoczyliśmy już nie tylko Europę samą, ale i Ocean Atlantycki, i jeszcze się formalnie do Europy nie dostawszy, od dawna już w Ameryce żyjemy, a raczej obumieramy duchowo, jako naród (czy czasem, myślę sobie, dążenia Marii Janion nie są trochę podobne do tego, jak oni tam załatwiają się ze swoim problemem indiańskim i murzyńskim, za pomocą języka, żeby sam język przypominał im nieustannie o dawnych zbrodniach?), na koniec jakiś pan stwierdza, że nie byliśmy aż tacy źli dla tych Żydów, skoro dwaj nasi premierzy mieli żony Żydówki, i tym humorystycznym akcentem spotkanie się kończy. Potem z Darkiem i Iwonką (Iwonka też tu jest, przyjechała na rozmowę z jakimś facetem od prasy kobiecej) idziemy na kolację, kolacyjka kończy się jakoś dziwnie, jadę do Kingi, u niej w domu remont, do którego zmusił ją kolega ze szkoły, właściciel firmy remontowej, w powietrzu pełno pyłu, w łazience satynowane baterie. Siedzimy, pijemy gin, gadamy o różnych różnościach, właściwie

to Kinga gada, bo ja jestem jakiś nie w formie, w końcu idę spać do pokoju Stasia (który się wyprowadził i mieszka z narzeczoną), przed snem czytam jakąś starą PPS-owską (?) książkę dla dzieci, o dzieciach które założyły sobie wioskę i tylko nie miały w niej psa ani kota, kot został przyniesiony, ale się okazał bezradziejszy, bo nie chciał sam spać w stodołę, za to w roli psa sprawdził się doskonale przyniesiony z domu przez jedną z dziewczynek onyksowy pudel z odłamaną łapą.



ADAM WIEDEMANN
Rocznik 1967. Poeta i prozaik, krytyk literacki i muzyczny, kompozytor i malarz. Autor książek poetyckich i prozatorskich. Laureat Nagrody Kościelskich, dwukrotnie nominowany do nagrody NIKE. Ostatnio często jeździ na stypendia.

FOT. BOGDAN KRZEL

TEKST WOJTEK KOCOŁOWSKI
ZDJĘCIA PASCAL MAITRE/COSMOS/EAST NEWS

W centrum kształcenia trudnej młodzieży w Senegalu można nauczyć się, jak z puszek po heinekenie wykonać neseser, z taśmy wideo maskotkę żółwia, a ze zużytej opony kilkanaście par sandałów.

Zabawki z Dakaru

Reakcja moich znajomych na zdjęcia afrykańskich zabawek wyrażała podziw i zarazem współczucie. Zazwyczaj mówili: „Chciałbym mieć taką teczkę z puszek nescafe”. Czasem też: „Gdzie to można kupić?”.

To dziwne. Dla mnie srebrny concorde z blachy po puszkach jest zwyczajny, chciałoby się powiedzieć – zdroworozsądkowy.

Normalny wytwór dziecięcych rąk z kraju, gdzie zabawki ze sklepu są za drogie. Bynajmniej nie służą zabawie – dzieci przyuczają się do pracy w ośrodku resocjalizacji Ecopole w Dakarze. To połączenie szkoły zawodowej i domu kultury: z jednej strony można tu zdobyć fach, a z drugiej ta „trudna i biedna młodzież” łatwiej schodzi z przestępczej drogi.

Czy to stąd bierze się ten cień emocji? Przecież malowane ptaszki z Cepelii i wypalane lutownicą szachy z Podhala już nie wywołują w nas reakcji. A więc to kwestia egzotyki z domieszką nieczystego sumienia?

Zwyczajnie

Dakarskie zabawki na zdjęciach po prostu są. Oznajmiamy, że chwilę wcześniej zeszły z warsztatu

młodego Senegalczyka. Dopiero nasze spojrzenie nadaje im specjalny status: współczucie przysłane nam z Afryki w formie telegramu. Ale to najłatwiejsze odczytanie. Przyjemne, i po obejrzeniu autka z włoskiej puszkii po tuńczyku („Tuńczyk Donzela w oliwie – pierwsza jakość”) zwalnia z dalszego myślenia.

Nie chciałem kolejny raz opisywać zdjęć i roztkliwiać się nad

dzielnością czarnych braci. Zależało mi na opinii kogoś, kto dobrze poznał tamten świat. Kto przebywał w Afryce długo i rozumiał nie tylko pejzaże i zabytki, ale także ludzi. Z rozmowy z Ryszardem Kapuścińskim nic nie wyszło – w wydawnictwie „Czytelnik” poinformowano mnie, że wyjechał do Meksyku i wróci za kilka miesięcy. Młodzi polscy podróżnicy, publikujący

swe zdjęcia w geograficznych periodykach – chyba jednak nie. A więc bezpośrednio Senegal i Dakar?

Długa droga

Najpierw zadzwoniłem do znajomych. Potem, już z listą numerów, wykonałem kilka telefonów do Afryki. Nie zapomniałem o różnicy czasu (jedna godzina do tyłu) i przestrodze przyjaciół

z Mediolanu – „Pamiętaj, Afrykańczycy mają specyficzne, dość elastyczne poczucie czasu. Nigdy im się nie spieszy”.

Poszukiwania okazały się żmudne. Albo kogoś nie było w domu, albo nie udawało mi się przebić przez oficjalny ton rozmowy – cudzoziemcowi najłatwiej przedstawić tylko dobre strony własnego kraju. Znów powrót do punktu wyjścia. Dzwono-

nie do znajomych Włochów, potem do ambasad w Dakarze. Sekretarze i attaché kulturalni nabierają wody w usta. Albo ich to nie interesuje, albo temat jest niewygodny.

Potem dzwonię do dakarskiego uniwersytetu. Afrykańczycy rzeczywiście mają specyficzne poczucie czasu i rozkład dnia traktują dosyć luźno. Z nikim nie udaje mi się porozmawiać. Znów



Te zabawki są jak mapa świata: z amerykańskiego piwa – podręczna walizeczka, z włoskiego tuńczyka – samochodzik, a z irlandzkiego guinnessa – damska torebka.

Cheik Tioun ze starych opon robi
bardzo wygodne sandały.
W ciągu jednego dnia
potrafi wyprodukować 10 par.

znajomi znajomych z Francji, następnie numer kierunkowy do Włoch i... chyba znalazłem.

Nazywa się Idy Gaye

Pochodzi nie z Senegalu, lecz z sąsiedniego Mali. Od wielu lat mieszka w Europie – najpierw w Marsylii, teraz we Włoszech. Trudno nawiązać dialog przez telefon, próbuję więc przełamać pierwsze lody.

Pamiętam pewien spór, prowadzony przez moich czarnoskórych kolegów kilka lat temu, podczas stypendium językowego we Włoszech. Przysłuchiwałem się przekomarzaniom na temat pochodzenia ich idola McSolaara, francuskiego rapera. Jeden twierdził, że muzyk pochodzi z Senegalu, drugi, że McSolaar urodził się w Burkinie Faso, dorastał w Dakarze i wyemigrował do Francji, trzeci zaś, że jest on z Mali. Zadałem to pytanie Idy'emu. Nie wiedział, choć i dla niego McSolaar to wielka postać. Przykład godnej pozazdroszczenia kariery Afrykańczyka.

Idy od dwóch lat prowadzi w Rzymie sklep z egzotycznymi różnościami: rzeźby z Kenii, biżuteria z Tanzanii, broń Masajów, ozdoby, obrazki, czasem zabawki – choć rzadko te z Senegalu.

W kolejnej rozmowie pytam:

– Dlaczego nie sprzedajesz samochodzików i samolotów z Dakaru?

– Bo ja kupuję u hurtowników. To towar jak każdy inny, tyle że rynek jest odmienny. Kupuję też bezpośrednio od ludzi, którzy robią te przedmioty w Afryce, ale dość rzadko, bo nieczęsto tam jeżdżę. Część mojej rodziny mieszka tam, część tutaj, we Włoszech.

– Jak rozumieć, że to odmienny rynek?

– Sklepów podobnych do mojego jest niewiele. A obrót wcale nie jest taki duży. Ale nie mogę narzekać. Zabawkami z tego centrum w Dakarze nie handluje. Nawet ich nie znam.

– A handlowałbyś, jeśli miałbyś dostęp?

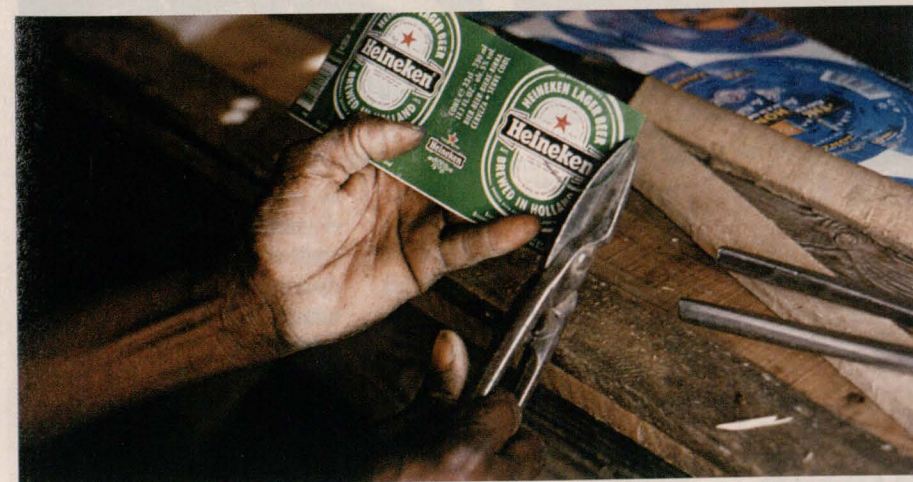
– Zależy od jakości i ceny. Poza tym sprzedawanie takiego towaru rządzi się swoimi modami. Ciągłe największym powodze-

niem cieszą się rzeźby, czasem biżuteria.

– A co sądzisz o cenach? Panuje opinia, że handel przedmiotami z krajów rozwijających się oznacza wykorzystywanie ludzi, którzy wykonują je niemal za darmo.

– Potem wartość jest sztucznie windowana przez pośredników. I koniec końców w Europie masajska rzeźba czy zabawka osiąga bardzo wysokie ceny.

– Myślisz, że w Afryce robią to umierający z głodu ludzie? Chyba żartujesz! To produkcja jak każda inna. Wszystkie rzeźby wykonuje się na zamówienie. Szybko i masowo. Nie nazwałbym tego wprawdzie produkcją przemysłową, ale rzemiosłem na dużą skalę. Pamiątki są robione dla turystów odwiedzających Afrykę albo na handel w Europie i Ameryce. Poza tym spójrz na to tak – oni



▲ Narzędzia podstawowe: lutownica, obcęgi, pilnik. Materiały: blacha z puszek i drut.

◀ Rzemieślnik z dakarskiej dzielnicy Niayethoker przygotowuje blachę do wyrobu waleczek.

sprzedają za cenę i tak o wiele wyższą, niż dostaliby za swoją pracę w Afryce. Lub w ogóle nikt by tego od nich nie kupił. To nie jest takie proste, jak sądzisz. Według mnie ten handel przynosi jednak więcej korzyści niż tylko wykorzystywanie ludzi.

– Jak się tutaj znalazłeś?

– Od lat żyję w Europie – najpierw kilka lat w Marsylii, teraz w Rzymie. My myślimy inaczej

niż wy. Pochodzę z muzułmańskiej rodziny. Mój ojciec jest nauczycielem historii. Moja siostra z rodzicami mieszka w Mali, a kuzyni we Włoszech i Francji. Pomagam rodzicom i czasem wysyłam im pieniądze. Tutaj żyję jak inni Europejczycy. Chociaż mam wyższe wykształcenie, wydaje mi się, że ten sklep jest maksimum kariery, jaką mogę zrobić we Włoszech. W przeszłości roznosiłem ulotki,

zbierałem owoce, wykonywałem wiele zawodów. Moi koledzy, nawet po 10 latach, nie znaleźli tu swego kąta. Ale to wina tego społeczeństwa. Mówi się, że jest bezrobocie, ale Włosi nie chcą wykonywać prostych prac za przyzwoitą zapłatę. Od razu chcą mieć stanowisko w biurze z komputerem. Tak więc gorsza praca pozostaje automatycznie dla Afrykańczyków. Oczywiście za niższą stawkę.

– Czujesz się Europejczykiem?

– Nie, nigdy. A poza tym po co? Za duże różnice. Prowadzę sklep i jestem uważany za osobę na swoim miejscu. Tutaj nie mam problemów. Tylko czasem. Włosi są bardzo tolerancyjni. We Francji sytuacja jest nieco gorsza, ale też nie drastycznie. Najprościej powiedzieć, że my żyjemy w osobnych światach.



Wiadro do czerpania wody ze studni wykonane ze starej dętki samochodowej.



Gotowe sandały Cheika Tiouna



Zadanie dla dziewczęcych rąk: żółwik z taśmy wideo



Ślad francuskiego kolonializmu – concorde z puszek

– Ile kosztują w twoim sklepie zabawki?

– Dosyć drogo, ale ludzi na to stać. Żaden wielki wydatek. Wciąż ktoś kupuje. Mniej niż kiedyś, ale jednak można z tego żyć. Zauważyłem, że zazwyczaj nie kupują ludzie, którzy znają Afrykę z podróży – pewnie sami przywożą sobie autentyczne pamiątki. Najczęściej kupują turyści, którzy nigdy nie widzieli Afryki.

– Myślę, że Europejczycy traktują przedmioty z twojego sklepu trochę jak Afrykańczyków, tylko że z większym bezwstydem. I w jednym, i w drugim przypadku chodzi o takie same stereotypy.

– Te przedmioty czarują egzotyką, roztkliwiają ludzi i dają im poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Czy tak?

– Nie rozumiem.

– Co ludzie myślą, gdy kupują afrykańskie przedmioty?

– Nie wiem. Mnie to nie interesuje.

Meksyk, Senegal, Bangladesz

Zabawki z Senegalu nie budzą mojej litości ani też podziwu. Są przejawem rozsądnej działalności w określonych, a dla nas egzotycznych warunkach. Podobne rękodzieło powstaje przecież na całym świecie. W Meksyku, który jest krajem biedniejszym od Polski (standard życia mieszkańca miasta zbliżony do naszego, choć na wsi kontrast jest większy), rękodzieło artystyczne o ludowych korzeniach nie tylko nie zanika, ale doskonale się roz-

wija. Jest nawet przedmiotem wykładanym w Akademii Sztuk Pięknych.

To tak, jakby u nas między zajęciami z historii sztuki a lekcją aktu uczono kurpiowskich wycinanek. Kto zresztą wie, czy nie byłby to sensowny sposób podniesienia jakości dzieł młodych artystów. W Meksyku tworzenie alebrijas, czyli fantazyjnych stworów o kształcie smoków z drutu i masy papierowej, doczekało się konkursów i licznych wystaw. Alebrijas stały się również towaram eksportowym. Tak więc w Meksyku, Senegalu czy Bangladeszu na niedostatek reaguje się podobnie – normalną w takich okolicznościach aktywnością młodych rąk. A potem cywilizowani Europejczycy z zazdrością

stwierdzają, że ich górne kończyny zatraciły już zdolność wykonania tak wymyślnych rzeczy.

Prezent z Dhaki

Posiadam bezcenny dla mnie długopis z Bangladeszu. Przywiózł mi go Bengalczyk, który studiuje w szkole filmowej w Berlinie.

Długopis nie jest zwykły, bo świeci. Z jego pomocą można robić notatki po ciemku. Po przekręceniu grubszej końcówki na czubku zaświeca się dioda. Energii dostarczają umieszczone wewnątrz dwie baterijki do elektronicznego zegarka. Nie ma wątpliwości: to na pewno podróbka z Zachodu, tyle że „made in Bangladesh”. Napis z boku brzmi: „Bandi. Light Pen 007. Successful Design”. To bardzo dobry długopis.

Włos na śniegu

To, co wyglądało na głupawy primaaprilisowy dowcip, okazało się rzeczywistością. Legendarny człowiek śniegu istnieje naprawdę.

Sprawa człowieka śniegu leżała, pokryta kurzem, na jednej półce z aktami mieszkańca jeziora Loch Ness, zagadką Trójkąta Bermudzkiego oraz dowodami na istnienie UFO. Znajdywane poszlaki były z naukowego punktu widzenia bez znaczenia, lub traktowano je jak próby oszustwa. Jednak yeti – pewnie przypadkiem – dał namacalny dowód na swoje istnienie.

DNA i ślady stóp

W lutym tego roku wyruszyła do królestwa Bhutanu ekspedycja badawcza, by nakręcić dla brytyjskiego Channel 4 dokument – właśnie o tajemniczym himalajskim monstrum. Na jej czele stanął oksfordzki genetyk Bryan Sykes. Wyprawa, prowadzona przez Sonama Dhendupa, oficjalnego królewskiego łowcę yeti, dotarła do cedrowych lasów u podnóża Himalajów. Tam, jak bhutańska wieść gminna niesie, mieli żyć ludzie śniegu. Jednak, co było do przewidzenia, śnieżnego potwora nikt z uczestników nie zobaczył.

Naukowcy nie dali za wygraną – szukali jakiegokolwiek śladu. Udało się. Rob McCall, biolog ewolucyjny z Oxfordu, odkrył na pniu drzewa ślady czegoś, co przypominało szpony. W dodatku takie, jakich nie mają żadne stworzenia występujące w bhutańskich lasach. Kilka metrów dalej znalazł świeży, prawie ciepły odcisk stopy. Dziwnej – krótkiej i o pięciu krzywych palcach.

W zagłębieniu cedrowego drzewa, między pniem a konarem, profesor Bryan Sykes znalazł pasemko długich ciemnych włosów przypominających małą sierść. Ale dokładniejsze gene-

tyczne badania stwierdziły jasno: zwierzę o takim futrze nie istnieje. – To nie jest ani człowiek, ani niedźwiedź; to nic, co bylibyśmy w stanie zidentyfikować – powiedział po powrocie prof. Sykes, ekspert i pionier w dziedzinie identyfikacji genetycznej. Po czym bezsilnie rozłożył ręce: – Nigdy wcześniej nie napotkaliśmy DNA, którego nie mogliśmy rozpoznać.

Relacje słynnych himalaistów, Reinholda Messnera i sir Edmunda Hillary'ego, naukowcy traktowali z przymrużeniem oka. Choć obaj twierdzili, że spotkali się z yeti, ich rewelacje składano na karb halucynacji niedotlenionych mózgów. Kolekcje dowodów – skalpów, odcisków stóp, zeznań świadków – demaskowano jako fałszywe lub jako owoce pomyłki. Ale dla mieszkańców „dachu świata” górskie monstrum jest tak rzeczywiste, jak śnieg i amerykańscy turyści. O jego istnieniu są przekonani Nepalczycy i Bhutańczycy. Syberyjscy Rosjanie i Chińczycy zwą je „Ałma”. Ale górzysta część Azji nie ma monopolu na yeti. Różne wersje tej samej legendy można odnaleźć na każdym kontynencie. W Ameryce Łacińskiej usłyszymy o małym stworze zwanym „El Chupacabra”, w Stanach Zjednoczonych albo Kanadzie krążą opowieści o Sasquatch, czyli Wielkiej Stopie.

Małpia twarz tchórza

Wszystkie legendy zadziwiająco zbieżnie opisują wygląd zagadkowego stwora. To wysoki, podobny do niedźwiedzia zwierzę, poruszający się w pozycji wyprostowanej, z długim futrem i małym pyskiem. „Naoczni” świadkowie



RYŚ: IGNAŃCY CZWARTOS

wspominają też o wstrętnym fetorze, który wokół siebie rozciąga yeti.

– To było olbrzymie – opowiadał członkom ekspedycji Druk Sherrik, bhutański policjant, o swoim rzekomym spotkaniu z yeti. – Miało to dziewięć stóp wysokości. Jego ramiona były wielkie i owłosione, a twarz czerwona i z szympansem nosem.

Mieszkańcy Himalajów wierzyli w takie relacje od zawsze, więcej – dla nich to było coś zupełnie naturalnego. Do dziś przecież istnieje w Bhutanie stanowi-

sko królewskiego łowcy ludzi śniegu. W Nepalu natomiast yeti był wpisany na oficjalną listę gatunków zagrożonych wyginięciem aż do roku 1958... W ten sposób prawo buddyjskiego królestwa o pół wieku wyprzedziło oficjalną wiedzę.

Naukowcy otwierają swe mądre oczy na zjawiska do tej pory ignorowane, bo niewytłumaczalne. A my już niedługo otrzymamy dowody na istnienie strzyg, elfów, goblinów i chochlików drukarskich. Nie mówiąc, rzecz jasna, o pocziwym Nessie. (RP)

Ten numer „P” gości w:

Ostrołęka RADIO OKO 106.7 MHz	SLUPSK 91.50 FM KOSZALIN 98.70 FM LEBORK 102.90 FM Vigor tel. 059 8423257
98.10 FM RadioMAKS Tarnów Biuro reklam: tel. (0-61) 621-29-29	TWOJE RADIO WAŁBRZYCH 91.8 FM
radio Merkury 91.1 FM POZNAN 91.9 FM 100.9 FM 102.7 FM 103.6 FM Reklamy: tel. (0-61) 885-63-73	radio TAK 98.0 i 106.5 FM Biuro Reklam: 25-363 Kielce, Wesoła 47/49, tel. (041) 362 09 51
99.40 FM 91.30 FM RADIO ECHO ul. Wałowa 6 33-300 Nowy Sącz tel. (0-18) 443-73-21	RADIO KRAKÓW Małopolska Esterka: 101.6 FM Tarnobrzeg: 101.0 FM Kielce: 90.0 FM Zabrze: 100.0 FM Czyżów: 102.1 FM Radom: 87.5 FM Sucha Beskidzka: 87.5 FM Gatunki: www.radio-krakow.pl
TWOJE RADIO JOWISZ 106.2 FM	RADIO PARADA 96.00 FM

Paszport donikąd

Są państwa, których próżno szukać w atlasach. Są władcy, których nie znajdziecie w żadnej encyklopedii czy leksykonie. Ale możecie stać się ich obywatelami: otrzymać paszport. A potem uwierzyć w ich hymny, flagi i konstytucje.

Pośrodku Atlantyku, między Bermudami a Azorami leży wyspa. Wielka – ma milion mil kwadratowych powierzchni. To czyni ją, zależnie od punktu widzenia, albo największym atolem na świecie, albo najmniejszym kontynentem. Ten kraj nazywa się Bergonia.

Cieplarniany, subtropikalny klimat, krajobraz pełen malowniczych równin i urzekających pagórków dał jej mieszkańcom spokój i czas na myślenie. Dzięki temu zaś, jak twierdzą, wspięli się na wyżyny myśli politycznej. Bergonia bowiem to jedyne państwo, w którym działa i dobrze się spisuje demokratyczny socjalizm. W Ośmiu Pryncypiach Rewolucji, odpowiedniku amerykańskiej Deklaracji Niepodległości, zapisano: „Lud będzie rządził i wybierał rządzących”. I dalej: „Ziemia będzie należeć do wszystkich”. Oraz wreszcie: „Socjalizm ochroni słabych”. Ale Bergonia nie zawsze była rajem. Dzisiejszy, idealny według jej obywateli ustrój powstał w wyniku rewolucji. Po wiekach feudalizmu i dziesiątkach wojen ciemniejszy lud, jak zwykle, powiedział: Dość! Sto

pięćdziesiąt lat temu wybuchła rewolucja.

Od tamtej pory trzy nacje – Minidun, Nacateca i Pasan – żyją w przyjaźni i pokoju. Razem z potomkami Europejczyków przybyłych wraz z Kolumbem jest ich dziś prawie sto siedemdziesiąt milionów. Wspólnie wybierają swój senat i prezydenta. Razem wreszcie uczestniczą w sprawowaniu władzy lokalnej – ona bowiem jest dużo ważniejsza od centralnej administracji. I nic dziwnego, że niewiele o nich wiemy. Gdy patrzą ze swoich Wysp Szczęśliwych na nasze kulawe demokracje i międzynarodowe kłótnie, kontakt z takim, dajmy na to, ONZ naprawdę może wydawać się zbędnym.

„W przeciwieństwie do sugestii nielicznych – głosi oficjalna witryna internetowa – Bergonia nie

jest wymyślnym krajem. Jest rzeczywistą wyspą-kontynentem, położoną na północnym Atlantyku”. Ci, którzy chcą wiedzieć więcej, powinni poszperać w atlasach, mapach, starodrukach i encyklopediach. A jeśli to nie pomoże, niech zajrzą na stronę www.bergonia.org.

Daleko od szosy

Bergonia nie jest żadnym wyjątkiem. Takich państw, nieznananych, odizolowanych od międzynarodowej dyplomacji, są setki. Stoją sobie z boku, omijane przez prądy i zawirowania historii świata. Ignorowane przez główny nurt nauk geograficznych, obserwują nas i nasze niesnaski, potyczki czy śmiesznie krótkotrwałe sojusze.

Te kraje-widma jednak istnieją. Więcej: są całkiem aktywne i – jeśli dobrze poszperać w sieci –

też zajmują się dyplomacją. Oczywiście, na swój widmowy sposób. Łączą się więzami przyjaźni za pomocą tzw. webringów – czyli „związków” stron internetowych, powiązanych wspólną tematyką. Jeśli zajrzemy na witrynę należącą do danego webringu, możemy z niej trafić na inne, podobne. Jeśli chcemy – losowo. Jeśli mamy ochotę – alfabetycznie. Członkom tych „związków” daje to poczucie siły i jedności. Nam zaś zapewnia wygodę i łatwość podróżowania po Internecie.

Obywatele wolą nazywać swoje ojczyzny cyberpaństwami lub mikronarodami (ang. micronations). Witryna zaś www.cybercitizen.com podaje warunki, jakie kraj musi spełniać, by należeć do międzynarodowej społeczności. Po pierwsze – powinien mieć profesjonalną „ambasadę” w sieci. Po

drugie – konieczna jest konstytucja i rząd z prawdziwego zdarzenia. Po trzecie – nie może być zależny od jakichkolwiek korporacji lub osób prywatnych. I po czwarte wreszcie – niezbędne są oznaki suwerenności: paszporty, hymn i godło.

OBYWATELE ŚWIATA

Witajcie w królestwie Talossy – dziedzictwie miłośniców panującego króla Roberta I. Monarchy oświeconego i sprawiedliwego. Władającego ziemiami o powierzchni trzynastu kilometrów kwadratowych, leżącymi na przedmieściach miasta Milwaukee. Kiedyś, w zamierzcztych czasach, jego imperium położone było w królewskiej sypialni, jednak dzięki błyskotliwie prowadzonej polityce zagranicznej i wewnętrznej osiągnęło dzisiejsze imponujące rozmiary.

„Talossa nie jest grą komputerową ani wirtualnym światem – głosi oficjalnie ambasada królestwa. – To ciągła polityczna przygoda, a wszyscy cudzoziemcy są zaproszeni, by zostać talossańskimi obywatelami. Talossa to prawdziwa polityka, tylko trochę mniejsza i bardziej dostępna”.

Zaiste, bardziej dostępna. W cyberpaństwach bowiem formalności i biurokracja zostały ograniczone do niezbędnego minimum. Aby stać się pełnoprawnym obywatelem, wystarczy odwiedzić talossańską ambasadę – www.execpc.com/~talossa – i wypełnić podanie o przyznanie obywatelstwa. Jedyne dane, jakie trzeba podać, to imię, nazwisko, adres poczty elektronicznej i kraj pochodzenia. Po kilku minutach „emigrant” otrzymuje uroczysty, oficjalny e-mail potwierdzający nowe obywatelstwo. Taki sposób przyznawania paszportów sprawdza się na tyle dobrze, że stosują go wszystkie mikronarody. Niektóre jednak zastrzegają sobie możliwość odrzucenia petycji.

Republika Cyberjugosławii – www.juga.com – powstała w czasie, gdy w bałkańskiej federacji działo się źle. Młodzi ludzie, zafascynowani możliwościami Inter-

netu, postanowili odciąć się od „brudnej polityki” ówczesnych przywódców. O sobie mówią: „Staliśmy się mieszkańcami Atlantydy. Nie mamy ziemi, ale mamy narodowość. Dajemy cyberjugosłowiańskie obywatelstwo wszystkim. Jeśli tylko czujesz się Jugosłowianinem – zapraszamy”. Ich republika otwarta jest dla wszystkich, z wyjątkiem „persona non grata” i osób pozbawionych paszportu.

Secesjoniści i samotnicy

Jeśli uważacie, że Teksas jest jednym z amerykańskich stanów, to bardzo się mylicie. Niepodległa Republika Teksasu istnieje i łączy wszystkich, którzy mają w sobie choć trochę ducha walki – nie tylko swych rodowych mieszkańców. Tak samo, jak istnieje Republika Arizony, Zjednoczone Królestwo Azorów czy Arcyksięstwo Szkocji. Niektóre cyberpaństwa wyglądają na zabawne ciekawostki – choćby Aerica ze swymi koloniami na Marsie czy Saturnie i powierzchnią 1 metra kwadratowego, zmieniająca położenie co sekundę. Inne, jak Bergonia czy monarchistyczna Freedonia (www.vcsn.com/~bis/) urzekają bogactwem historii lub dorobkiem kulturalnym, głębią filozofii czy przemyślaną konstrukcją systemu religijnego.

Wszystkie te państwa łączą demokracja i równość. Tu nie ma lepszych i gorszych. Albo ministrami są wszyscy, albo nikt. Każdy ma dostęp do informacji, a wszelkie zobowiązania wypływają jedynie z dobrej woli. Mikronarody to utopie będące wypadkową marzeń ich członków o świecie, w którym chcieliby żyć.

Teraz dostaję dziesiątki listów elektronicznych dziennie od moich nowych rodaków – właśnie z pomysłami na lepszą rzeczywistość. I jestem obywatelem dziesięciu cyberpaństw. Dlaczego? Bo niezwykle miło jest zostać ministrem. A nawet robotnikiem w kraju idealnego socjalizmu. Choćby tylko w Internecie.

ROMAN POLESEK
rpolesek@wp.pl



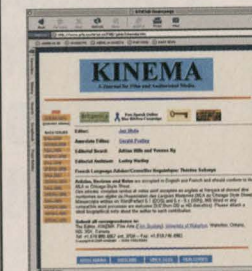
SYRENA Z MYSKĄ

Strona o pewnym samochodzie, ale może zainteresować nie tylko miłośników czterech kółek.

Jest ona bowiem poświęcona dogłębnej technicznej i historycznej analizie jednego

z największych cudów techniki Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – samochodowi syrena. Można z niej dowiedzieć się rzeczy niebywałych – na temat jej prototypów, a nawet przedprototypów. Świetnie i kompetentnie opisywane są kolejne modele seryjne – od 101 do 105, a także modele specjalne – takie jak syrena 110. Oddzielny link połączy nas ze stroną dotyczącą prywatnych, fantazyjnych przeróbek tejże maszyny. Obok – zdjęcia ukazujące charakterystyczne i niepowtarzalne krągłości syrenki. Nawet posiadaczom mercedesów tza się w oku zakręci – to pewne.

www.auta.b7.pl/syrena.htm



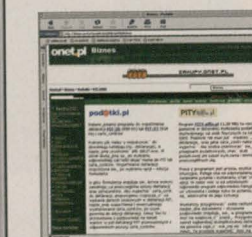
KINEMA

Interesujący portal o charakterze półrocznika, informujący o kinie z różnych stron świata.

Prezentuje się tu treści, których próżno by szukać w popularnych pismach branżowych dostępnych w kioskach. Znajdziemy na przykład analizę stanu kina

w Hongkongu, a nawet portret kinematografii singapurskiej (!). Z bliższej okolicy – opis ostatniej dekady XX wieku w kinie czeskim. Są także analizy twórczości uznanych autorów, jak Dowżenko, Wajda czy Bresson. W każdym wydaniu – sprawozdania z festiwali.

<http://www.arts.uwaterloo.ca/FINE/juhde/kinemahp.htm>



PIT BEZ TAJEMNIC

Zbliża się nieubłagane ostateczny termin rozliczenia się z fiskusem. Może nam w tym pomóc także Internet – zwłaszcza strony, na których znajdują się wszelakie porady dla przeciętnych podatników. Tak jest na niniejszej

stronie – bardzo do końca kwietnia użytecznej. Cały zestaw informacji – o terminach, ulgach, formularzach, sposobach wspólnego rozliczania się, etc. I wreszcie gwóźdź strony – możliwość ściągnięcia sobie na dysk PIT-ów wszelkiej maści (sam nie wiedziałem o aż takiej ich ilości) w ogólnodostępnym formacie Acrobat Reader. Warto będzie trochę poćwiczyć, bo jeżeli coś się nam pomyli, to...

<http://biznes.onet.pl/podatki/pit2000/biuro/html>

(JAZ)

Telewizyjna kasa

Polskie media obiegała w Wielkim Tygodniu hiobowa wieść, że telewizja publiczna nie ma pieniędzy. Stacje komercyjne odebrały publicznej telewizji widzów, spadły dochody z reklam, ludność naszego kraju nie płaci abonamentów, a pracownicy telewizji okopali się w związkach zawodowych i nie poddają się reformie pana Prezesa Kwiatkowskiego, której sens znajomy dziennikarz telewizyjny wyłożył mi prosto: „Nie jesteś nasz koleś, to zrezygnuj z pracy, a jak nie, to weźmiemy cię głodem, czyli nie pozwolimy ci robić programów”.

Starałam się zbagatelizować te doniesienia.

„Misja telewizji publicznej jest zagrożona” – Coś podobnego, jakby do tej pory panowie prezesi przejmowali się edukacją i kulturą w telewizji publicznej! „Nie będzie teatrów telewizji” – A może i dobrze, gdyby je miała robić pani Olga Lipińska? – starałam się nie popadać w depresję. „Nie będzie rozrywk” – Co? Czyżby koniec biesiad? – ucieszyłam się szczerze. „Telewizja przestanie finansować polskie kino” – Może zamiast niedorobionych filmów kinowych powstaną przyzwite filmy telewizyjne – racjonalizowałam.

Żeby uniknąć czarnej telewizyjnej Wielkanocy, ze strachu, że zamiast zajaczka, bazi i pisanek na ekranie zobaczę lansowanych przez telewizyjnych decydentów bohaterów naszej rzeczywistości, czyli: bezdomnych, alkoholików, pedofili, morderców, gangsterów i polityków w filmowych powtórkach, w zgrzebnej scenografii, oszczędnie oświetlonych i napis „przerwa w programie”, zaplanowałam świąteczny wyjazd.

Postanowiłam świętować bez telewizji i poleniuchować z kobiecymi czasopismami w ręku. Wzruszona opowieścią pisarki Manueli Gretkowskiej o jej błogosławionym stanie, który jest wynikiem „religijnego przeżycia miłosnego” z Piotrem ze Szwecji, przerzucałam kolorowe strony „Elle” w poszukiwaniu równie metafizycznych opowieści, gdy mój zamglony wzrok padł na informację, że ulubionym miejscem spacerów Prezesa Kwiatkowskie-

go jest sopockie moło. Czyżby „zielona trawka” za rozkład firmy Telewizja Polska SA?

Miałam pretekst, aby ostrożnie zerknąć do telewizora. Znow dałam się zwieść! Wszystko w porządku! „Jedynka” na święta zmieniła image – nowa scenografia, nowe czołówki i przerywniki. Zamiast gangsterów i polityków pojawili się Zagłoba, Kmicic i Wołodyjowski, jak co roku. Dołączył do nich Skrzetuski, i mamy już czterech do brydza na następne święta. Przy „klanowym” rodzinnym stole komplet, nawet zjawiała się Izabela Trojanowska.

Wszystko gra! Lubelskie wiadomości regionalne w poniedziałek miały „dyżur misyjny”, szerzyły kulturę, informując, że „teraz lejemy się wodą bez tradycji”, a tak nie wolno. Ma być z tradycją i kulturą! Telewizyjna wata nawijała się na oczy i uszy bez przeszkód!

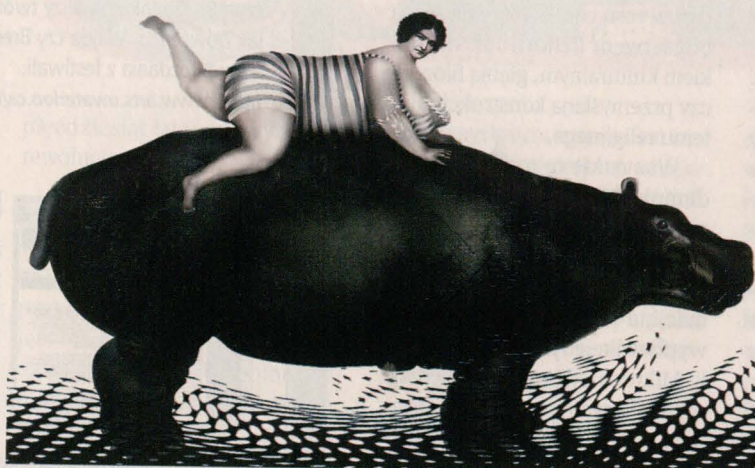
Nagle, jak burzowa chmura na wiosennym niebie, zjawiała się „pozycja programowa” pt. „Imieniny u Krystyny”. Uczestniczyłam w tych imieninach 13 kwietnia w Programie 1 i tekst, który napisałam wtedy, wyrzuciłam do kosza, gdyż były to inwektywy i wyrazy powszechnie uważane za obraźliwe. Tym razem ograniczę się jedynie do podania informacji, kto przyrządził „imieniny”: reżyseria – pan Kumański, kostiumy – pani Piwowarska, produkcja – Kuman Art., „kasę” dali: szef Agencji Wido-

wisk – pan Kabarowski, szef artystyczny Programu 1 – pan Piwowarski, dyrektor Programu 1 – pan Zieliński. Tych panów, siedzących na widowni, kamery pokazywały nader często i ich rozbawienie było odwrotnie proporcjonalne do uczuć widza. „Imieniny” przygotowane wg starej polskiej receptury „zastaw się, a postaw się” konsumowały budżet dużego teatru telewizji lub cyklu programów kulturalnych.

Może problemy z zarządzaniem finansami telewizji publicznej rozwiązałaby galeria z fotografiami tych, których firma już „nie obsługuje”, jak w filmie Barei? Doskonale się do tego nadaje budowana właśnie nowa siedziba zarządu telewizji.

WŁAJERKA

Postanowiłam świętować bez telewizji i poleniuchować z kobiecymi czasopismami w ręku.



rys. BOGNA OTTO WIEGZYN

Nowa seria „Czytelnika” WSPOMNIENIA I RELACJE

Mieczysław Jałowiecki **Na skraju Imperium**

Jolanta Wachowicz-Makowska **Chochlą i mieczem**

Maria Szelestowska **Lubię żyć**

Ola Watowa **Wszystko co najważniejsze...**

Wacław Zbyszewski **Gawędy o ludziach**

i czasach przedwojennych

Irena Szymańska **Miałam dar zachwytu**

Wspomnienia wydawcy

Nowość



Irena Szymańska

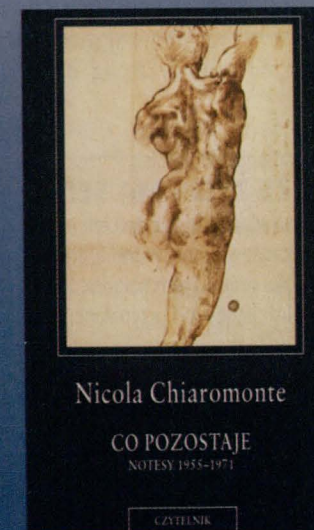
Miałam dar zachwytu

Seria NIKE w nowej szacie graficznej wkrótce:



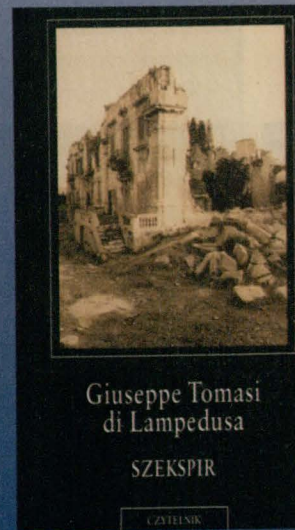
Nowości „Czytelnika”

w przekładzie St. Kasprzysia



Nicola Chiaromonte

CO POZOSTAJE
NOTESY 1955-1971



Giuseppe Tomasi di Lampedusa

SZEKSPIR

CZYTELNIK

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
00-490 Warszawa, Wiejska 12a
tel. (0-22) 628 14 41 (centr.), 628 95 08
fax (0-22) 628 31 78
e-mail: sekretariat@czytelnik.pl

ZAPRASZAMY DO NASZEJ KSIĘGARNI INTERNETOWEJ
www.czytelnik.pl



Od lewej: Grzegorz Lipiec, Krzysztof Czarkowski, Jacek Katarzyński

NAJBARDZIEJ ZNANI POLSCY TWÓRCY NIEZALEŻNYCH FILMÓW FABULARNYCH

- **JÓZEF KŁYK** – autor dużej liczby westernów powstających, z udziałem miejscowej ludności, na Śląsku w miasteczku Bojszowy. Niektóre filmy – „Człowiek znikąd”, „Wolny człowiek”, „Dwaj z Teksasu”.
- **PIOTR KRZYWIEC** – realizuje filmy sensacyjne odwołujące się stylistycznie i treściowo do kina klasy B. Jego filmy wyświetlano w kinach w Białymstoku. Tytuły – „Rok 2384”, „Czerwona rewolucja”, „Okno Boga”.
- **JACEK BORCUCH** – reżyser pierwszego filmu – „Kallafior” (1999) – powstałego poza wytwórniami, który wszedł – w dwóch kopiach – do powszechnej kinowej dystrybucji. Autor dał się poznać wcześniej jako aktor („Dług”). Wśród współtwórców filmu są także inni profesjonalści z branży.
- **GRZEGORZ LIPIEC I GRUPA „SKY PIASTOWSKIE”** – amatorzy z Zielonej Góry debiutujący obecnie w kinach filmem „Że życie ma sens” (dziesięć kopii). Niektóre wcześniejsze filmy – „Terminator 3”, „Stan odmienny”, „0,5 l”.

KINO Z OSIEDLA

Rozmowa z KRZYSZTOFEM CZARKOWSKIM i GRZEGORZEM LIPEM, członkami grupy filmowej „Sky Piastowskie”, twórcami filmu „Że życie ma sens”.

Nie interesuje nas komercyjny producent ze złotym sygnetem

Ile taśmy trzeba zepsuć, aby zadebiutować w szerokim rozpowszechnianiu kinowym? Mielismy 40 godzin nagrań na VHS, przez 10 lat dochodziliśmy zaś do punktu, w którym obecnie się znaleźliśmy. Zaczęliśmy w 1990 r. od zwykłych wygłupów przed kamerą, później przyszły parodie, pastisze, aż dojrzelismy do

zrobienia pełnometrażowego filmu fabularnego. W jaki sposób waszym filmem zainteresował się dystrybutor? Pokazywaliśmy film na przeglądach kina niezależnego. Potem dobrze napisała o nim „Machina”. Następnie trafił do rąk Stefana Laudyna – dyrektora Warszawskiego Festiwalu Filmowego, a on przedstawił go dystry-

bucyjnej firmie „Best Film”. Tam spodobał się na tyle, że zaryzykowali wprowadzenie go na ekrany w 10 kopiach. Czy uważacie, że nurt kina off-owego będzie się w Polsce rozwijał? Z własnego doświadczenia wiemy, że nie jest to proste i wiąże się z ciężką pracą. Dostęp do kamery jest bardzo powszechny, ale realizacja filmu wymaga wielu wyrzeczeń. Trzeba uporczywości i szczęścia, aby spotkać ludzi myślących i działających podobnie. Wszystko robi się oczywiście nieodpłatnie. Nasza realizacja nie obyła się bez ofiar – należą do nich dwie sprawy rozwodowe i liczne kontuzje doznane na planie. Z drugiej strony swoboda, jaką posiada się przy takich realizacjach, pozwala na mówienie dokładnie tego, co chce się powiedzieć, a nie tego, co chciałby upchnąć komercyjny producent ze złotym sygnetem. To poczucie wolności w realizowaniu własnej pasji wynagradza poniesione nakłady. Ten sposób na robienie kina be-

ŻE ŻYCIE MA SENS

Wydarzenie bez precedensu w rodzimej kinematografii. Film stworzony całkowicie przez amatorów trafia do naszych kin. Opowiada on historię kolegów z blokowiska próbujących nakręcić film, a właściwie pokazuje grzeźnięcie w narkotykowe uzależnienie – od przypalania trawki aż po heroinowy głód. W konstrukcji i w podejściu do filmowej materii widać fascynację kinem Tarantino i chropowatymi fakturami obrazu rodem z muzycznych klipów. Autorom, mimo nieprofesjonalnego rodowodu, udało się w pierwszej, rodzajowej części filmu zachować klarowność wyводу i kompozycji. Niestety, rzecz ma liczne wady: kamera jest nadmiernie rozedrgana; kiepskie są sceny narkotykowych mężczyzn; w partiach mających w zamierzeniu być syntezą, podsumowaniem, rozłazi się scenariusz, kuleje narracja. Jednakże od bardzo dawna w polskim filmie nie oglądaliśmy takiego naturalizmu zachowań, autentyzmu w podawaniu dialogu, wyrazistych typów ludzkich przywołujących prawdę ulicy. Za ten „ochłap życia”, za widoczną pasję twórczą oraz za przetarcie nowych szlaków należy przyznać przedsięwzięciu, nieco na kredyt, przychylną ocenę i dodatkowy punkt rankingowy. Ostrzeżenie dla językowych wrażliwców – połowa słownictwa to określenia powszechnie uznawane za obraźliwe. (TP)

Reż. Grzegorz Lipiec, Polska 2000

dzie się rozprzestrzeniał. Nawet z nami kontaktuje się wiele osób chcących się dowiedzieć, jak zacząć przygodę z kinem.

Czy film stworzyli wyłącznie koledzy z osiedla?

W większości, choć są też znajomi naszych znajomych, a także ludzie, którzy przyszli do nas, wiedząc, czym się zajmujemy. W roli psychologa występuje jeden aktor zawodowy. Tworzymy związek otwarty, nie chcemy zamykać się wyłącznie w swoim środowisku.

Wasz film jest najlepszy wtedy, gdy odtwarzacie własne doświadczenia i najbliższe obserwacje. Natomiast gdy pojawiają się uogólnienia, wnioski – obraz zaczyna tracić na wartości. W związku z tym zapytam: co dalej?

Pracujemy teraz nad scenariuszem o kobietach, który napisała kobieta. Nie chcemy zamykać się w kręgu własnych obserwacji. Być może film powstanie w lepszych technicznie warunkach. Chętnie zrealizujemy inne tematyczne filmy, choć nie ukrywam, że robienie kina o dużej dozie autentyzmu interesuje nas najbardziej.

Film opowiada o zatrąceniu się w narkotykowym nałogu, jednakże jego pierwsza część radosna, gdzie zaczynają brać, jest znacznie bardziej przekonująca od części, gdy pokazujecie skutki ćpania. Czy nie obawiacie się, że możecie w ten sposób afirmować narkotyki?

Nie sądzę. Myślę, że w naszym filmie rzetelnie pokazujemy całą drogę narkomana kończącą się upadkiem. A droga ta w początkowej fazie wydaje się ścieżką ku wolności i w tym cała złuda tego typu wspomagania. Uważam, że zastosowane przez nas zabiegi filmowe – jak bliskie zniekształcone plany czy rozedrganie kamery – wupuklają w końcówce dramatyczne położenie bohaterów, które wzięło się przecież z wcześniejszych chwil radosnych.

Rozmawiał
TOMASZ PRZYBYŁKIEWICZ

● SLABE ● PRZECIĘTNE ● ZACNE ● ZNAKOMITE ● WYBITNE



wom literackim oraz hołubionym telewizyjnym taśmowcom. Rzecz jest zgrabnie poprowadzona, dobrze zagrana – choć momentami ociera się o zgrzyw – i pomysłowo sfotografowana. Przewrotny finał ironicznie domyka rozważania o swobodzie artysty w trybach fabryki do robienia kina. Widać, że twórcy dobrze się przy robocie bawili. Na szczęście nie tylko oni.

Reż. Tomasz Konecki, Polska 2000

PÓŁ SERIO

Film o tworzeniu filmów i poszukiwaniu inspiracji. Film o problemie zużycia filmowych tematów i konwencji. Film o uczeniu się zmaganiu z filmowym wyczerpaniem atutu i wręcz metody twórczej. Film o tym, że poszukiwanie pomysłu, to już pomysł. Trzech dobrze zapowiadających się próbuje przekonać producenta – geszefciarza do swoich nietuzinkowych pomysłów, które ten kapryśnie odrzuca, za to my oglądamy smaczne fragmenty różnorodnych potencjalnych obrazów. Grzebanie w gatunkowych kliszach odbywa się z gracją, ale też z przekorą i zjadliwym humorem. Dostaje się światowym i rodzimym świętościom X Muzy, wyświechtanym motywom literackim oraz hołubionym telewizyjnym taśmowcom. Rzecz jest zgrabnie poprowadzona, dobrze zagrana – choć momentami ociera się o zgrzyw – i pomysłowo sfotografowana. Przewrotny finał ironicznie domyka rozważania o swobodzie artysty w trybach fabryki do robienia kina. Widać, że twórcy dobrze się przy robocie bawili. Na szczęście nie tylko oni. (TP)



najmniej nie krytykuje żadnej z bohaterek, jest nastawiony do nich wielce pozytywnie. Oczami tytułowej postaci, przystojnego ginekologa (Richard Gere) oprowadza nas po świecie, z którego tak naprawdę przebija niewinność, zagubienie i potrzeba miłości. Tę humorystyczną opowieść, w której mężczyzna prawie nie uświadczy, ogląda się z prawdziwą przyjemnością i beztróską dziecka. (ACK)

Reż. Robert Altman, USA 2000

DOKTOR T. I KOBIETY

Najnowszy film Altmana to hołd oddany kobietom, zarówno tym starszym jak i młodszy. Z rzadko spotykanym u mężczyzn wyczuciem i sympatią kreśli on obraz płci zwanej piękną, z jej wadami, zaletami i całą masą kłopotów, o jakie codziennie potyka się wrażliwsza część populacji. Wprawdzie akcja rozgrywa się w snobistycznych dzielnicach Dallas, gdzie bogactwo i znużone żony są normą, ale dzięki temu zabiegowi udało się uwypuklić całą istotę kobiecości: wylewną uczuciowość, słodką życzliwość, skłonność do plotek i zakupów, chęć bycia atrakcyjną oraz zazdrość i podstęp w stosunku do własnej płci. Altman by-

CO JEST FILMEM

Gdy w pewnym gronie radziliśmy nad nagrodą za najlepszy polski film (chudego) roku 1998 i zgłosiłem „Julię” Krystiana Lupy, nikt nie uznał, że gadam poważnie. Lupa przecież z teatru, w tym wypadku TV. Owszem, sam mówi, że mu radzą coś nakręcić: trudno nie zauważyć jego filmowych rozwiązań. Niektórzy są nawet zorientowani, co studiował. Tylko że mamy go, jak dotąd, w innej szufladce. Tęgi znawca krajowej sceny odkrył, że w „Kuszeniu cichej Weroniki” (emisja 8 kwietnia w TVP 2) Lupa „chyba po raz pierwszy wypuścił bohaterów na otwartą przestrzeń”. Tymczasem wypuszczał od dawna i nie tylko raz. Jednakże to nie plenerowość jest kryterium filmu – bo co z Iwią częścią Bressona i Bergmana? Zdjęcia w plenerze nie zapobiegły z kolei grymasom przy „Czasie zdrady” Marczewskiego. Brały się nie stąd, że dramat racji Machiavellego i Savonaroli wyraża-

ją słowa dialogu, ale stąd, że nakręcono go kamerą wideo. Aha! Zatem film musi być na celuloidzie? Zgodnie z definicją w słowniku Arcta, A.D. 1916: „błona kolodjonowa, cienka i elastyczna, z której przygotowują się klisze fotografii pośpiesznych”. Bez wątpienia, szlachetność obrazu ekranowego wielce zostaje wzbogacona, gdy rejestrowany jest na tak dziś udoskonalonej taśmie światłoczułej (co w Polsce nawet łatwiej zapamiętać, skoro mamy Camerimage, najważniejszy światowy festiwal sztuki operatorów); ale też „Matrix”, „Stuart Malutki” i „Toy Story” – a takich filmów będzie przybywać lawinowo – są dziełem wyobraźni i megabajtów, a nie natury i optyki. Pora skończyć z sekciarskimi podziałami na film kinowy, telewizyjny, taśmowy i spektaklowy. Film to ruchome obrazy z naturalnie – a nie umownie – ujętej przestrzeni. Czy dobry, zależy tylko od tego, ile ma w sobie różnorodnej prawdy i urody.

ADAM GARBICZ

WROCLAWSKIE FLORALIA

Wedle wrocławskiej prokuratury blisko 40 proc. połączeń Dolnośląskiej Regionalnej Kasy Chorych z Internetem „to były wejścia na strony pornograficzne, także z udziałem dzieci i zwierząt”. Profilaktyczne walory pornografii odkryli już starożytni Rzymianie. Wprawdzie Grecy dużo wcześniej obnosili po Atenach rzeźby sterczących fallusów, czynili to jednak z powodów religijnych, a w teatrze wszystkie żeńskie role kreowali mężczyźni.

Dopiero Rzymianie wpadli na pomysł, żeby w nocnych obchodach wielkiego święta bogini kwiatów, Flory, wzięły udział także aktorki. Kiedy w roku 173 przed Chrystusem panie wkroczyły na scenę, widownia zawrzała. Podnieceni obywatele zaczęli krzyczeć, żeby artystki się rozebrały, co one ponoć chętnie uczyniły, wzbudzając tym jeszcze większe zamieszanie. W Rzymie sakralna prostytutka nie była tak popularna jak w Grecji i obnażona kobieta mało komu kojarzyła się z kapłanką.

Wkrótce świątynia Flory stała się centralą prostytutek w Rzymie. Co roku podczas Floraliów, na przełomie kwietnia i maja, zapracowane hetery reklamowały swoje usługi popisami przy świetle pochodni w drewnianym teatrze ustawianym na czas festiwalu przed świątynią. Moraliści, jak na przykład Katon, przed striptizem po prostu wychodzili, co widzowie zwykle nagradzali gromkimi brawami. Wszak występy sceniczne chroniły Wieczne Miasto od plag i nieurodzaju! Ustanowiono je na wyraźne polecenie senatu, żeby przebłagać boginię, gdy czuła się zaniedbana i zesłała na państwo zarazę.

Dzisiaj kultura Flory podtrzymuje Dolnośląska Kasa Chorych. Rzeczywiście od dawna nie było we Wrocławiu żadnej plagi. Pracownicy kasy chorych wreszcie znaleźli dla siebie sensowne zajęcie. Muszą być dumni ze swoich osiągnięć, skoro ich szefowa oznajmiła w telewizji, że kierowana przez nią placówka jest najlepsza w Polsce.

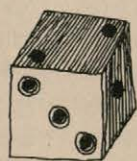
MIROSLAW KOCUR

UCHO i śmierć

Piekło ludzi zamkniętych
w luksusowym mieszkaniu
polega na obojętności.

Ta recenzja musi zacząć się od anegdoty. Krzysztof Bizio, trzydziestoletni architekt, odnajmował od Teatru Współczesnego w Szczecinie przestrzeń na biuro projektowe. Pewnego dnia wyszedł schodami na górę, zapukał do gabinetu dyrektora Anny Augustynowicz i powiedział: „Jestem Bizio. Napisałem coś do teatru. Weźmiecie?” „Jak będzie dobre, to weźmiemy” – odpowiedziała Augustynowicz, bo tak się zwykle w podobnych wypadkach odpowiada. Na szczęście było dobre.

Reżyserii podjął się Tomasz Man – w „Przekroju” chwaliłem go niedawno za warszawską „Katarantkę”, też młody dramaturg i reżyser. Man tym odróżnia się od innych twórców najmłodszego pokolenia, że pragnie specja-

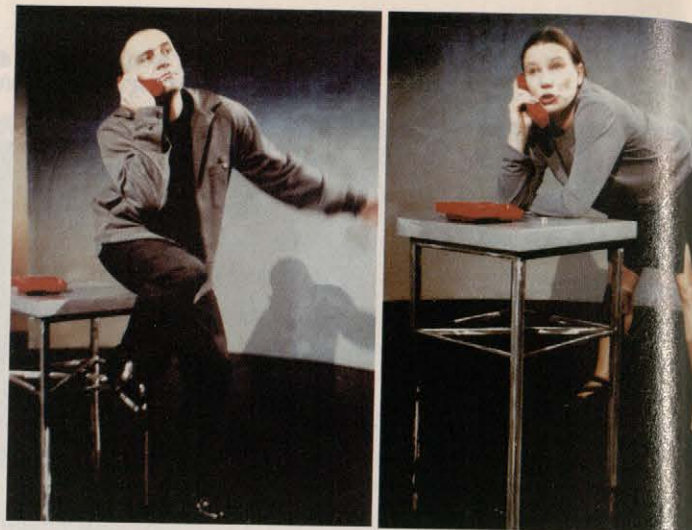


Poczekał sobie trochę w kolejce do KOSTKI „Wiśniowy sad” ze Starego Teatru w Krakowie. Ale taki złowrogi los musi spotkać i nieuchronnie spotka wszystkie spektakle letnie, znaczy takie, które nie są ani dobre, ani złe. W trzech krótkich punktach wyjaśniam, dlaczego tak sądzę.

- 1.** Kilka niebanalnie pomysłanych ról jest prowadzonych przez aktorów niejako oddzielnie, nie spotykają się w finale, nie dają diagnozy czechowowskiej rzeczywistości.
- 2.** Nie dowiadujemy się, z jakich powodów zdecydowano się w Starym wystawić ten dramat, w jakim celu chciano się Czechowem posłużyć, jakie sprawy ze światem załatwić.
- 3.** Autentyczna ciekawość ludzi, jaką da się w spektaklu wychwycić, ginie zagłuszona przez rumor i trzaski demontowanej na oczach widzów scenografii pomiędzy aktami.

ŁUKASZ DREWNIAK

Streszczenie zawartości Kostki dla osób czytających tę rubrykę pobieżnie: recenzent uważa, że młody reżyser Remigiusz Brzyk sięgnął po „Wiśniowy sad” przynajmniej o dziesięć lat za wcześnie, ale z przyjemnością poczeka na drugie podejście.



Niebieski (Grzegorz Młodzik) i Czerwona (Beata Zygarelicka)

lizować się we współczesnym dramacie. Aranżuje na scenie laboratorium ludzkich reakcji. Ogranicza zdarzenia do minimum, skupiając naszą uwagę na postaciach i słowach, jakie wypowiadają. Sterując natężeniem dźwięku, sprawia, że muzyka wzmacnia pulsację emocji w spektaklu, nie komentując jednocześnie niczego. Scenografia Magdaleny Gajewskiej sugeruje, że jesteśmy wewnątrz ludzkiego ucha. Ale to tylko delikatny znak, w którym nie ma żadnej nachalności. Przestrzeń ucieka od realizmu w eliptyczne korytarze, po których krążą bohaterowie. Pośrodku sceny stoi telefon. Niebieski, Czerwony i Biały kończą i zaczynają przy nim swoje podróże po scenicznym labiryncie. Bizio i Man pokazują w tym

przedstawieniu kolejny etap w dezintegracji współczesnej rodziny. Nie ma już kłótni, jadu, nienawiści ani walki na emocje. Piekło ludzi zamkniętych w luksusowym mieszkaniu polega na obojętności. Matka, Ojciec i Syn w ogóle nie rozmawiają ze sobą. Nie interesują się uczuciami innych domowników. Powierników szukają wśród obcych ludzi. Rodzina pojmowana jest jako interes – joint venture. Czerwona (Beata Zygarelicka) jest podstarzałą nimfomanką, sypia z narzeczonymi swoich przyjaciółek. Łapczywie chwyta każdą chwilę z odchodzącej właśnie młodości. Niebieski (Grzegorz Młodzik) to twardy biznesmen w nowym stylu, król szarej strefy, spraszający sobie panienki do domu letniskowego nad morze. Biały (Paweł

Niczewski) – ich syn, rozbija się samochodami, pozoruje studia, ma kontakty z gangsterami. Mały ćpun i początkujący dealer. Cała trójka żyje w wymyślonych światach. Podczas rozmów telefonicznych stwarzają siebie na użytek słuchacza: „Jesteśmy cool, życie jest OK!”

Członkowie tej rodziny grają rolę z komórkami przy twarzy. Nie potrafią zrozumieć, że ich telefony to w istocie wołanie o pomoc. Wstydzą się problemów i emocji przed najbliższymi. Dla siebie nawzajem mają tylko frazesy: Jak leci? Dobrze. To w porządku. Cześć. Przez telefon łatwiej się gada, można bez ryzyka odsonić się, wyznać winy i obaw.

Ale taki sztuczny świat nie może istnieć w nieskończoność. Wygodne życie bez odpowiedzialności zostaje zderzone z cierpieniem, życiem i śmiercią. Wali się wszystko, co bohaterowie stworzyli. Niebieski przeżywa napad na swój warsztat. Rozumie teraz, że pościg za pieniędzmi nie ma sensu. Czerwona dowiaduje się, że ma raka piersi. Idzie do szpitala i nie jest pewna, czy wróci. Już wie, że pośród jej wszystkich zdrad najboleśniej zdradziło ją własne ciało. Białe każe usunąć ciążę swojej dziewczyny, gangsterzy domagają się zwrotu długu. Z króla klubów techno zmienia się w wystraszonego smarkacza.

I wtedy w spektaklu powstaje zaskakująca proźnia. Bohaterowie spotykają się w samym środku ucha. Przystają krążyć po swoich trasach - odkładają telefony. Znowu są Ojcem, Matką i Synem. Bizio i Man zostawiają jednak otwartą kwestię: czy będą teraz ze sobą rozmawiać. O happy endzie nie ma mowy.

Ta recenzja zaczęła się od anegdoty, a skończyła się dyskretnym pouczeniem. Jaki morał z tej opowieści? Ano taki, że żaden teatr nie powinien bać się ryzyka i debiutantów. Dyrektorzy powinni baczenie przyglądać się swoim podopiecznym. A nuż któryś coś pisze w tajemnicy.

ŁUKASZ DREWNIAK

Teatr Współczesny w Szczecinie.
„Porozmawiajmy o życiu i śmierci”
Krzysztofa Bizio. Reżyseria: Tomasz Man,
scenografia: Magdalena Gajewska, muzyka:
Łukasz Damm. Prapremiera 25 marca 2001

Plamy po kawie



Dostawka

PAWEŁ GŁOWACKI
Rocznik 1965. Krytyk.
Krytkował wszystkich
na łamach „Teatru”,
„Tygodnika Powszechnego”,
„Rzeczpospolitej”
i „Dziennika Polskiego”.

Kupa piachu i krzyż w kupie piachu. Karabiny pomalowane na srebrno i z bagnietami na sztorc. Trzy w kącie, oparte o ścianę, jeden na czarnej, pustej walizce z niedomkniętym wiekiem. Skąd wiem, że pusta była, że pusta jest, że pusta zostanie? Puknąłem w wieko i tylko wielka głuchość odpowiedziała. Jak kiedyś, gdy mama odchodziła na spacer nie do powtórzenia. Pamiętam, wtedy też puknąłem w wieko. Usłyszałem to samo. Być może głuchość to kiepska definicja pustki, ale nie będę płakał – i tak nie mam innej.

Więc chodzę po wystawie w mitycznych Krzysztoforach, po „Wielopolu, Wielopolu” bez „Wielopola, Wielopola”, chodzę wśród tego, co zostało, i pukam w co się da. Metr od czarnej walizki bez słów, metr od wieka, którego nikt już nie domknie – teatralny kostium bez człowieka. Mycka, pejsy, chafat, wszystko jak się należy, tylko że z rękawów już nie wystają dłonie, na górze nie ma już oczu, które kiedyś, kiedy Kantor żył, w jednym spektaklu parę razy mdlały z przerażenia, gdy ostateczna Sprzątačka punktowała rzeczywistość zmieniającym się

w karabin maszynowy aparatem fotograficznym. Śmierć fotograficznie rozstrzeliwała życie, a oczy Żydka co i raz mdały. Słusznie. Bo niby kto by chciał być tak uwieczniony? Aparat-karabin też tu jest. Sprawdziłem obiektyw—lufę, sprawdziłem naboje, puknąłem w stalowy korpus. Wszystko w porządku, wszystko działa. Tylko że wielkiej Sprzeczki nie ma.

Ściślej mówiąc – jest. I to bardzo. Kto wie, może nikt poza Kantorem tak fenomenalnie nie wymościł sobie pośmiertności. On nie robił teatru po to, żeby żyć. On robił teatr po to, by umrzeć. Udało się, i to jak się udało. Zostawił kopczyk biednych rzeczy, zostawił magazyn najwykleszych osobliwości, w których jest o niebo więcej oddechu niż w ciele Kantora, co się teraz na cmentarzu Rakowickim pilnie w proch obraca, albo nawet już się obróciło. Jego Teatr Śmierci? Na czym w istocie polega? Na czym polega? W sumie proste to jak druty, co w Krzysztofórah podtrzymują tamte teatralne kostiumy, udając życie.

Nie zgadzamy się, żeby się cielska nasze na naszych oczach w nicość zmieniały, więc dyskretnie pod ziemię zstępujemy. Za to najmniejszych pretensji nie mamy, żeby się ubrania nasze i rzeczy nasze dokładnie na naszych oczach obracały w kurz. Świat się sypie, świat jest tym, co się sypie. W teatrze nikt tego głębiej niż Kantor nie pojął. Więc chodzę po wystawie w Krzysztoforach i pukam w proch. I uwierzcie – tamten seans magiczny, tamto „Wielopole, Wielopole”, z każdym puknięciem moim nagle we mnie ożywa. Taki to jest proch. Taki to był teatr. Zdaje mi się, że w Krzysztoforach rzeczy ruszać się zaczynały. Manekiny mrugają do mnie szklanymi oczkami. Rozdymane drucianą pustką mundury salutują, kołatki kocząc, dziwaczne kręciołki przekuwają mi uszy suchym chrobotem godnym ogonów grzechotników. Drewniana panna młoda prosi mnie o rękę,

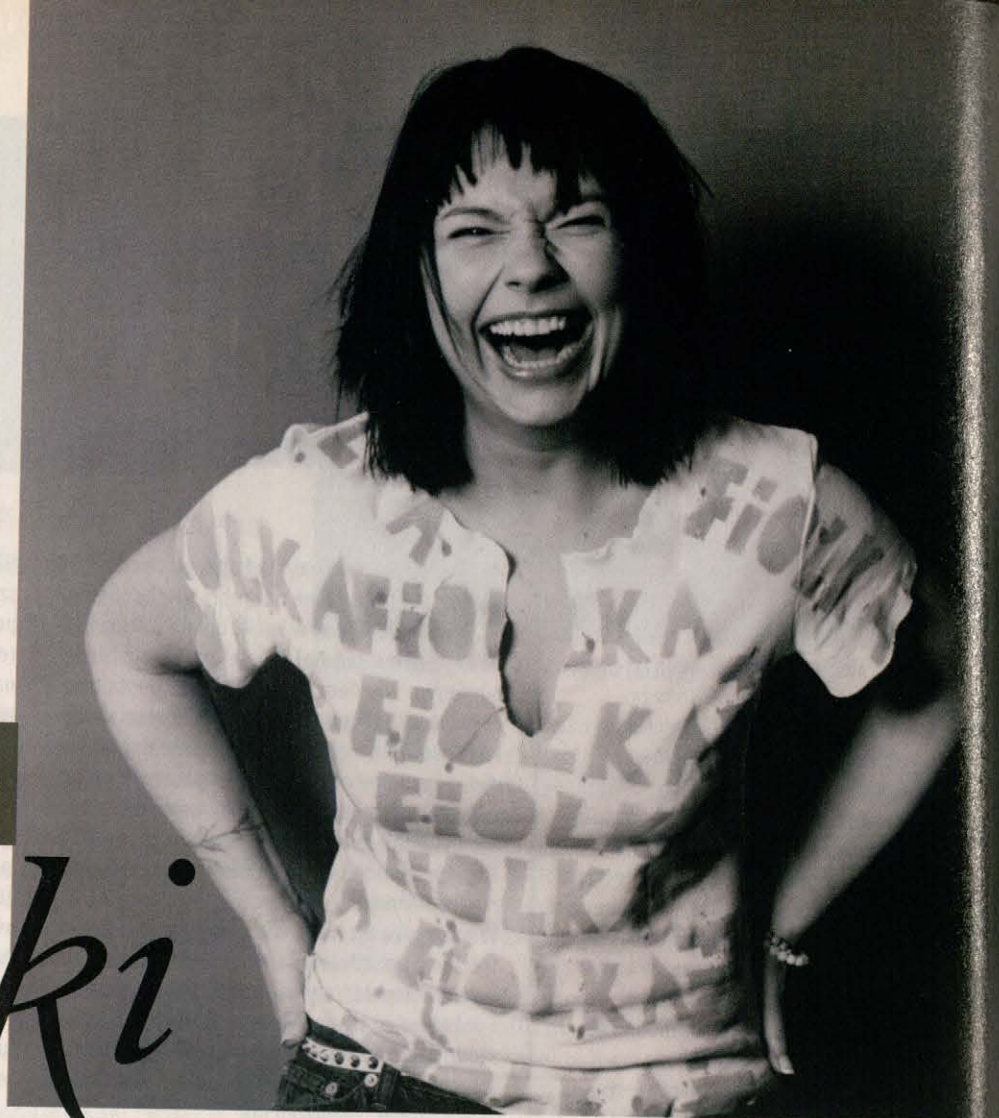
a ja się zgadzam na wszystko. Paaaa-ra-ra-raa-ra-raa-raaaa-raaaaa... – tak śpiewa martwota nad mą żywą głową. Młaska paszcza czarnej walizki, dla której już nie ma i nigdy nie będzie żadnej podróży. Kościotrup w randze porucznika szeleści zdrutowaną szczęką. Dziwaczne krzesło z napisem Golgota wita

uniżenie. Moje uszanowanie – powiedział i idę puknąć w szafę, z którą bliźniacy Janiccy wyprowadzili kiedyś niesłychane rzeczy. Pukam – stłowy łoskot wieszaków odpowiada, łoskot wieszaków ostatecznie pustych. Już nic nie wisi w szafie, już nic tam nigdy nie zawisnie. Z boku Deska Ostatniego Ratunku – Deska Ostatniej Wieczery, i biały obrus na desce. Widzę ślad palców Kantora i brunatne plamy po kawie. Zawsze, gdy się lekko wkurzał na świat, rozlewał kawę. I zawsze, w finale każdego „Wielopola, Wielopola”, z dziecięcą czułością składał obrus, wkładał go pod pachę i opuszczał nas. A rozsuwane wieko się za nim zamykało na amen. Czy tak musi być dziś z pamięcią o człowieku, który pokochał umieranie? – pytam sam siebie, wyglądając przez samotne okno stojące na drucie. Nic nie widzę. Lusterko, co stoi obok na stoliku i niczego nie odbija, obchodzę jak jeża. Owszem, tak musi być: młask pasczy czarnej walizki. I krzyż w kupie piachu.

-
e
-
y

**Wokalistka
FIOŁKA NAJDENOWICZ**
debiutowała przed laty
z Voo Voo, później
współtworzyła zespół
Balkan Electricque. Ostatnio
nagrała solową płytę
pod tytułem „Fiołka”.

ŚMIECH Fiołki



Od poprzedniej twojej płyty minęło
chyba pięć lat.

Oj, więcej.

Co robiłaś przez ten czas?

Pracowałam w wytwórniach fonograficznych na stanowisku promotora radiowego. To jest jedna z przyjemniejszych prac w wytwórni, a poza tym...

Na czym polega?

Na zachęcaniu didżejów radiowych do grania muzyki z konkretnej wytwórni. Naprawdę przyjemna robota, poza tym utrzymuje się kontakty z artystami polskimi i zagranicznymi.

Może stąd właśnie masz tylu
wspaniałych gości na płycie?

Raczej nie. Po prostu, gdy zaczęliśmy nagrywać płytę, wytworzyło się wokół jakiegoś dziwne pole energii. Ludzie, którzy mieli zagrać tylko parę dźwięków, zostawali do końca. Stąd obecność Michaela Jonesa – skrzypka z Anglii, Wojtki Seweryna – jazzmana współpracującego z Lechem Janerką, i wielu innych wspaniałych artystów.

Nad całością czuwał Leszek Biolik?

Tak, pracował nad materiałem od początku do końca, programował,

produkował, no i oczywiście grał na basie. Nie wyobrażam sobie, aby tak wielki muzyk, wspaniały basista, nie zagrał na mojej płycie. **Słychać to. Na płycie basu jest dużo.** Nie jest dużo, jest w sam raz. (śmiech)

W sam raz. Mamy teraz modę
na mocne brzmienie basowe.

Nie sugerowałam się jakkolwiek modą, kompletnie. Nagraliśmy taką płytę, jakiej sami z przyjemnością będziemy słuchać. Nie oglądaliśmy się na żadne mody. Robiliśmy muzykę piękną, wartościową i taką, jaką sami lubimy.

Pomimo tego płyta trafia w to,
co się teraz gra i słucha, chociażby
przez twoje bałkańsko-arabskie
wokalizy.

Posłuchaj uważnie. Ja nie wykonuję żadnych arabskich wokaliz... **Chwilami słyszałam jakby muezzina, chyba w utworze „Żmija”.** Niemożliwe. To jest absolutnie czyste bułgarskie piosenka, żaden muezzin nie miał z nią nic wspólnego. **Przepraszam, nie chciałem...** (śmiech) ...wręcz przeciwnie, Bułgarzy muezzinów nie lubią, są nastawieni anty, bo żyli pięćset lat w niewoli tureckiej.

Na płycie są dwie tradycyjne
piosenki, powiedz coś o nich.

Znam je dobrze, bo pochodzą z Bułgarii. Poza tym mam tam ciotkę, która pracuje na Uniwersytecie Sofijskim jako etnolog – jej praca polega na zbieraniu i dokumentowaniu pieśni ludowych, ratowaniu ich przed zapomnieniem – jeździ po wsiach i nagrywa śpiewające staruszki.

Nagrasz płytę popularyzującą
rodzinne archiwum?

Być może. Nigdy nie mówię nigdy.
Teksty. Część napisałaś sama.

Bałam się pisać teksty... Leszek Biolik gra w Republice, więc marzyłam sobie po cichutku, że być może Grzegorz Ciechowski mi pomoże... **I zgodził się.**

Nie tak łatwo, bo kiedy nagrywałam płytę, był zajęty produkcją „Mężczyzn” Kasi Groniec, ale przy piosence „Komu ja”, z której słowami nie mogliśmy sobie poradzić, Grzegorz powiedział: Dajcie, spróbuję. Następnego dnia przysłał tekst... Uważam, że jest to jeden z najbardziej udanych jego tekstów. **Wcześniej powiedziałaś mi, że „Komu ja” było trudne do przetłumaczenia ze względu na zawarty w oryginale mocny rytm. Grzegorzowi Ciechowskiemu udało się go zachować, a jak jest z wyrażoną w słowach treścią?**

Bułgarskie pieśni w większości poruszają tematy narodowowyzwoleńcze – ich twórcy doświadczili sporo niewoli, więc mieli o czym śpiewać. Pozostała reszta to jakieś zupełnie bajkowe historie o smokach, czarownicach i innych cudach, dlatego polskie wersje nie odpowiadają całkiem oryginałom.

Ostatni na płycie remiks jest tak
zmontowany, że jego tekst jakoś
dziwnie się zaplata. Śpiewasz:

„...gdy chcę się napić – piję, a kiedy
senna to – piję, (...), a kiedy chcę
grzeszyć to – piję”. Wyraźnie
podkreślone: piję, nadto
w książeczce do płyty są twoje
rysunki, jeden z nich przedstawia
dziewczynkę w spódnicy
z napisem Fiołka. Dziewczynka
ta trzyma jakąś gigantyczną...
...chyba butelkę wody mineralnej.
Pijesz tylko mineralną?

Tak, wyłącznie. (śmiech)
Mam kolejną próbkę twojego
śmiechu. Singel promujący płytę
zatyłowany jest właśnie „Głośny
śmiech”. Mierzyłaś się swojego
śmiechem?

Niestety, nie. Natomiast obserwo-
wałam nieraz reakcje ludzi – jeżeli
zaczynają krzyczeć i płakać, staram
się śmiać troszkę ciszej.
Tak jest. Śmiech Fiołki staje się już
legendarny.

LAZARUS



AEROSMITH. Nigdy nie byli zespołem oryginalnym. Stanowili amerykańską odpowiedź na The Rolling Stones o tyle nietrafną, że oba te zespoły penetrowały inny rodzaj rock'n'rolla. Aerosmith zawsze bliższe było hard rockowi, temu zniechęcałemu oczywiście. „Just push play” to ich najnowszy album. Co ciekawe, do czynienia mamy z niemal podręcznikowym przykładem autoepigonii. Każda z dwunastu nowych piosenek to wariacja na temat ubiegłorocznych hitów. To smutne, bo choć Aerosmith nigdy wielkie nie było, niezaprzeczalnie kilka dobrych kompozycji miało. Niestety, nowych nagrań nie można nazwać songami w stylu Aero – ale zwykłymi autoplagiatami. (RZ)

Sony



ERIC CLAPTON. Ile to już lat Eric Clapton gra swoją muzykę? Trzydzieści parę, lekko licząc. W latach osiemdziesiątych zagubił, zdaje się, swoją muzyczną drogę, kierując się z blues-rockowej ścieżki wprost w ramiona popowego kiczu. „Reptile” to powrót syna marnotrawnego do muzyki prostej, o silnych bluesowych korzeniach. Czternaście bezpretensjonalnych utworów – na wpół kompozycje własne i standardy – to idealny przykład muzycznego luzu i radości muzykowania. Może wynika to z sytuacji materialnej pana Claptona, a może po prostu ze zmęczenia poszukiwaniami i powrotu do tego, co robi się najlepiej. A najlepiej gra mu się bluesa. (RZ)

Warner



POZYTYWNE WIBRACJE 4. Kolejny odcinek kompilacyjnej serii Staszka Trzcińskiego dla zwolenników niekomercyjnych brzmień. Konstrukcja identyczna jak na płytach poprzednich: trochę acid jazzu (tym razem z etykietką the brand new acid jazz), rytmów dyskotekowych (Moloko, Spiller), trip hopu, brzmień brazylijskich, muzyki instrumentalnej... Stylistyczny łamaniec, nie przekraczający jednak granic dobrego smaku. Idealny do słuchania w samochodzie, świetny na imprezę. Pozytywny, zgodnie z sugestią zawartą w nazwie. Podobnie jak wcześniejsze albumy z tej serii, na pewno odniesie sukces. (BCH)

Universal

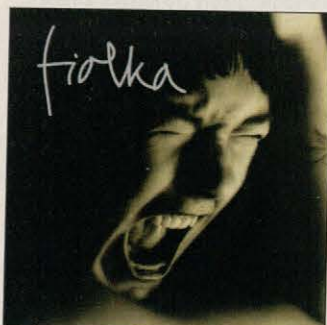
JOEY RAMONE 1951–2001



15 marca w jednej z nowojorskich kliniek zmarł na raka Jeffrey Hyman, znany jako Joey Ramone – wokalista punkowego kwartetu The Ramones.

Jego śmierć wstrząsnęła światem rocka. „Joey był najbardziej wpływową postacią, która kiedykolwiek pojawiła się w rock'n'rollu. Był cudownym, kochanym, zabawnym i inteligentnym człowiekiem” – wspomina Bert Gurewitz z grupy Bad Religion, a śpiewająca poetka Exene Cervenka uznała go za „symbol istoty punka”. Twórczość wzorzonej przez fikcyjnych braci Ramone

formacji uzmysłowiła tysiącom nastolatków na całym świecie, że rock'n'rolla może grać każdy – pod warunkiem, że czuje tę muzykę i potrafi opanować trzy najprostsze gitarowe funkcje. I choć za inicjatorów punkowej rewolucji uznaje się skandalizujących Sex Pistols i rozpolitykowanych The Clash, to właśnie proste piosenki The Ramones z równie prostymi tekstami mówiącymi o problemach nurtujących nastolatków ukształtowały muzyczny kanon gatunku, a propagowane przez nich skórzane kurtki „ramoneski” stały się uniformem punkowców na całym świecie. Joey Ramone nie żyje – pozostała legenda i kilkadziesiąt płyt, które z pewnością zainspirują jeszcze niejednego nastolatka do złapania za gitarę. (WK)



FIOŁKA. Naprawdę pogodny nastrój; można się zabawić i potać, w jej rytmie można też włączyć się i szwendać – ale nie za wiele, bo kilka utworów, z jedenastu stanowiących płytę, umyka w inną, trochę tajemniczą sferę – pomaga w tym obecny na płycie język bułgarski. W sumie całość to: radość, zabawa i śmiech podkreślony mocnym, nowoczesnym beatem wpadającym w klimaty industrialne, ze szczyptą folku, co nie wydaje się dziwne. Na uwagę zasługują niektóre teksty, jakie zanucić za Fiołką byłoby miło, ale jest trudno, bo rzadko się zdarza tak mocny głos! (TSE)

Sony Music

ABSTRAKCJE

Od lewej *Kolos* i *Mleczarka* Francisca Goi

FAŁSZYWY GOYA

Prawdopodobnie dwa znane obrazy Francisca Goi *Kolos* i *Mleczarka* nie są jego autorstwa. Zdaniem ekspertów autorką jednego z nich może być córka artysty, Rosario Weiss, która wraz ze swoją matką – kochanką Goi – opiekowała się artystą w ostatnich latach jego życia. Brytyjska historyk sztuki, Juliet Wilson-Bareau, za pomocą radiografii odkryła pod powierzchnią obu obrazów zarysy innych kompozycji, kontury zamalowanych postaci. Goya nigdy nie postępował w ten sposób. Wilson-Bareau zakwestionowała także autorstwo innych obrazów artysty. Jej zdaniem, hiszpański malarz nie jest autorem aż 150 z 550 prac zamieszczonych w nowym katalogu jego dzieł.

(SR)

OBIEKTYW

CAŁKIEM NOWE

■ **WOKÓŁ GRUPY KRAKOWSKIEJ** 70 prac (obrazy olejne i prace na papierze) autorstwa 14 twórców stanowiących trzon Grupy Krakowskiej.

Do 31 maja. Poznań, Centrum Kultury Zamek, ul. św. Marcina 80/82.

TRWA

■ **STANISŁAW DRÓŻDŻ. POJĘCIOKSZTAŁTY. POEZJA KONKRETNA.** Dwie interesujące instalacje: „Między” i „Sufit”.

Do 13 maja. Kraków, Galeria Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki, pl. Szczepański 3a. www.bunkier.com.pl

OSTATNIA SZANSA

■ **GRZEGORZ KOWALSKI. PRZEDMIOTY FOTOGRAFICZNE.** Prace wykonane z negatywów z lat 70., będące wyrazem artystycznego związku autora z ukochaną kobietą.

Do 29 kwietnia. Warszawa, Mała Galeria ZPAF/CSW, pl. Zamkowy 8. fototapeta.art.pl

SZTUKA PO HOLOCAUŚCIE

Pasterka – Przewodniczka – Śmierć, Mirosław Bałka, 1989

Ta ważna książka o nowoczesnej sztuce ma za głównego bohatera Zagładę i dotyczy nie tylko artystów, którzy osobiście ją przeżyli.

Sztuka współczesna w masowej opinii to hochsztaplerstwo i chore dziwactwa. Książka Eleonory Jedlińskiej stawia sprawę inaczej – część artystów starego i średniego pokolenia w swej twórczości zmagają się z najtragiczniejszym tematem naszych czasów, czyli Holocaustem. I to zarówno wtedy, gdy nie przywołują bezpośrednio tematu, a tylko parafrazują w dziełach pytanie Theodora W. Adorno: „Czy po Oświęcimiu możliwa jest poezja?”. Odpowiedź brzmi tak, i to – według autorki – sta-

nowi jeden z najżywszych wątków uczciwie stawianego problemu nowoczesnej sztuki. Na tyle jesteśmy zwrócenii w przyszłość, na ile umiemy odnaleźć ranę po Holocaustcie. A ta nie ma prawa zagoić się nigdy. Książka jest jak zbiór niezwykłych koralików, które nie zawsze udało się nanizować na nitkę spójnej myślowej całości. Złożona z 5 części opowiada historię antysemityzmu, nowoczesnego nazizmu i hitlerowskiego sposobu myślenia o Żydach. Z pozoru nie ma to nic wspólnego ze sztuką. Jednak w kolejnej części, analizującej posta-

wę artystów, temat nabiera nowego sensu. Bez znajomości fotografii z obozów i słynnej sceny na odeskich schodach w „Pancerniku Potiomkina” Eisensteina nie sposób zrozumieć kolejnych wersji portretów papieża Innocentego Francisca Bacona, podobnie ja niezbędną okazuje się znajomość pism Waltera Benjamina do odczytania treści obrazów Rona B. Kitaja. Czasem dosłowność pomaga – przy omówieniu obrazu Anselma Kiefera „Sulamith” przytoczone fragmenty słynnej „Fugi śmierci” Paula Celana sprawiają, że malarz, zaliczany do „nowych dzikich”, staje się na naszych oczach artystą wyrastającym ponad estetyczne wzorce przysiadł. Fakty historyczne i socjologiczne znane tylko w zarysie, tutaj są udokumentowane z naukową rzetelnością, która czasem zasłania osobistą wrażliwość na odbiór sztuki. Przecież długie, wyczerpujące teksty zazwyczaj nic nie tracą na czytelności, gdy zamiast słowa „atrofia” pojawia się po prostu „zanik”, gdy zbiór cytatów i cytatów z cytatów zastępuje się skrótem i osobistym komentarzem, przytoczeni zaś autorzy nie reprezentują jedynie wąskiego grona krytyków sztuki i filozofów.

Zwykle to nie autor decyduje o doborze ilustracji i zdjęć, ale nawet tak poważna treść wymaga o wiele więcej przykładów i obrazów! Książka liczy ponad 200 stron gęstego druku i tylko 19 zdjęć dzieł omawianych artystów. Bądźmy sprawiedliwi: jest w niej wiele zdumiewających fragmentów i opisów słynnych w świecie twórców. Jako pierwszoplanowe postaci pojawiają się Jankiel Adler, Francis Bacon, George Segal, Magdalena Abakanowicz, Ron B. Kitaj, Christian Boltanski, Anselm Kiefer, Mirosław Bałka i autorzy rzeźb w Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie. Ten spis natychmiast wywołuje w pamięci inny. Brak w książce omówienia sztuki Bronisława Linkego, Aliny Szapocznikow, Marka Rothko, Tadeusza Kantora, Władysława Hasióra, Josepha Beuysa, Jana Lebensteina. Ale nawet bez nich to też ważna książka.

WOJCIECH BIT

Eleonora Jedlińska: *Sztuka po Holocaustcie*. Biblioteka Tygla Kultury, Łódź 2001

316 słów SHIRIN NESHAT

Artystka, 44 lata, ur. w Qazwin w Iranie. W 1974 r. wyjechała do USA. W Berkeley studiowała sztuki piękne. Mieszka i pracuje w Nowym Jorku. Dwukrotnie pokazywała swoje prace na Biennale Sztuki w Wenecji. Jest jedną z nielicznych artystek podejmujących w sztuce temat współczesnego islamu.

Kobiety Allacha

Zwróciłam się do zaprzyjaźnionego fotografa, aby zrealizować zdjęcia do „Kobiet Allacha” ze mną jako modelem. Pomyślałam, że do swoich zdjęć potrzebuję postaci kobiecej mniej więcej w moim wieku. Kobiety-zabójcy. Chciałam zmierzyć się z tematem zabójstwa, czegoś konceptualnie bardzo bliskiego terroryzmowi. Nie jestem fundamentalistką, ale idea śmierci za wiarę porusza mnie do głębi. Prościej było mi samej odegrać tę rolę, niż tłumaczyć komuś, o co mi chodzi. Niektórzy uważali, że w ten sposób identyfikuję się z radykalizmem tych postaci, inni mówili o nich w kategoriach czystej sensacji, jak o romantycznych fantazjach na temat bycia rewolucjonistką. Przykro mi, że zostałam opacznie rozumiana, moją intencją było spróbować zrozumieć kulturę Iranu z punktu widzenia kobiet, ponieważ one tworzą część historii tego kraju. Od samego początku były bardzo aktywne, zarówno w czasie wojny, jak i podczas rewolucji. To interesujące, że reżim odebrał im wszystkie prawa poza tym do noszenia broni. Przeszły tak wiele: najpierw wojna z Irakiem i ogólna żałoba, potem rewolucja – znowu krew i aresztowania, w końcu katastrofa ekonomiczna. Jedno cierpienie za drugim. Ale takie przeżycia powodują, że osoby stają się bardziej świadome, dojrzałe, naznaczone w pozytywny sposób.

Islam

Sposób, w jaki ideologia islamska wzrastała na Środkowym Wschodzie, jest postrzegany jako zagrożenie. Tak jak kiedyś komunizm czy Związek Sowiecki. Myślę, że islam jest odrzucany, ponieważ nie mieści się w kategoriach racjonalności Zachodu.

Wciąż wierzę, że w Iranie istnieje feminizm. Ale inny, bardzo skryty. W tej części świata kobiety tak długo były pod presją, że nauczyły się, jak przeżyć w momentach krytycznych, będąc równocześnie całkowicie wykluczonymi z życia publicznego. Jestem artystką, a nie działaczką. Nie mam programu. Tworzę, aby przez prace nawiązać dialog. I to wszystko. Staram się pokazać stereotypy i przełamać je. Mówi się na przykład, że wszystkie kobiety w kulturze islamu są ofiarami, że są podporządkowane i poniżone – a tak nie jest. Powoli przewartościowuję ten obraz, pokazując możliwie w najbardziej subtelny i bezstronny sposób, jak silne są te kobiety.

Shirin Neshat – Kunsthalle Hamburg. Do 29 kwietnia. Obszerny materiał poświęcony artystce w następnym „P”.



© GLAUSTONE GALLERY (3)



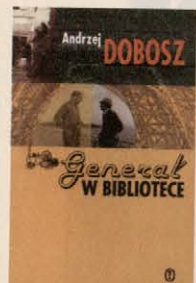
Panoramiczny happening morski, 1967

DWA RAZY KANTOR

W grudniu 2000 roku minęła dziesiąta rocznica śmierci Tadeusza Kantora. Wydaje się jednak, że jego twórczość wciąż jest niedostatecznie znana. I właśnie mniej znane projekty twórcy teatru „Cricot 2” przypominają dwie wystawy otwarte w kwietniu w Warszawie. W Muzeum Teatralnym Teatru Wielkiego zrekonstruowano słynną Szatnię, „Nadobni i koczodanów” – pierwszego spektaklu z okresu Teatru Niemożliwego. Oprócz kostiumów, rekwizytów, zdjęć i filmów można usłyszeć ścieżkę dźwiękową przedstawienia. W innej części wystawy prezentowane są fotografie Erwina Schenkelbacha dokumentujące próby i spektakle „Umarłej klasy”. Ostat-

nią część ekspozycji tworzą obrazy i rysunki Kantora. Zupełnie inny charakter ma wystawa „Tadeusz Kantor. Niemożliwe” w Centrum Sztuki Współczesnej, dokumentacja happeningów, akcji i projektów artysty z lat 1963–1973. Dziesięciolecie to, zapoczątkowane „Wystawą popularną” w krakowskich Krzysztoforach i zwieńczone projektem „Wszystko wisi na włosku”, jest często lekceważone przez krytykę, a przecież wtedy zaczęły kształtować się idee, które doprowadziły Kantora do późniejszych realizacji teatralnych. Wystawa w CSW potrwa do 20 maja, ekspozycja w Muzeum Teatralnym czynna będzie do końca czerwca.

A.K.C

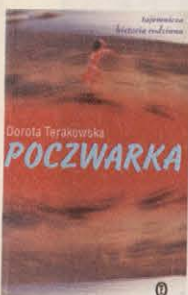


Wiadomo nie od dziś, że na pytanie: „Kiedy będzie lepiej?” istnieje jedna tylko prawidłowa odpowiedź – „Już było”. Jednak lektura znakomitych miniatur eseistycznych (niesłusznie nazywanych felietonami) Andrzeja Dobosza pozwala mieć nadzieję, że nawet w najbardziej siemiężnej duchowo epoce mogą istnieć ludzie mądrzy i spostrzegawczy, a ich wysiłek umysłowy nie idzie na marne.

W osobie autora „Generala...” spotykamy człowieka czytającego. Lektura nie odcina go jednak od

tw. życia. Wręcz przeciwnie – niejeden dociekliwy reporter mógłby mu pozazdrościć wnikliwości w poznawaniu i przedstawianiu rzeczywistości. Ale to nie owa brawurowa znajomość duszy ludzkiej, ludzkiego ciała oraz rządzących nimi mechanizmów sprawia, że jestem pilnym czytelnikiem szkiców Andrzeja Dobosza. Od lat studiuję jego rozprawki, bo wielką przyjemność sprawia mi towarzystwo pisarza, który czerpie zadowolenie z bycia dobrze wychowanym, przyzwoitym i inteligentnym człowiekiem. (MB)

Andrzej Dobosz: „General w bibliotece”.
Wydawnictwo Literackie 2001



„Poczwarka” jest „filozoficznym melodramatem”. Oto niemiłodemu już małżeństwu rodzi się córka z poważnym upośledzeniem. Matka akceptuje dziecko, poświęca się mu bez reszty, a racjonalny Adam odrzuca córkę – wszak zawałił się realizowany dotąd w szczegółach „rodzinny biznesplan”. Akceptacja i miłość pojawiają się w ostatnich chwilach – tuż przed zgonem Marysi-Myszki, gdy Adamowi zostaje przypomniana tajemnica jego dzieciństwa. I to jest melodramat.

Ale jest i drugi wątek. Myszka żyje własnym życiem, jej świat jest ściśle związany z Genesis i bajką o Kopciuszku – dwiema lekturami, które czytała dziecku matka. Pan, który nie zawsze wie, co dobre, jest gospodarzem Ogrodu – azylu dziecka. Są w nim Adam i Ewa, Drzewo, Wąż... Myszka w 7 dniu tworzenia odchodzi. Mimo to mamy w książce happy end. A to przecież najważniejsze. (AR)

Dorota Terakowska: „Poczwarka”.
Wydawnictwo Literackie 2001

ZDANIEM mojej ŻONY...

I Fryderyka Nietzschego trzeba żyć niebezpiecznie. Jak tylko to usłyszałem, zacząłem wyobrażać sobie najgorsze: na wzniesionych przed naszym blokiem barykadach uwijali się spoceni i zakrwawieni nadludzie, a nad nimi furczały amarantowe flagi z podobizną Gabriela Janowskiego. Tymczasem moja żona usadowiła się przy naszej zdezelowanej maszynie do pisania i rzekła wyzywająco: „Trzeba raz na zawsze skończyć z tym ogłupiającym spokojem”. „Jak to skończyć? – zającałem. – Żle ci tutaj, w naszym gniazdku? Nikt od nas niczego nie chce i my do nikogo nie mamy pretensji”. „No właśnie! Czy nie rozumiesz, że tak nie można, że w tym grajdole przemijają najlepsze lata mojego życia? Muszę coś zrobić, bo już dłużej nie wytrzymam!”. Znów usłyszałem łopot sztandarów, ale gdy spojrzałem na moją żonę, jej delikatne paluszki zmagaly się już z nieprzystępną klawiaturą. „Co piszesz? – zapytałem nieśmiało”. „Podanie – odpowiedziała, nie podnosząc na mnie oczu. Nie będę już dalej żyć w zamknięciu. Nie stłamsisz mojej bujnej kobiecości. Zostanę prywatną sekretarką Józefy Hennelowej”.

mąż

JAJO koguta

Im więcej ginie prawdziwych zwierząt,
tym więcej powstaje
bestii fantazmatycznych.

Ten tom trzeba otwierać ostrożnie. Na jednej z kartek widnieje ostrzeżenie, by nie rozsypać unikatowych, często w kiepskim stanie dokumentów i kruchych dowodów rzeczowych. A są to świadectwa w niebyle jakiej sprawie. Dzięki nim każdy może zdobyć niemal pewność, że świat jest o wiele bogatszy niż się na pozór wydaje.

„Prawdziwa historia stworów fantastycznych” (w oryginale przetłumaczonej: „A Natural History of the Unnatural World”) jest raportem z półtorawiecznej działalności Towarzystwa Kryptozoologicznego w Londynie. Zajmuje się ono tropieniem, badaniem i dokumentacją, jak glob ziemski szeroki i długi, nieznanych nauce zwierząt. Nieznanych nauce – nie znaczy nieznanych ludzkości. Toteż impulsem do wyjazdów ekspedycji w najtrudniej nieraz dostępne zakątki ziemi są zwykłe prastare mity, mętne pogłoski, osobliwe malowidła i rzeźby.

Dzieło zawiera fascynujące relacje z owych wypraw, uzupełnione prawie namacalnymi eksponatami. Dopiero bliższa ich obserwacja ujawnia pewną niepokojącą dwuznaczność skrytą również w sprawozdaniach badaczy. Albowiem zwierzęta nie istniejące mają w sobie coś z mirażu czy halucynacji: im są bliżej, tym trudniej je schwycić.

Nie jest to w ostatnich latach jedyna poświęcona tej faunie pozycja. Na ładach naszych księgarń odszukać można podręcznik

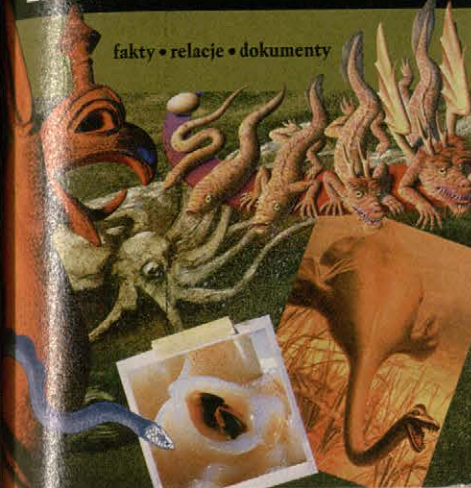
szkolny Harry’ego Pottera (dla znających angielski), a serio – drugie wydanie świetnego zbioru J. L. Borgesa. Przed kilku laty wyszedł leksykon J. C. Coopera, a życzliwi, być może, pamiętają wciąż dopełnienie dzieła Borgesa pióra autora tych uwag sprzed lat pięciu. Jednakże publikacja „Muzy” ujawnia nową jakość.

Nie chodzi tu wyłącznie o zastąpienie not encyklopedycznych barwnymi opisami wypraw, o rewelacyjną szatę graficzną czy też dyskretnie, typowo angielskie poczucie humoru. Cała ta książka to mistyfikacja piętrowa: pod adresem 100 Picadilly London W1 tyleż znajdzie się oznak materialnej obecności zbiorów, archiwów i po wiktoriańsku wygodnego lokalu Towarzystwa, co na Baker Street 221 „bis” dowodów istnienia geniusza dedukcji, Sherlocka Holmesa.

Wertując malowniczo rozsypane stosy dokumentów, podobizn oraz uczonych studiów na temat fizjologii smoków (rozwiązanie zagadki ziania ogniem), obyczajów kulinarnych chupacabras, przemiany materii u bonakona, anatomii amfisbeny, koatla, lamassu, rozrodu feniksa, mechanizmu kolca jadowego mantykory, środowiska naturalnego katoblepasa, składu chemicznego cieczy, wydzielanej przez kappę, aerodynamiki lotu harpii, solfeżu syren, psychologii wilkołaków itd. (w sumie blisko 80 gatunków), głowiąc się nad taksonomią, bawiąc fanińskim nazewnictwem, o krok od wypełnie-

PRAWDZIWA HISTORIA STWORÓW FANTASTYCZNYCH

fakty • relacje • dokumenty



nia deklaracji wstąpienia do Towarzystwa, czytelnik musi wreszcie zadać sobie pytanie, na co mu wszystkie te bestie.

Wykazałem niedawno (tj. ogłosiłem na piśmie, a nikt nie zaprotestował), że dzieje cywilizacji to nic innego jak generalna wymiana fauny realnej na nierealną. Im więcej ginie prawdziwych gatunków zwierząt, tym więcej powstaje bądź też wyziera z głębi pospólnych snów ludzkości bestii fantazmatycznych. Rzecz jasna, te ostatnie nie całkiem istnieją w świecie obiektywnym, lecz znaczy to, że tym bardziej istnieją w świecie subiektywnym. Szaleństwa wyobraźni, potrzeba rzeczy niezwykłych i głód dzikości, wyrzucane drzwiami, wracają do nas oknem. Przeważnie o północy.

W dopiero co wydanej po polsku, znakomitej fantazji poetyckiej na tematy mitologiczne Roberta Gravesa, „Białej Bogini”, czytamy gorzkie słowa: „Obecnie mamy cywilizację, w której prastare emblematy poezji uległy pohafibieniu; w której wąż, lew i orzeł zamieszkali pod cyrkowym namiotem, wół, łoś i dzik są surowcami dla przemysłu konserw, (...) święte gaje zaś idą pod tartaczne piły”.

Graves, poeta-mitograf, ma rację: trzeba działać, by nasz świat nie wyjął z świętego lęku i jego tchnienia – poezji. Stąd, między innymi, potrzeba nieznanych stworzeń: zajmując się nimi i bawiąc, tropiąc, stwarzając nowe, czerpiemy z ożywczych, głęboko-

wych źródeł naszego człowieczeństwa, a nawet, jak twierdzą entuzjaści, nawiązujemy bliższy kontakt z Duszą Świata.

Stąd też zawitała niedawno na świat choćby taka bestialka, co konsumuje ofiary, zdrapując je stopniowo nie za pomocą szponów, lecz tarek, na kształt tych do sera, czym zresztą wprowadza je w rodzaj nirwany. Łup sam entuzjastycznie nadstawia się do spożycia, cieszy go przemiana w befszyk tatarski, chichocze, kapiąc przecierem w gardziel bestii. A to dopiero początek jego metamorfoz. Albo też osławiony minus – mikroskopijny stwór, atakujący od środka, przeżuwający trzewia, nerwy, mięśnie, gruczoły i ścięgna, aż wreszcie ofiara, sprowadzona do pustej powłoki, rozsypuje się w pył. Ponoć, jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce niezliczone mrowie miliardów minusów przybierze formę głów państwa, ministrów, dziennikarzy, policji: „wciąż blyszcząć będą kopuły Pałacu Elizejskiego, Kremla czy Kongresu, lecz pod spodem nie będzie już nic”. I wszystko wskazuje, że na tych dwóch się nie skończy.

Natomiast kryptozoologia, czyli poszukiwanie prawdziwych nieznanych (jak to brzmi!) zwierząt, istnieje naprawdę. Lecz to już, jak mawiał Kipling, inna historia.

JAN GONDOWICZ

„Prawdziwa historia stworów fantastycznych. Fakty, relacje, dokumenty”. Przełożył Piotr Lewiński.
MUZA SA, Warszawa 2001



Z wyobraźnią i humorem

Rozmowa
z Carlosem
Marrodanem
Casasem



FOT. MUZA SA

tłumaczem, redaktorem naczelnym książki edukacyjnej
i ilustrowanej MUZA SA.

Proszę zdradzić tajemnice londyńskiego Towarzystwa Kryptozoologicznego.

Nie ma tu żadnej tajemnicy. Istnieje ono od wielu lat i jest szacowną instytucją zajmującą się różnego rodzaju stworami, stworzeniami, których oficjalna nauka nie bardzo chce dopuścić do istnienia. Ta książka jest tylko fragmentem olbrzymich zbiorów towarzystwa, różnego rodzaju relacji z całego świata na temat stworów, często mylączo zwanych fantastycznymi.

Ale kryptozoologia jest odrzucana przez akademicki establishment.

Oczywiście, akademicki establishment w ogóle o istnieniu londyńskiego Towarzystwa Kryptozoologicznego nie wie i traktuje je na tym samym poziomie jak chimery, potwora z Loch Ness, feniksy, wilkołaki.

A co właściwie udało się odkryć Towarzystwu?

Przeglądając tę książkę, dowiadujemy się o wielu stworach, o których nie mieliśmy pojęcia. Na przykład o pigsy, którego obecność została udokumentowana w północno-zachodniej Anglii, albo o amemaitach. Ale są tu też informacje dotyczące rusałek, wrózek, krasnoludków, gnomów.

A po co nam ta wiedza?

Ona zawsze była potrzebna, może to zbyt śmiało powiedziane, ale na dobrą sprawę w historii człowieka jest tak, że najpierw istniały owe nie udokumentowane stwory przed stworami prawdziwymi. Spotykamy się z nimi w dzieciństwie, towarzyszą nam w baśniach, opowieściach, przekazach.

Odzywa się przez pana miłośnik magicznego realizmu Marqueza, tłumaczonego przez pana.

Bo właśnie magiczny realizm ma to do siebie, że dla jednych jest bardziej magiczny, a dla innych bardziej realistyczny.

Jest pewien problem, podnoszony przez sceptyków, którzy zarzucają londyńskiemu Towarzystwu Kryptozoologicznemu brak dowodów na istnienie owych egzotycznych stworzeń.

No tak, ale nie w dowodach rzecz. O istnienie chociażby Pana Boga trwają spory do tej pory. Sceptykom zostawmy ich niewiarę, a my dajmy przemówić wyobraźni połączonej z humorem.

Rozmawiał KAZIMIERZ TARGOSZ

Cztery pory roku

Późną wiosną – szparagi i młode ziemniaki, wczesnym latem – truskawki i fasolka szparagowa, w pełni lata – brzoskwinie i kukurydza, a jesienią dynie.

Trzy najważniejsze dla mnie chwile w kalendarzu gastronomicznych sezonów to późna wiosna (szparagi i młode ziemniaki), wczesne lato (truskawki i fasolka szparagowa) oraz pełnia lata (brzoskwinie i kukurydza). No i jesień, ze względu na dynie. Właściwie zima też ma swoje uroki. Ale to właśnie szparagi mogą najdobitniej świadczyć o wyższości świąt Wielkiejnocy nad świętami Bożego Narodze-

nia. W Polsce częściej spotyka się białą odmianę szparagów niż zieloną i choć obie są znakomite, wśród białych większe jest ryzyko napotkania sztuk twardych i włóknistych. Na ogół szparagi białe są tym lepsze, im cieńsze, lecz kryterium to nie dotyczy szparagów zielonych. Te powinny mocno trzymać pion, a barwę mieć intensywną i jednolitą.

Najlepiej gotować szparagi w wiązках ustawionych pionowo w wysokim garnku z nie-

rdzewnej stali, w niewielkiej ilości wody i pod przykrywką, czyli właściwie na parze. Szparagi zielone z sosem winegret lub tylko sokiem z cytryny, lub mieszanką soku z cytryny, czosnku i oliwy, bądź z sosem winegret zrobionym z malinowego octu – to niezrównane połączenie konceptualnej prostoty ze zmysłową rozkoszą. Szparagi pokryte beszamelem z dodatkiem skórki pomarańczowej, zawinięte w naleśnik i zapieczone – to tylko delikatna

rozpusta. Szparagi z sosem holenderskim, podane do łososia lub kotletów jagnięcych, czy nawet do kury po kijowsku – owszem, ale to troszkę nudne. Natomiast

zupa ze szparagów

najlepiej białych, znudzić się nie może. Odcinamy czubki, wrzucamy je do wrzątku na minutę, odcędzamy i zachowujemy do przybrania zupy. Łodygi kroimy w kilkucentymetrowe odcinki, dusimy przez kilka minut w maśle z po-

siekana szalotką, następnie zalewamy lekkim wywarem mięsny lub wodą i gotujemy, aż będą całkiem miękutkie. Robimy purée, rozrzedzamy śmietanką lub nie, dodajemy czubki i podajemy, umiarkowanie delikatnym ziołkiem.

Szczytem sztuki przyrządzania szparagów jest, moim zdaniem,

potrawa wenecka

nazwana na cześć Cateriny Cornaro, tytułowej bohaterki opery

Adriaen Coorte. Wiazka szparagów, 1699

Donizettiego. Używa się do niej szparagów białych, nie za cienkich, nie za grubych. Potrzebne nam będą, poza kilogramem szparagów, cztery łyżki masła, cztery włoskie orzechy, łyżeczka utartej skórki pomarańczowej i trzy żółtka. Masło topimy w garnku ustawionym na innym garnku, w którym woda zbliża się do punktu wrzenia, nie dotyka jednak dna garnka z masłem. Kiedy masło się roztopi, zdejmujemy garnek z garnka z wodą

i odstawiamy na bok, żeby je ostudzić. Orzechy wydobywamy z łupin i drobno siekamy, po czym mieszamy ze skórką pomarańczową. Następnie gotujemy szparagi. Powinny być miękkie, lecz nie rozgotowane. W porcelanowej misce mieszamy żółtka drewnianą łyżką. Kiedy będą już prawie ubite, dodajemy po troszku stopione masło, a następnie orzechy ze skórką pomarańczową, pieprz i sól. Odcędzone szparagi tyłamy w sosie i podajemy. Tak przyrządzonymi szparagami przekabaciłem kilku zawziętych wrogów tej niebiańskiej jarzyny.

Zupełnie inne podejście do szparagów znajdujemy w kuchni Dalekiego Wschodu. Tam szparagi (zawsze zielone) tną się na trzycentymetrowe kawałki i smaży w woku z pikantnymi dodatkami. Na przykład, szparagi po tajsku przyrządzamy, wrzucając je na rozgrzany olej i mieszając, aż zmiękną, lecz zachowując chrupkość. Następnie dodajemy mieszankę z drobno posiekanego

czosnku (dwa ząbki na pół kilo szparagów), jednej łyżeczki utuczonych ziaren zielonego pieprzu, jednej łyżki sosu rybnego i dwóch łyżek sosu ostrygowego, dwóch tajskich papryczek chili, czerwonych, wypestkowanych i drobno posiekanych, oraz dwóch łyżeczek cukru. Po wymieszaniu ze szparagami wyrzucamy wszystko na półmisek – i na pohybel sosowi holenderskiemu.



TADEUSZ PIÓRO
Poeta kuchni i kucharz poezji.
Na deser tłumacz i redaktor.
Czterdziestolatek.

LISTY PIECZĘTOWANE SOSEM

Bikont do Makłowicza

Szanowny Panie Krakowski!

Gdy Cię chwyci, Drogi Przyjacielu, na warszawskim bruku, znana nie tylko dzieciom i kobietom w ciąży, chęć nieprzeparta na coś słodkiego, pamiętaj, że pączki od Bliklego to już tylko legenda. I o dziwo, zabił je kapitalizm.

Spadkobierca jednej z najstarszych warszawskich firm prywatnych poszedł na ilość i w miejsce kapitalnych ciastek, które nie bez przyczyny zamawiano samolotami z Nowego Jorku (naprawdę były pyszne i niepodobne do innych – zjadłem ich kiedyś chyba setki), wyprodukował czterstego hamaczka, pączkowego burgera. Można go zjeść dzisiaj prawie w całej Polsce, bo Blikle potwierał w dużych miastach filie, które bardziej kupczą dobrym imieniem firmy, niż handlują słodkim towarem.

Choć, swoją drogą, reaktywowanie w latach 90. „Café Blikle”, kawiarni z tradycjami przedwojennymi, okazało się udaną i z miejsca popularną spotkaniówką. Parzą tam dobrą gęstą kawę, panuje gesta, gwarna atmosfera i w dodatku można tam przyzwoicie przekąsić coś lanczowego, np. bliny ze śledziem, łososiem albo czerwonym kawiozem.

W jadłospisie mają też fajne śniadania: „polskie” (wędlina, twarożek, miód), „wiedeńskie” (z jajkami w szklance), „francuskie” (kawa z croissantem), „no-

wojorskie” (genialna podróbka amerykańskiego kosmaru porannego: smaźone kielbaski, smaźony boczek, smaźone jajka, smaźone ziemniaki i serek „Philadelphia” z cynamonem i rodzynkami – Jezu! ale to prawda, tak tam naprawdę jedzą), wreszcie najlepsze ze wszystkich – „śniadanie rosyjskie”. Szampan, kawior, herbata – piękna sprawa!

Feler tylko w tym, że otwierają dopiero o wpół do dziesiątej. To czasem dużo za późno, czego zresztą kiedyś na sobie doświadczyłem, kiedy spóźniwszy się na poranny pociąg miałem do następnego w sam raz tyle czasu, żeby skoczyć na śniadanie, no i pocałowałem klamkę, co z reguły wprowadza mnie w natychmiastową depresję.

A jak na słodczyce, to koniecznie do Gesslerowej na Mokotowską („Słodki... Stoney...”). Tam są genialne ciastka, placki i torty, zwłaszcza kajmakowy. Pychota.

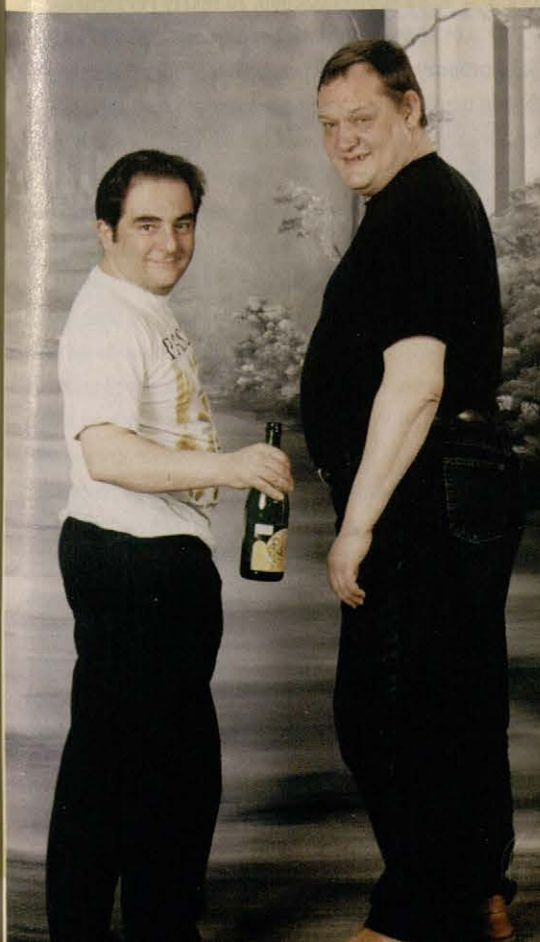
Albo „Calypso” na Chłodnej – najprawdziwsze włoskie lody, tiramisu, genialne kruche i chrupkie mikrociaściszka, latem orzeźwiająca granita.

Z kolei na najlepsze ciastka i bułki „po francusku” udajemy się do „Batidy” na Nowogrodzką.

To tyle w sprawie Warszawy na słodko.

Pozostaje z szacunkiem,

PIOTR WARSIAWSKI



Makłowicz do Bikonta

Drogi Panie Częściowo Warszawski!

Pączki od Bliklego jadłem tylko raz w życiu i było to na tyle dawno, że śmiało mogę rzec, iż kompletnie nie pamiętam, jak smakowały. Powiem Ci za to, że nie tylko Blikle wybrał ilość, miast jakości. Większość krakowskich cukierni produkuje nie słodczyce, lecz rozpacz czarniejszą niż peleryna Zorro. Ten jakże smutny proces upadku obserwuję z konieczności, od ładnych kilku lat regularnie sprawdzając dla czytelników „Gazety w Krakowie” smak pączków, mazurków czy makowców. Jest coraz gorzej! Bezpłciowe gnioty z dodatkami chemicznych olejków, okrutnie margarynowe masy i gąbczaste ciasta. O ile chleb mamy pod Wawelem bardzo przyzwoity, to ciastka staczają się w otchłań, z której powrotu nie widzę, chyba że, jak w XVIII stuleciu, przyjadą tu masowo helweccy cukiernicy.

Cóż zatem nadaje się w Krakowie do jedzenia? Kremówki. Nie te „wadowickie”, bo to przeważnie haniebne oszustwo żerujące na słynnej wypowiedzi Jana Pawła II, ale normalne, sprzedawane od lat. Ważna uwaga – kremówką zwiemy to, co w Warszawie nazywa się napoleonką, czyli dwa płatki francuskiego ciasta przełożone żółtawą budyniową masą (napoleonka jest wyższa i ma u nas farsz różowy). Przyzwoite kremówki są u „Noworolskiego” w Sukiennicach, nieźle pieką też w hotelu „Cracovia”.

Ale najlepszych słodkości szukać trzeba nie w cukierniach, lecz restauracjach. Każda włoska knajpka w mieście wyrabia własną wersję tiramisu. Wózek ze słodczymi w „La Fontaine” to prawdziwa pokusa, bowiem mieści dziesiątki genialnych wypieków własnego wyrobu, wśród nich czekoladowy placek z grylażową warstwą w środku, którego mogę zjeść więcej niż pozwala przyzwoitość. Kapitalne naleśniki à la Gundel w „Orient Ekspresie”, zjawiskowy creme brulee w „À la Carte”, pokryty niezwykłą, jaśminową skórką, świetna szarlotka na ciepło w „Ogniem i mieczem”. Ta lista jest znacznie dłuższa, co najmniej tak długa jak spis krakowskich cukierni, które produkują niejadalne świństwa.

Do nóżek padam Panu Redaktorowi!

ROBERT M.



FOT. ANDRZEJ KRAMARZ

Odkąd zdałem sobie sprawę z istnienia Kazika Staszewskiego, Kamana, a przede wszystkim Roberta Brylewskiego, panowie Hołdys, Łosowski, a przede wszystkim Olewicz i Mogielnicki nie mieli mi już nic do powiedzenia.

Hucznie obchodzony jubileusz tysięcznego wydania listy przebojów „Trójki” był dla wielu okazją do wspomnień, jak to u początków tejże listy bywało. Dziennikarka „Wyborczej”, Katarzyna Montgomery (rocznik 1969), zapamiętała, że audycja Niedźwieckiego miała dla niej wymiar polityczny, „np. gdy piosenka («Nieme kino») niemal opozycyjnego Perfectu błyskawicznie wskoczyła na pierwsze miejsce zimą 1983 roku”. To krótkie zdanko kazało mi się zastanowić nad kategorią „niemal opozycyjności”. Czy coś takiego jest w ogóle do pomyślenia? A jeśli tak, to czy jest różnica między „niemal opozycyjnym” a „nie całkiem reżimowym”? „Niedobrze jest (powiedział pół roku temu w wywiadzie dla «GW» Grzegorz Ciechowski), jak ludzie, którzy tworzyli tamte zespoły, przyjmują dziś pozycję niedocenionych opozycjonistów”. Jeszcze parę lat temu, kiedy mój radiowy kolega-dziennikarz wspominał, jak to słuchanie Lady Pank pomagało mu przetrwać mroczną noc stanu wojennego, tudzież że „Przeżyj to sam” Lombardu było hymnem zbuntowanej młodzieży, chciało mi się tylko śmiać. OK, myślałem sobie, tata mu nie pozwalał włączać Wolnej Europy, o Kryzysie czy Salonie Niezależnych do dziś chłopina nie słyszał, no to słuchał Lady Pank. Byłem przekonany, że legendę politycznych buntowników dorobili sobie po latach sami zainteresowani. Nie wiem, ile razy słyszałem o jednorazowej odmowie Maanamu wystąpienia na jakimś zbyt socjalistycznym festiwalu. W niczym nie umniejszam tego gestu, ale jestem też niechętny wyolbrzymianiu go. Albo, ile razy czytałem w wywiadach z członkami Perfectu o tym, jak publiczność przerabiała ich refren „Chcemy być

I ty zostaniesz OPOZYCJONISTA

sobą” na „Chcemy bić ZOMO”, albo jak bój z cenzurą toczyli, zmieniając „wujek Stalin” na „wujek Józek”. Tere-fere, myślałem. Ani ZOMOście nie bili, ani sobąście nie byli. Tylko raz natknąłem się na przypadek, aby indagowany przez dziennikarza wokalista Perfectu spowiadał się ze śpiewania bardzo przydatnej w Telewizyjnym Koncercie Życzeń piosenki „Walca tańczy cały świat, już od tylu długich lat”.

W roku 1983 Katarzyna Montgomery miała 14 lat, ja o pięć więcej. Pierwszych list przebojów też słuchałem. Bardzo prawdopodobne, że mimo tych pięciu lat przewagi uświadomieniem politycznym ustępowałem jej o głowę. Może dlatego nie znajdowałem w liczeniu głosów na piosenki ani w samych piosenkach wymiaru politycznego, że nie doszukiwałem się? Ale widziałem i słyszałem w owych czasach rzeczy, w jakie dziś sam nie mogę uwierzyć. Grzegorza Markowskiego szurającego na trzy tego walca w białym garniturze. Zbigniewa Hołdysa zapewniającego, że teksty Perfectu nie są aluzyjne ani niebezpieczne. „Wielki szczyt”

Brygady Kryzys jako propozycję do listy przebojów Studia Gama w programie I PR, chyba nie przekręcam nazw po wszystkich tych latach. Pojawiły się audycje znacznie bardziej „niemal opozycyjne” niż lista przebojów, przede wszystkim właśnie w „Trójce”. Taka na przykład grupa W. zdobyła pewną popularność dzięki temu, że jej piosenki typu „Moja masturbacja” czy „Dyskoteka-kurwoteka” prezentowano w radiu jako przykłady rozwyrzenia i zdziczenia nowych muzyków. Już w połowie lat 80. wszystko się dla mnie wyjaśniło. Zdałem sobie sprawę, że tzw. Muzykę Młodej Generacji tworzy zgredziarstwo, na szczęście pojawiła się wtedy potężna fala naprawdę młodych kapel stojących w opozycji także do ówczesnych gwiazd pop-rocka. Odkąd zdałem sobie sprawę z istnienia Kazika Staszewskiego, Kamana, a przede wszystkim Roberta Brylewskiego, panowie Hołdys, Łosowski, a przede wszystkim Olewicz i Mogielnicki nie mieli mi już nic do powiedzenia. I naprawdę nie sądziłem, że mogą wrócić po latach w aureolach opozycjonistów. Ale jak słucham dziś lub czytam wspomnienia Kani czy Jaruzelskiego, to widzę, że i oni byli w opozycji. A skoro im wolno, to czemu nie Markowskiemu? I jeśli tak dobrze się zastanowić, tak dobrze sobie tamte czasy przypomnieć, to... Czy nie wydaje Wam się, że Koncert Życzeń był taki, no, jakby to powiedzieć... Taki prawie że niemal opozycyjny?

JACEK PODSIADŁO

Rocznik 1964. Poeta. Współpracował z „bruLionem”, wydał wiele tomów wierszy; laureat nagrody Czesława Miłosza.

Jesteś nerwowy? Rozdrażniony? Masz kłopoty z zasypianiem?



Nie zwlekaj, zażyj
SEDATIF PC

Lek homeopatyczny stosowany w stanach lękowych, pobudliwości nerwowej i zaburzeniach snu.



LABORATOIRES BOIRON



**MUZEUM NARODOWE
W KRAKOWIE**
ZAPRASZA NA WYSTAWĘ



Kolory
tożsamości.
Sztuka polska
z amerykańskiej
kolekcji
Toma Podla

28. 04. 2001 r.
do 05. 08. 2001 r.
Gmach Główny MNK
al. 3 Maja 1

PATRONAT MEDIALNY:



NASZA OFERTA:

- POMYŚL NA ZWIEDZANIE USA: KOLEJ „AMTRAK” AUTOBUSY „GREYHOUND”
- KRÓTKIE WYPADY WEEKENDOWE LONDYN, AMSTERDAM, PRAGA
- POŁĄCZENIA LOTNIŚKA – CENTRUM LONDYNU
- LONDON TRANSPORT VISITOR TRAVEL CARD
- INTERNSHIP, WORK & TRAVEL PRAKTYKI I PRACA DLA STUDENTÓW W USA
- KURSY JĘZYKOWE ZA GRANICĄ
- KARTA EURO<26, KARTA EURO<26 STUDENT
- BILETY AUTOBUSOWE 20% ZNIŻKI NA ORBIS TRANSPORT
- BILETY LOTNICZE

Bilety dla studentów, młodzieży i nauczycieli*

Ceny w 2 strony już od:

ATENY	200	LONDYN	200
BANGKOK	565	LOS ANGELES	412
BARCELONA	235	MADRYT	200
BRUKSELA	176	MEKSYK	506
CHICAGO	353	MIAMI	425
DUBLIN	235	NOWY JORK	375
KAIR	271	PARYŻ	200
LIZBONA	259	RZYM	165

Ceny w USD bez opłat lotniskowych, *Niektóre kierunki

i wiele innych połączeń

ZAPRASZAMY DO NOWEGO BIURA



usit CAMPUS

31-043 KRAKÓW, ul. Dominikańska 3
tel. (012) 429 54 37, fax (012) 430 19 44

www.usitcampus.pl

Rezerwacja: **0 801 347 555**
(opłata jak za połączenie lokalne)
z tel. kom. 089 648 9000



Nie zasnę bez jaśka

ANDRZEJ SIKOROWSKI

Krakowianin, rocznik 1949. Absolwent polonistyki UJ. Zadebiutował w 1970 r. na Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich od razu wyśpiewując „Nowym Rokiem” i nagrodę. Píše teksty, komponuje do nich muzykę, gra na gitarze i śpiewa. Od 1977 r. w grupie „Pod Budą”. Ogromną popularność przyniosły mu przeboje „Bardzo smutna piosenka retro”, „Pivna 7” czy „Nie przenoście nam stolicy do Krakowa” – zaśpiewana z Grzegorzem Turnauem. (JT)

Co tutaj robisz?
Próbuję zrozumieć.

Najbardziej niedoceniona z twoich zalet?
Potrzeba samotności.

Pokusa nie do odparcia?
Gołąbki.

Co sprawia, że życie jest wyjątkowe?
A jest?

Gdybyś był psem, kogo byś ugryzł?
Pijanego pseudokibica z kijem bejsbolowym.

Twoje grzechy główne?
Lenistwo.

Gdybyś był zegarkiem, na której godzinie byś się zatrzymał?
Na godzinie sjeisty.

Czego powinno nie być?
Starości.

Czego masz za dużo?
Pracy.

Pierwsze największe marzenie?
Zabawka – rewolwer colt.

Najbardziej staram się...
...nie przeszkadzać.

Co odróżnia człowieka?
Chęć zysku.

Ostatnia tęsknota?
Daleka podróż statkiem.

Bez czego nie możesz zasnąć?
Bez jaśka.

Wyjątek czy reguła?
Reguła.

Na co liczysz?
Na nic.

Kiedy jestem sam...
...chodzę nago.

Za co zapłaciłbyś każdą cenę?
Za zdrowie.

Co podpowiadają ci złe siły?
Nie słucham.

Twój najbardziej zaniedbany talent?
Nauka języków.

Jak chciałbyś być zapamiętany?
Prawdziwie.

Co nowego?
Płyta.



Od kawy przewodniczy
aromat kawy

Kamienista ścieżka prowadząca z Popayan była bardzo wąska. Zebrane okazy kolumbijskiej flory jechały na grzbietach osiołków, które znacznie lepiej niż my radziły sobie na tym zdradliwym szlaku. „Mire...” – rzucił przewodnik i wskazał ręką przed siebie. Widok był naprawdę imponujący. Tuż pod nami, dosłownie u naszych stóp, rozpościerała się ogromna, słoneczna plantacja kawy. W jednej chwili zapomniałam o moich okazach i marzyłam już tylko o jednym – o filiżance dobrej, mocnej kawy. Niekiedy marzenia spełniają się błyskawicznie. Pół godziny później siedziałam w rattanowym fotelu, popijając najlepszą na świecie, słynną Café de Colombia.

* proszę spojrzeć



NOTKI i plotki

BOCIANIE MUZEUM, pierwsze w Europie, powstanie we wsi Kłopot k. Cybinki w woj. lubuskim. W ub. roku do Kłopotu przyleciało ponad 100 bocianów białych. Udało im się odchować prawie 60 młodych. To największa bociania populacja w Polsce, a w Europie ten gatunek należy do rzadkości. Organizatorzy chcą, aby przy muzeum działało schronisko i ośrodek edukacyjny.



MINI ZAKAZANE. Spódnice nie mogą być krótsze niż 10 cm nad kolanami. Poza tym kobietom nie wolno chodzić z gołymi nogami oraz w butach z odsłoniętymi palcami i piętami. W pracy

nie wolno też jeść bardzo aromatycznych potraw (np. kanapek z czosnkiem), ustawiać talizmanów czy bibelotów. Takie restrykcyjne przepisy obowiązują urzędników magistratu czeskiego Zlina. Pracodawcy uzasadniają: chodzi o dobro petentów urzędu i szacunek do miejsca pracy.

NAJWIĘKSZY NAPIWEK świata – 16 tys. dolarów – zostawił pewien stały klient włoskiej restauracji na Manhattanie. Oprócz tego wszystkim obecnym postawił kolejkę. Za posiłek, któremu towarzyszyły najlepsze roczniki francuskich win, hojny biznesmen zapłacił prawie 9 tys. dolarów.

– Spotkałem już tysiąc, półtora tysiąca dolarów napiwku, ale nigdy nie widziałem czegoś takiego – opowiada uradowany właściciel restauracji.

PIES-KIEROWCA. Ktoś zostawił go w zamkniętym samochodzie. Podczas zabawy zwolnił hamulec ręczny i auto ruszyło. Nietypowego kierowcę zatrzymała policja z Witten w Nadrenii Północnej-Westfalii. W raporcie napisano: „Na razie pies odmawia jakichkolwiek zeznań”.

KATOLIKÓW było w ub. roku na świecie miliard trzydzieści osiem tysięcy. To o 1,6 proc. więcej niż w 1999 r. Jak donosi „Nowy Rocznik Papieski”, udział katolików wśród ludności świata wynosi 17,4 proc. Niemal połowa mieszka w Ameryce Północnej i Południowej. W Europie – 27 proc., w Azji – 10 proc. W pracę Kościoła zaangażowanych jest ponad 3,86 mln duchownych i świeckich, w tym 4482 biskupów, 450 tys. kapłanów i 809 tys. siostr zakonnych, ponad 80 tys. misjonarzy i prawie 2,5 mln katechetów. W 2000 r. Watykan utrzymywał stosunki dyplomatyczne ze 174 państwami.



myśli LUDZI WIELKICH, ŚREDNICH I PSA.

Ludzie myślą, mówią i robią to, czego nie wolno robić, o czym nie wolno mówić ani myśleć.

Hugo Steinhaus

Nie lubię pracy – żaden człowiek jej nie lubi. Lubię jednak to, co daje praca: szansę odnalezienia siebie, własnej rzeczywistości – dla siebie i dla innych.

Joseph Conrad

Wielu dorosłych jeszcze nie do końca wie, kim chciałoby być.

Józef Bulatowicz

Pycha to nadwaga bez kilogramów.

Krecia P.

Nie wszystko, co zasłania horyzont, winne jest naszej ślepoty.

Sławomir Wróblewski

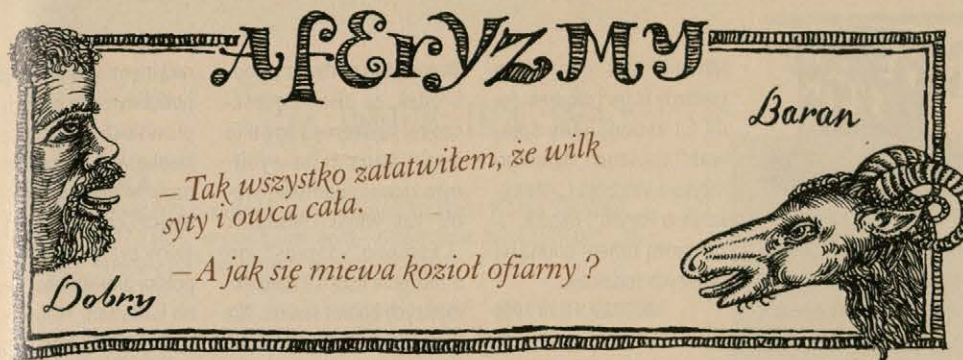
Wiara w idee jest jak wiara w bajki – z czasem przestaje się w nie wierzyć.

Andrzej Klawitter

Pamiętaj, czemu szczekasz.

Falik

Myśli zebrala Stella Varcaby



– Tak wszystko załatwiłem, że wilk syty i owca cała.

– A jak się miewa kozioł ofiarny?

ABECADŁO Myszkina

Wędrówka po literach alfabetu dobiega końca. Wiele tu powiedziano, wiele nie dopowiedziano. Wszystkie te rzeczy zebrałem, jak umiałem. Wyobraźnia i wiedza, jaką spotkałem i spożytkowałem, stopiły się w jedno abesadło. Tak też nazwałem ten zbiór 25 opowiadań: abesadło.

Wierząc, że mają sens, nie wiedziałem, jak będą wyglądały. Nie znam jeszcze ostatniego obrazka – żółci, choć w tej chwili, kiedy ty, czytelniku, jesteś tutaj i czytasz teraz TO słowo, ostatnie słowo abesadła jest już napisane, złożone i wysłane do druku. Tak to przy-

najmniej wygląda teraz, kiedy właśnie piszę to, co teraz czytasz.

Wydało mi się, że wystarczy wejść do historii, aby wszystko zaczęło się od nowa. Wyciąganie książek i wniosków wyrabia nawyk wątplenia w wartość wolności. Większa wskazówka wierci się wokół własnego wzdumienia. W poprzek rzeki wiedzie most. Wzdłuż Wisły warto się przejść. Bo gdzie indziej? Wtedy wyczekuję i werbuje wartowników, żeby walczyć. Wracam wyżej, wchłaniam wahania, wycinam wąski wierzchołek wdechu, wymachuję i wrzeszczę, wreszcie wędruję. Do widzenia. **MYSZKIN**



„Wyteż wzrok i co tam jeszcze masz”

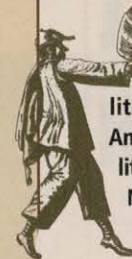
Wyteżając wzrok oraz umysł, przypatrz się załączonej fotografii i postaraj się odpowiedzieć na poniższe pytania. Jeśli pierwsze okaże się za trudne, weź się za drugie, itd. Gdyby wzrok lub pamięć Cię zawiodły, pozostaje jeszcze pytanie pocieszenia.

PYTANIA

1. Pytanie trudne: gdzie na starej fotografii zespołu ANAWA znajduje się Jan Kanty Pawluśkiewicz?
2. Pytanie łatwiejsze: gdzie na fotografii zespołu ANAWA znajduje się śp. Andrzej Zaucha?
3. Pytanie pocieszenia: gdzie na fotografii zespołu ANAWA znajduje się rower?

Odpowiedzi: 1. To mężczyzna z dzieckiem na ręku i rowerem w drugiej ręce. 2. To mężczyzna z rowerem w obydwu rękach. 3. Na dole z przodu, chociaż przednie koło zastania trochę noga Jana Kantego.

TRUJ-BUJ LITERACKI



Za zamieszczonym poniżej nieznanym fragmentem pseudo-literackim autorstwa Pseudonima Anonima ukrywa się znany fragment literacki autorstwa znanego literata. Należy się z nim zapoznać, a następnie odpowiedzieć na trzy pytania. Pytanie pierwsze: jak nazywa się ten literat? Pytanie drugie: jaki tytuł ma literacki oryginał? Pytanie trzecie: co przyniosła służąca na śniadanie?

Dać upust muzyce, co w mej duszy gra! Wydobyc ją z tej duszy! Niech moja symfonia zrodzi się ze mnie. Niechaj nie będzie mym uszom narzucona. Ekscytacja pcha mnie do pustej partytury. Wyciągam z szuflady papier nutowy i oto dzień się budzi, słońce rozświetla mroki mojej komnaty, lokaj przynosi parujący samowar, a ja wśród dźwięków skrzących się i wyszukanych zaczynam pisać pierwsze takty symfonii mojej własnej, tożsamej ze mną, we mnie wyrastającej, symfonii wybijającej mnie na niepodległość przeciw wszelkiemu zniewoleniu, gdy nagle dzwonek się rozlega, lokaj otwiera, a we drzwiach widzę G. Klezmerskiego, kantora i profesora, a po prawdzie tylko korepetytora lekcji fortepianu i statecznego muzykologa z łodzi, postawnego, korpułentnego, z lwią grzywą i w monoklu, we fraku, z wąsikami ubrudzonymi twarozkiem, w lakierkach rozdeptanych, czarnych.

Fragment oryginalny:
Przerzucić się na zewnątrz! Wyrazić się! Niech kształt mój
rodzi się ze mnie, niech nie będzie zrobiony mi!
Wzburzenie pcha mnie do papieru. Wyciągam papier
z szuflady i oto poranek nastaje, słońce zalewa pokój.
Służąca wnosi ranną kawę i butelki, a ja pośród form
błyszczących i czyszczonych zaczynam pisać pierwsze
stronice dzieła mojego własnego, takiego jak ja.
identycznego ze mną, wynikającego wprost ze mnie,
dzieła suwerennie przeprowadzającego moją własną ręką
przeciw wszelkiemu i wszystkim, gdy nagle dzwonek się
rozlega, służąca otwiera, we drzwiach ukazuje się
T. Pimko, doktor i profesor, a właściwie nauczyciel,
kulturalny filiozof z Krakowa, drobnym, chudeńkawy,
tępy, w białym, w spodniach sztywnych, w zaklece,
z paznokciami wydatnymi i żółtymi, w buczech
ciemnych, żółtych.

Odpowiedzi: 1. Witold Gombrowicz.
2. Ferdynand. 3. Kawa i butelki.



Bikołt grzebie w starych „Przekrojach”

1966 – gdy Wielki Mao dawał przykład, przepływając Jangcy, w Europie panowała moda na OP-ART, czyli „sztukę optyczną”, która polegała na prowokującej oczopląs grze kontrastu czarnych i białych figur geometrycznych. W sztukach pięknych to był tylko mało ważny epizod, za to w projektowaniu styl ten przyjął się na dłużej, bodaj szczególnie wśród wesołych Nadwiślan, i do dziś lubi odezwać się czkawką. Debiut Lajzy, rozwód Giny i kolejne chamstwo Burtona, a u nas „Westerplatte”, Olbrychski z Drogoszem w „Bokserze” i druga seria „Klossa”. Wraz z ociepleniem masowo rozmnażają się – także bardzo modne – radia tranzystorowe.



Okladka nr 1108



Agencja „Sinhua” ogłosiła obszerny reportaż opisujący, jak 73-letni przewodniczący KC KPCh, Mao Tse-tung, wziął udział w masowych zawodach pływackich i przepłynął rzekę Jang-tse, przebywając 15 km. Centralny organ, dziennik „Żen-minzipao”, zamieścił artykuł p.t. „Iść za przykładem przewodniczącego Mao i posuwać się naprzód wśród wielkich burz i fal”.

Nr 1113, 7 VIII 1966

PARYŻ. W Olympii debiutowała wśród ogólnego zainteresowania 20-letnia amerykańska piosenkarka Liza



CYTUJEMY...

(rog) Warszawski teatrzyk „Hybrydy” wystąpił z premierą programu „Co słyhać” (kier. – A. Wierzyński) nawiązującego do STS-owskich spektakli. Dowcipy z tego programu: „Dajcie mi punkt oparcia, a podniosę wydajność pracy”, „Zurit wymienia stare odbiorniki na nowe, ale nie każdemu”..., „Ruch otwiera kiosk, w którym przez całą dobę będzie można nabyć Przekrój, Forum, Express Wieczorny...”.

Nr 1109, 10 VII 1966

PIOSENKI ŻYDOWSKIE W BIG-BEACIE

(rog) Warszawski choreograf, Krystyna Terra, założyła w ubiegłym roku w Legnicy 25-osobowy żydowski zespół wokально-taneczny. Wyszperano stare ludowe piosenki żydowskie, przy czym niektóre z nich opracowuje się teraz na nowoczesne rytmy z mocnym uderzeniem włącznie...

Nr 1112, 31 VII 1966

Minelli. Jest ona córką gwiazdy filmu i piosenki Judy („I znowu będę śpiewać”) Garland i słynnego reżysera Vincenta („Amerykanin w Paryżu”) Minelli. Liżie wróżą karierę godną jej sławnych rodziców.

Nr 1109, 10 VII 1966

Gina Lollobrigida (38 lat) definitywnie rozwiódła się w Rzymie ze swym mężem 45-letnim Jugosłowianinem, Milko Skoficem. Po 17 latach małżeństwa. Ośmioletni syn słynnej aktorki zostanie przy matce. Dr Skofic jest lekarzem, autorem kilku książek z zakresu medycyny.

Nr 1110, 17 VII 1966

RZYM. Richard Burton w swoim czasie nakreślił taki portret własnej żony, Liz

Taylor: „Ma podwójny podbródek, za nisko umieszczone siedzenie i krótkie nogi”. Uznano go wybitnym znawcą damskiej urody, zaś włoski tygodnik „L’Europeo” poprosił go o ułożenie listy 10 najpiękniejszych kobiet świata. Na liście znalazła się królowa Elżbieta II (Burton okazał się jej wiernym poddanym), Jacqueline Kennedy, aktorka Julie Andrews i Zofia Loren. Lubił także bardzo Marilyn Monroe. Natomiast żadnego uznania w jego oczach nie zdobyła Marlena Dietrich.

Nr 1112, 31 VII 1966

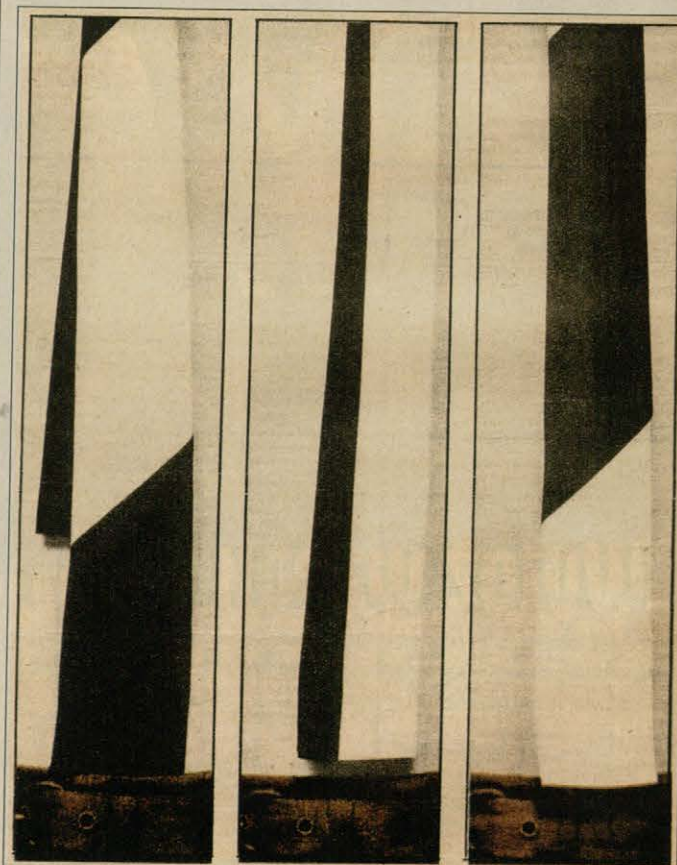
BB – Kurpianka

(rog) Na pierwszej stronie paryskiego „France Soir” ukazało się zdjęcie Bardotki w sukni z dzianiny z deko-

racyjnymi paskami u dołu, podobnymi do naszych kurpiowskich. BB kupiła sukienkę w St. Tropez, w magazynie nowości (tzw. boutique) czasopisma „Elle”. Twórczynią modelu była polska projektantka, Krystyna Bałaban, która współpracuje z paryskimi firmami konfekcyjnymi. Wyjechała przed 5 laty do Paryża na stypendium, z czasem zaczęła samodzielnie projektować. Jej kolekcje zostały ostatnio dwukrotnie zamieszczone w „Elle” (w maju i w czerwcu). Pani Bałaban lansowała m.in. styl polonaise; lamowane bankiem palta w guście staropolskich kontuszy. Styl miał powodzenie, odbił się nawet w kolekcjach Chanel i Diora.

Nr 1110, 17 VII 1966

KRAWATY OP BIAŁO-CZARNE



Nr 1111, 22 VII 1966

LECA ŚWIETLIKI LECA LECA...

KLOSS WRACA

Telewizja powtarza cykl wojennych przygód kapitana Klossa STAWKA WIĘKSZA NIŻ ŻYCIE; w przygotowaniu – nowa seria, też z Klossiem – Miskulskim, wejdzie na małe ekrany w październiku.

Nr 1112, 31 VII 1966

WESTERPLATTE... W REMBERTOWIE

(rog) Teren Westerplatte, gdzie w roku 1939 polska załoga tak dzielnie stawiała opór niemieckiemu agresorowi, zmienił się w ciągu powojennych lat całkowicie. Do tego stopnia, że reżyser Stanisław Różewicz, który w sierpniu zaczyna realizację filmowego eposu „Westerplatte”, będzie kręcił plenery w... Rembertowie pod Warszawą. Tylko kilka ujęć – w stronę morza – zostanie nakręconych na Westerplatte.

Nr 1110, 17 VII 1966

FILM I SPORTOWIEC

(rog) Realizatorzy filmu „Bokser” mieli niespodziankę. Zaangażowany przez nich mistrz pięściarski Leszek Drogosz okazał się świetnym materiałem. Chodzi oczywiście o materiał aktorski.

Zachowuje się przed kamerą bardzo naturalnie, uśmiecha się, wczuwa w postać itd.

Nr 1112, 31 VII 1966

TWÓJ TRANZYSTOR GRA DLA CIEBIE, nie racz nim innych

Nr 1111, 22 VII 1966

POEZJA... AFANASJEWA

ielce zanowny anie edaktorze!

Jak Panu wiadomo ojcem i matką działu mody byli Adam i Ewa. Pierwsi dyktowali styl. Dzięki nim modne stały się listki, i wszyscy nosili te listki od starego Diora. Oczywiście ktoś tam zbijał na tym kokosy. Oczywiście trudno wymagać, aby ta moda utrzymała się po dziś dzień, bo byłoby na co patrzeć. Wyobraża Pan sobie chyba widoki na Marszałkowskiej, promenadę o 5 pp.!

Potem przyszły czasy skrzepowania i przez wieki człowiek się stroi i wydaje pieniądze na krawaty. A równocześnie we wszystkim naśladowujemy naturę. Czasem golimy głowy, bo zazdrościmy

orzechom kokosowym, nosimy wasy, zazdroścąc kotom, pióra – gdyż chcemy być jak ptaki.

Tylko nie wiadomo skąd cyklistówka się wzięła, bo nic podobnego w naturze nie ma. Są grzyby podobne do cylindrów i kapeluszy, ale grzybów zakończonych cyklistówką nie jadłem? A pan? U Wierzyńka?

Woalki przypominają świat widziany zza pajęczyny, futra upodabniają nas do drapieżnych panter, buty na wysokim obcasie – kopytka antylop, a pancerze naszych dziadków – rybnie łuski. Bałowe suknie – skrzydła motyla. Nawet jeże nas niepokoją i możemy fryzjerów każąc im strzyc brzytwą.

Naśladowujemy naturę – choć nie widziałem, by ta próbowała

nas naśladować. Na przykład nigdy nie zauważyłem drzewa w majtkach, choć jeden mój przyjaciel poeta mówił, że widział takie po pijanemu.

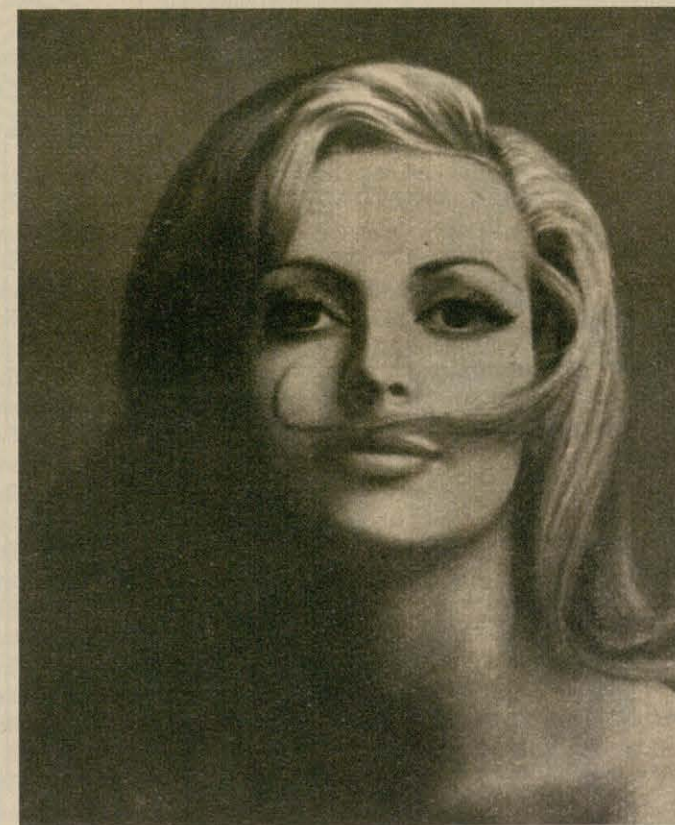
Najlepiej i najtaniej to mają duchy, niematerialna koszulka i kwita. Choć może ogniki astralne mają też swoje kroje. Ktoś mi opowiadał, że w Paryżu jest jedna pani, która ceruje duchom skarpetki i nawet ogłasza się w prasie.

W związku więc z listem o modzie przesyłam Panu kilka kostiumów zaimprovizowanych przez młodych, łódzkich malarzy (na zdjęciach poniżej).

Tym razem geometria Euklidesa!

Śię to
Afanasjewafanasjewafana
Nr 1109, 10 VII 1966

FOTOFOTOFOTOFOTOFOTOFOTO



Nie każda, nawet ładna dziewczyna, może być Salvadorem Dali

Nr 1112, 31 VII 1966





KRZYŻÓWKA nr 17 z Polleną Ewą



POZIOMO:

- 1 popielcowa
- 4 statua
- 7 córka rybaka
- 8 puls
- 9 cztery ćwiartki
- 11 mgła + dym
- 14 reguluje temperaturę w twojej lodówce
- 19 żałobna tkanina
- 20 najważniejszy w kinie
- 21 wiekowe miasto nad Pilicą, gdzie zwołennicy Augusta II Sasa stoczyli bitwę ze zwołennikami Stanisława Leszczyńskiego
- 22 na jego nieszczęście wszystko przemieniał w złoto
- 23 atrybut Zeusa i Ateny – z kozłej skóry
- 24 tatarska
- 26 w każdym kryminale
- 27 olbrzym na glinianych nogach
- 30 kwiat jesieni
- 33 ogół biskupów danego kraju
- 35 zjazd czarownic
- 36 wonna flaczkowa przyprawa
- 37 szkic umoralniający
- 42 ozdobny kamień
- 44 król na zupe
- 45 podobno nie gustuje w ludzkim mięsie, ale lepiej nie spotkać go
- 46 bobsleje
- 47 do wzięcia
- 48 narażony na szczytki 45

PIONOWO:

- 1 kompletny dziwak
- 2 piosenkowe miasto
- 3 dzwony biją na trwogę
- 4 sztuczny sposób wyśławiania się
- 5 dobrze mieć ten banknot w portfelu
- 6 wołającego na puszczy
- 9 mieszkanie
- 10 ruch rozwojowy
- 12 zaopatrujesz się w nie, jadąc do Niemiec
- 13 na góralu
- 14 urządzenie, które psuje ci przyjemność jazdy taksówką
- 15 rzeka Lorelei
- 16 kwaśny
- 17 dziwne zwierzę od niemodnej już fryzury
- 18 zjawisko polegające na przekazywaniu i odbieraniu myśli na odległość
- 25 barbarzyńcy
- 27 balbinka
- 28 państwo w Afryce Północnej ze stolicą Trypolis
- 29 Dedalowy potomek
- 31 pastą do zębów nadziana
- 32 kremem nadziana
- 34 ptak Hery
- 38 silniejszy od burzy, słabszy od huraganu
- 39 zagraniczna sosna
- 40 Lupin
- 41 mocna gałąź
- 43 As nosem złapie
- 44 łatwiej trafić w lesie Czerwonego Kapturka niż niego

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. Dla ułatwienia ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

D16 – Ł4 – F2 / A12 – K16 – H6 – C9 / C4 – K13 – Ł2 / G1 – L8 – F16 / A1 – E10 – K9 – G13 – L4 – D7 – G17 – Ł12 / A8 – H4 – H16 – G7 – F12 – B15 – J5 – Ł14 – C7 / K11 – G5 – J13 / D11 – E3 – Ł16 – E1 / F5 – I10 / L17 – K6 – D3 – H14 – I12 – A9 – E17 – G11 – I1?

Wyrazy 10-literowe:

- odbiera na plaży • miejsce przedprzetopowe • udaje na jałowcu • na Sindbada nasz gada • w kropki bordo to ona na pewno nie jest • świat złazi • sztuka zdobienia myśli • nawet okulista nie spojrz mu w oczy
- Wyrazy 8-literowe:**
- obowiązek Skawińskiego • rana od tapczana • huncwot miejski • produkcja pajd • jej los – z patelni w sos • szampańska zielenina • z martwą naturą • na miodu deczko • nadbałycka ojczyzna papierówki • przedpokój nocy

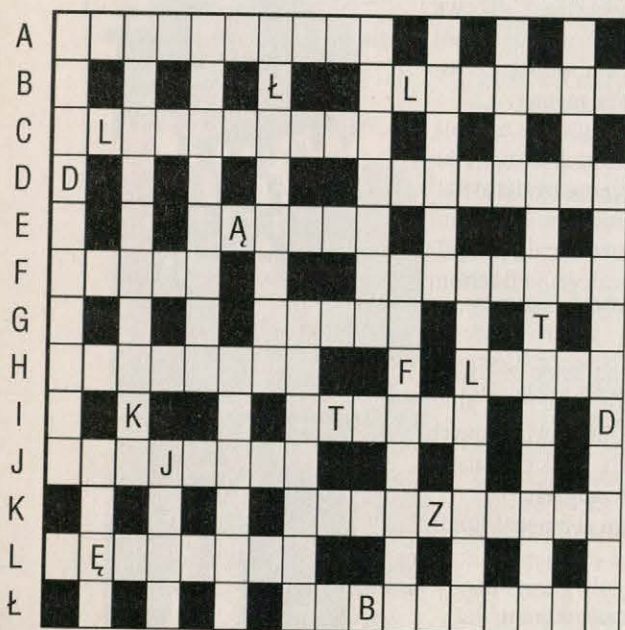
Wyrazy 7-literowe:

- lokum wawelskiej główki • wiatr piach i śmiecie miecie
- Wyrazy 6-literowe:**
- przepysznie rżnięte ławy dla księży • okrągłak sprzed denominacji • kończyzna rondelka • obciach z myszką
- Wyrazy 5-literowe:**
- limuzyna Aladyna • nowohucki nieobecny • najjaśniejszy w kinie
- Wyrazy 4-literowe:**
- muzyka Bielskiej Zadymki • rzucany spojrzeniem, zdejmowany pocałunkiem • rozpycha się słupkiem • stary dla diabła palacza

JOLKA nr 17



1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17



AUTOR: JERZY BUCEK

Słuchaj razem z „P”



20 kwietnia rozpoczyna się w warszawskim Teatrze Wielkim IV Międzynarodowy Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki, organizowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Teatr Wielki–Operę Narodową i Towarzystwo Miłośników Muzyki Moniuszki. Konkurs objął swym protektorem prezydent RP, Aleksander Kwaśniewski.

Celem konkursu jest najszerza popularyzacja twórczości Moniuszki, a także innych polskich kompozytorów muzyki wokalnej. Uczestnicy wykonują utwory Karłowicza, Szymanowskiego, Lutosławskiego, Bairda, Ptaszyńskiej, Pendereckiego. W pierwszym etapie obowiązuje wykonanie pieśni Moniuszki, w drugim polskiej pieśni z XX wieku, w trzecim – arii z jednej z oper Moniuszki. W roku bieżącym, który ogłoszony został Rokiem Paderewskiego, za wykonanie utworu Paderewskiego przyznana zostanie nagroda specjalna.

W IV Międzynarodowym Konkursie im. St. Moniuszki uczestniczy 150 osób z 23 krajów. Polskę reprezentuje 50 wokalistów.

Od momentu narodzin konkursu Program II Polskiego Radia uważnie śledzi i relacjonuje na swojej antenie to ważne dla polskiej kultury muzycznej przedsięwzięcie. W tym roku także będzie komentować występy młodych adeptów sztuki wokalnej, ale przede wszystkim przeprowadzi bezpośrednie relacje z przesłuchań. Ponadto po każdym z etapów zaprezentuje słuchaczom podsumowanie i omówienie:

- podsumowanie I etapu – 23 kwietnia, godz. 23.30,
- transmisje przesłuchań II etapu – 24 i 25 kwietnia, godz. 10.00–14.00 i 17.00–21.00; oraz 26 kwietnia, godz. 10.00–14.00,
- podsumowanie II etapu – 27 kwietnia, godz. 9.20–12.00,
- transmisje przesłuchań III etapu – 27 i 28 kwietnia, godz. 18.00–20.00,
- 28 kwietnia, godz. 23.05 w „Muzycznym Klubie Dwójki” – ogłoszenie wyników,
- transmisja koncertu laureatów – 29 kwietnia, godz. 19.00–20.00 cz. I i 22.00–24.00 cz. II. O godz. 20.00–22.30 transmisja nadzwyczajnego koncertu Filharmonicy Wiedeńscy pod dyktando Zubina Methy w Filharmonii Narodowej w Warszawie.

Podsumowanie IV Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. St. Moniuszki (z udziałem słuchaczy) odbędzie się na antenie Programu II w piątek 4 maja o godz. 12.00 w audycji „Radiokontakt”.



Jak zdać maturę? – to pytanie od wielu już tygodni zaprząta głowy uczniów kończących w tym roku licea i technika. Jedni sami w zaciszu domowym powtarzają wiadomości, przeglądają książki i czytają lektury, na które wcześniej nie mieli czasu. Inni placą korepetytorom, licząc, że ci wtłoczą im do głowy potrzebne na egzaminie wiadomości. Strach, emocje towarzyszą wszystkim maturzystom i ich rodzinom. Jak pozbyć się stresu? Jak się uczyć na kilka

dni przed maturą? Co zrobić, by zapamiętać jak najwięcej informacji? Na te i wiele innych pytań odpowiedzą goście zaproszeni 1 maja do studia Polskiego Radia BIS.

Już po raz drugi Polskie Radio BIS organizuje od 9.00 do 17.00 specjalny program pod hasłem „Za tydzień matura!” z udziałem nauczycieli, metodyków, licealistów, przedstawicieli Ministerstwa Edukacji i kuratorium. Program poprowadzą Hanna Jurewicz i Paweł Skwierawski. Czynny będzie telefon dla słuchaczy: 0-22 645-95-95. Zgromadzeni w Studiu Polskiego Radia BIS eksperci będą udzielać odpowiedzi, doradzać i sprawdzać nabyte wiadomości licealistów, którzy za tydzień przystąpią do zdawania egzaminów.

A w konkursach tematycznych z nagrodami każdy może sprawdzić wiedzę z następujących przedmiotów:

- 10.00: Gramatyka, liryka – powtórka z literatury;
- 11.00: Klub Poliglottów – powtórka z angielskiego;
- 12.00: Liczby, równania, funkcje – powtórka z matematyki;
- 13.00: Klub Poliglottów – powtórka z j. francuskiego i niemieckiego;
- 14.00: Bizancjum i wiek XX – powtórka z historii i geografii;
- 15.00: Prątki i węglowodory – powtórka z biologii i chemii;
- 16.00: Przed maturą – jak zdać ten pierwszy i najważniejszy egzamin, z udziałem uczniów-maturzystów z LO im. Władysława IV w Warszawie.

A za tydzień – 8 maja – MATURA! Bezpośrednia transmisja z egzaminów maturalnych w LO im. Władysława IV w Warszawie. Matury „na żywo” w bezpośrednich relacjach z liceum, giełda tematów, wrażenia i opinie maturzystów oraz nauczycieli i rodziców. Studio maturalne w Polskim Radiu BIS już od godz. 8.15 do 18.00. Radio BIS zaprezentuje także słynne polskie szkoły średnie oraz matury w szkołach integracyjnych i artystycznych. Konkursy, muzyka, cenne porady i życliwe uwagi – Studio maturalne Radia BIS zaprasza!

• **Pomiędzy Czytelników**, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie krzyżówki do niedzieli 6 maja (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez POLLENĘ EWĘ SA. Nasz adres: PRZĘKRÓJ, 20-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Krzyżówka 17”.

Rozwiązanie krzyżówki nr 15

P	R	O	Z	E	R	P	I	N	A	B	I	M	B	R	O	N	I	K
R	B					O				A		L				A	A	
Z	W	R	O	T	D	R	A	B		B	A	K	U	L	I	D	E	
Y	Z	U	K		N	A	P	A	R	S	A	D				M		
M	L	E	C	Z	K	O	T		A	E	Z	A	M	I	A	N	A	
R	Ż	I			W	I	E	L	K	A	N	O	C	U	T	N		
O	C	E	A	N	I	A			Y		D	Z	A	S	I	E	K	
Z	K		N	T	A	J	N	I	A	K		N			K	O		
E			M	E	K	K	A		K	A	K	C	E	S		L		
K	I	N	O	U	P	P	I	T	N	Y	Z	I	M	A				
			D	A	N	A	I	D	A		O	P	T	I	M	U	M	
K	U	L	E		A	C		S	U	M		A	O		A	M	O	
A			M	E	B	L	E		K		T	U	N	E	L		A	
L	S		U		R	E	W	O	L	T	A		E		O	T		
K	A	P	S	U	B	A	G	J	A	S	K	R	U	C	H	A		
U	A		B		R	O	Z	L	E	W	N	I	A	O	H	S		
L	E	W	A	R	E	K		E	N	D	N	A	Z	A	R	E	T	
A	A	Y	A	M	I	E		D	U	O	R							
T	A	R	O	K	D	I	A	T	E	R	M	I	A	M	A	N	K	
O	K				I		U		Y		C			K	F			
R	E	A	L	I	Z	A	T	O	R		M	E	C	Z	E	N	N	

• **Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 14 – pięć zestawów kosmetyków ufundowanych przez Wytwórnię Kosmetyków MARIZA** wylosowali: Anna Blusz, Kraków; Czesław Adamczyk, Wrocław; Teresa Laskowska, Piotrków Tryb.; Halina Korycka, Zabrze; Barbara Borys, Olkusz. **Gratulujemy!**

• **Pomiędzy Czytelników**, którzy nadesłali poprawne rozwiązanie „Jolki” do niedzieli 6 maja (decyduje data stempla pocztowego), zostanie rozlosowanych 5 upominków-niespodzianek ufundowanych przez „Przekrój”. Rozwiązania prosimy nadsyłać do redakcji „Przekroju”, 30-960 Kraków, skr. poczt. 533, z zaznaczeniem „Jolka 17”.

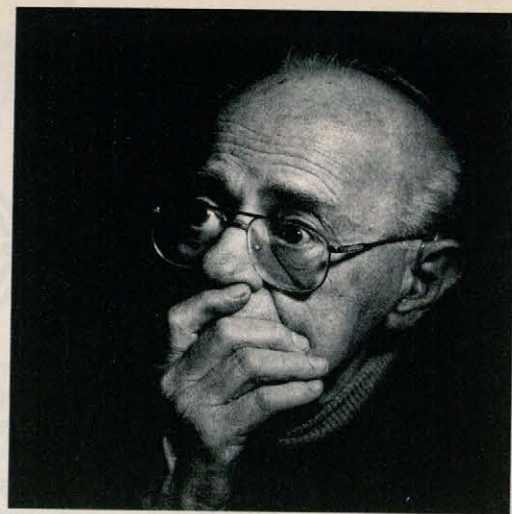
Rozwiązanie Jolki 15: ŚWIAT SIĘ TRZYMA TYLKO DZIĘKI DZIWNYM SŁOWOM TEJ PIOSENKI.

• **Rzędami:** wyrwidąb, rolmops, tłok, renifer, mlask, jęczyzek, krata, Neil, kwadrant, Dior, ostęp, tęczówka, golas, tragizm, baśń, tynkarz, Sokolica.

• **Kolumnami:** wstążka, Egipt, Jagiellon, wykret, zakrystia, derby, ciastkarz, bundz, chips, refektarz, ósmak, Lermontow, skobel, organista, sójka, opieńka.

• **Za poprawne rozwiązanie Jolki nr 14 – pięć upominków ufundowanych przez redakcję „Przekroju”** wylosowali: Barbara Bisewska, Wejherowo; Barbara Malesińska, Białystok; Władysława Olejak, Czechowice-Dziedzice; Szczepan Warzecha, Sobolów; Jerzy Słoński, Warszawa. **Gratulujemy!**

Co Pan na to, Panie LEM?



FOT. BOGDAN KRZEL

Jeśli jedni uczeni mówią, że coś jest czarne, zawsze znajdą się inni, którzy będą głosić, iż jest to nieskazitelnie białe.

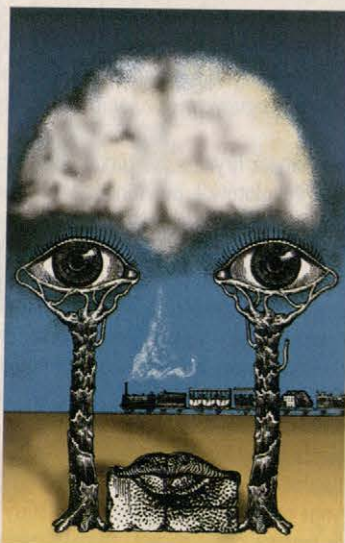
Statystycy utrzymują, że tworzenie krótkoterminowych prognoz meteorologicznych jest bardzo proste, ponieważ nie wymaga fachowego przygotowania ani zaprzęgnięcia specjalistycznej aparatury. Metoda sugerowana przez nich polega na orzeczeniu, że jutro będzie taka sama pogoda jak dzisiaj – zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa taka prognoza powinna sprawdzić się w 75 proc.

Jednak zachodzące ostatnimi czasy zmiany klimatu, a w szczególności przyspieszenie atmosferycznej cyrkulacji, sprawiły, że powyższa metoda straciła skuteczność. Rozkreśliła się taka karuzela pogody, że nawet przewidywania autentycznych meteorologów nie chcą się sprawdzać. Rozmaici futurologiczni specjaliści obiecywali nam dawniej rychłe pojawienie się prognoz dalekosiężnych i stuprocentowo pewnych, lecz owa daleko sięgająca pewność już im raczej przeszła.

Bezspornym zdaje się tylko postępujące ogólne ocieplenie, zwłaszcza półkuli północnej naszej planety. Wszystkie państwa zobowiązały się zredukować wyrzucanie w atmosferę spalin, potęgających tak zwany efekt szklarniowy. Jednakże wielki przemysł amerykański – który zauważył, że redukcja wydaliny przemysłu, przyczyniających się do owego ocieplenia, zwiększyłaby znacznie jego koszty własne – nastroił

nowego prezydenta USA, Busha juniora, nader niechętnie do jakichkolwiek działań zmniejszających emisję ogrzewczych spalin. Spowodowało to głośnie chóry biadań nie tylko w Europie. Amerykańscy przemysłowcy, którzy stali za Bushem murem podczas wyborów prezydenckich, powołują się na ekspertyzy tych badaczy klimatu, którzy uznają wpływ wydaliny industrialnych na atmosferę za zupełnie znikomy.

Prawdę powiedziawszy, jest to dosyć charakterystyczne zjawisko, dowodzące, że niestety światowa nauka nie jest jednomyślnym monolitem. Znaczy to, że jeśli jedni uczeni mówią, że coś jest czarne, to zawsze można znaleźć innych, którzy będą głosić, iż jest to nieskazitelnie białe.



Jako osobie zarazem naiwnej i myślącej racjonalnie wydawało mi się, że dokładne zdekodowanie substancji dziedzicznej ludzi oraz jednocześnie wykrycie, że kilkadziesiąt procent genów człowieka znajduje się również w substancji dziedzicznej muszek owocowych, a nawet drożdży, definitywnie przesądzi zwycięstwo darwinowskiej ewolucji naturalnej, czyli ewolucjonizmu, nad tak zwanym kreacjonizmem.

Kościół katolicki teorię darwinowską zaaprobował, ale nie bardzo to obeszło zwolenników kreacjonizmu w Stanach Zjednoczonych, którzy toczą ariergardowe boje z naukowymi ewolucjonistami. Ponieważ programy szkolne w poszczególnych stanach amerykańskich nie muszą się dokładnie pokrywać, powstała dziwaczna sytuacja, w której można znaleźć w podręcznikach jednych stanów wykład kreacjonizmu, w innych zaś ewolucjonizmu.

Kreacjoniści powiadają, że co-kolwiek istnieje jako żywy gatunek zostało zaprojektowane przez Stwórcę i od razu wprowadzone na arenę życia. Prawdę mówiąc, wydawałoby się, że tego rodzaju twierdzenia – w związku z przyspieszonymi postępami genetyki, genomiki, czyli inżynierii genowej oraz proteomiki, czyli nowej gałęzi biologii, badającej białka – są niemożliwe do utrzymania. Mimo to na kontynencie amerykańskim wciąż to-

czą się, co prawda bezkrwawe, ale zacięte walki o to, który z wymienionych dwóch kierunków nauki o powstaniu i rozwoju życia ziemskiego powinien się znaleźć w podręcznikach szkolnych. W Europie czy w Japonii nikt wykrytych przez Darwina ewolucyjnych faktów nie kwestionuje.

Nie dość, że jednomyślność ludzi nauki w poszczególnych kwestiach nie zdarza się prawie nigdy, to jeszcze spektrum ich poglądów na badane zjawiska jest najczęściej bardzo szerokie. Choć sztuczne satelity od lat okrążają naszą planetę – co mogłoby sugerować, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zakwestionuje kulistości Ziemi – istnieją przecież stowarzyszenia płaskiej Ziemi i nie ma na to rady.

Naiwni optymiści sądzili, że powstanie ogólnosiwiatowej sieci łączności stworzy wszechziemski zbiornik samej mądrości, czyli planetarną bibliotekę prawdy. I znów trzeba powiedzieć, że niestety owa promienna nadzieja przyswiecająca gwałtownemu rozprzestrzenianiu się Internetu nie spełniła się. Ilość głupstw, bzdur, bredni, kłamstw, jako też świństw (także, ale nie tylko, pornograficznych) stanowi znakomitą większość informacji krążącej w światowej sieci. I tego również nie potrafimy zmienić.

STANISŁAW LEM
17 kwietnia 2001

Wydawnictwo Ossolineum poleca:



Andrzej Wypustek
MAGIA ANTYCZNA
seria Strefa Arche

Teksty odnalezione na papirusach i tabliczkach magicznych wyjawiały nam „mały mroczny sekret” kultury antycznej. Zaklęcia, znaki, symbole i amulety magiczne miały chronić, nieść pomoc, ale też mogły stanowić narzędzie zemsty lub agresji. Magia antyczna łączyła się również z erotyką – teksty magiczne okazały się ważnym źródłem dla poszerzenia wiedzy o seksualności starożytnych.



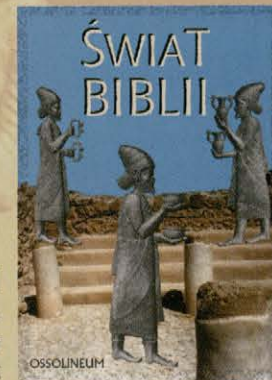
Leslie Stevenson
David L. Haberman
DZIEŚIĘ KONCEPCJI NATURY LUDZKIEJ
tłum. Urszula Wiczorek
seria Dylematy

Trzy starożytne tradycje religijne: konfucjonizm, hinduizm i Biblia, pięć koncepcji filozoficznych: Platona, Kanta, Marksa, Freuda i Sartre’a, dwie koncepcje psychologiczne: behawiorystyczna Skinnera i ewolucjonistyczna Lorenza. Książka jest próbą odpowiedzi na pytanie o istotę natury ludzkiej.



Stanisław Grzybowski
TRZYNAŚCIE MIAST
seria Zrozumieć Europę

Barwna, fascynująca opowieść o miastach europejskich. Dzieje teatru, historia uniwersytetów, życie codzienne zwykłych ludzi czy kultura wypoczynku to zaledwie niektóre z tematów przywołanych na kartach tej książki. W swej wędrówce po Europie autor niejednokrotnie powraca do miasta szczególnie bliskiego jego sercu – Krakowa, jest to bowiem bardzo europejska i bardzo krakowska książka.



ŚWIAT BIBLII
pod red.
André Lemaire’a
tłum. Bogusław Panek

„Wtem wystąpił z szeregów filistyńskich piewien harcownik, imieniem Goliat, z Gat, o wzroście sześć łokci i piędz. Na głowie miał hełm spiżowy, a odziany był w pancerz łuskowy, a waga jego pancerza wynosiła pięć tysięcy sykli kruszcu. Miał również nagolenice spiżowe na nogach i dzidę spiżową na plecach” [1 Sm 17,4-6]. „I sięgnął Dawid swoją ręką do torby, wydobyl stamtąd kamień, wypuścił go z procy i ugodził nim Filistyńczyka w czoło; kamień utkwil w jego czole i Filistyńczyk upadł twarzą na ziemię. Tak zwycięzył Dawid Filistyńczyka kamieniem wyrzuconym z procy i powalił Filistyńczyka, i zabił go, choć nie miał Dawid miecza w ręku.” [1 Sm 17,49-50]

„Jeśli chodzi o Goliata, to w miarę jak wspomnienie o jego klęsce oddala się w przeszłość i jak przybywa wersji wyczynów jego zwycięzcy, osobowość olbrzyma wyostreza się, jego postura rośnie, a zbroja staje się coraz cięższa. Jest bardziej prawdopodobne, że niejaki Goliat z filistyńskiego miasta Gat pokonał jeden z dzielnych wojowników Dawida, Elchanan, syn Jaira z Betlejem. [...] Wzrost Filistyna, z którym zmierzył się Dawid, wynosił w tekście greckim 4 łokcie i 6 w tekście hebrajskim (ok. 2-3 m). Wojak [...] uzbrojony był we włócznię, zakrzywiony nóż i miecz; w miarę jak jego uzbrojenie mnoży się i zaczyna się gmatwać, broń Dawida kurczy się; pastuszek zrzuci z siebie zbroję Saula i odniesione zwycięstwo zawdzięcza tylko procy i kamieniowi.”

fragm. książki

W świat Biblii wprowadza czytelników ponad czterdziestu najlepszych specjalistów – światowej sławy archeologów, historyków, egzegetów, biblistów. Ich artykuły są rekonstrukcją wydarzeń Starego Testamentu w oparciu o wiedzę historyczną i badania archeologiczne. Tekst uzupełniają liczne czarno-białe i kolorowe ilustracje.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, pl. Solny 14a, 50-062 Wrocław
tel. (071) 343 86 26 do 27, fax (071) 344 81 03, e-mail: osso_bn@pwr.wroc.pl

**PROSIMY NIE
POWTARZAĆ**

Jeżeli pijesz po to, żeby zapomnieć, to w barze płac zawsze z góry.

KAPRYŚNE LOSY

Kapryśne losy raz, pono,
Coś i dla świni uczynią...
Wyryła w śmieciach pod skrzynią
Z pieniędzy saksę zgubioną.
Wtedy jej zaraz mówiono:
„Ach! Jasne Wielmożna Świnio!”
(Felicjan Faleński)

**IDEALNY
PODRECZNIK**

Instytut Adama Mickiewicza poprzez „Ga-

zetę Wyborczą” z 7-8 kwietnia poszukuje szefa zespołu Rok Polski w Hiszpanii. Od kandydata oczekuje się m.in.:

...bardzo dobrej znajomości języka hiszpańskiego i angielskiego.

Żeby nabyć odpowiedniej biegłości w tym ostatnim języku radzimy grzecznie przestudiować „Skrzydlate słowa”.
(Nadesłał: W. Lucjaniński)

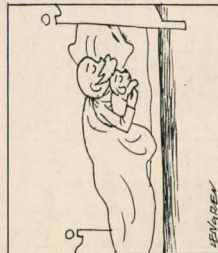
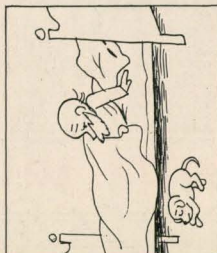
**DOBRY
BATIUSZKA**

W „Życiu Warszawy” czytamy:

Pierwsze stołeczne lotnisko powstało na Polu Mokotowskim. Przed I wojną światową Warszawa utrzymywała połączenia lotnicze z Poznaniem, Katowicami, Krakowem, Lwowem, Wilnem i Gdynią...

Car Batuszka zgodził się na to lotnisko, na te samoloty i nawet na to, żeby latały do Gdyni, której wtedy jeszcze w ogóle nie było.
(Nadesłał: W. Sukiennik)

FLUTER



**MALTA PO
BAŁTYCKU**

„Dziennik Bałtycki” z 24 marca zajął się drobiazgiem, czyli Malcią. Dowiadujemy się więc, że

Na Malcie wszystko jest w skali mikro. Bo i sama wyspa, to płamka na Morzu Śródziemnym. 27 metrów długości, 16 m szerokości.

Na Malcie i Gozo są 364 kościoły...

Nie mogą być one, rzecz jasna, zbyt duże, skoro na metr kw. wypada mniej więcej jeden kościół.
(Nadesłał: R. Janas)

O WACUSIU

Falczak zastanawia się, czy z czystym sumieniem może uważać się za stuprocentowego demokratę, skoro na świat przyszedł za pomocą cesarskiego cięcia.

BEATA

Czym lepiej być, Beato, Panienką?
Czy mężatką?
Co za pytanie?
Oszałeleście?
Lepiej panienką być, oczywiście.
A co jest lepsze, Zima?

Czy lato?

Odpowiedz szczerze na to, Beato.

Lato, naturalnie,

W lecie są kwiaty

I bardziej wtedy widać Beatę.

W zimie

W przyrodzie

Panuje nieład,

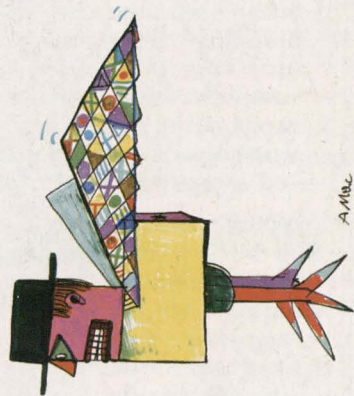
A nieład każdy

Jest be dla Beat.



Z cyklu: „Imiona nadwiślańskie”

Rys. Adam MACEDOŃSKI



- Ach, na kury by, na kury!